



GALAKTYKA GUTENBERGA

H. BEAM PIPER



Kudłacz rozumny

TERRO-HUMAN

Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy

Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:



cykl Kudłacze

Kudłacz

Kudłacz rozumny

Kudłacze i inni ludzie

cykl Orbitville

Orbitville 1

Orbitville 2: Przeniesienie

Orbitville 3: Wyrok

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

H. BEAM PIPER

KUŁACZ RAZUMNY

Przełożył
Wiesław Lipowski

Spis treści

Wyjątkowa seria...

Karta tytułowa

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

Przypisy

1.

Victor Grego wypił resztę schłodzonego soku owocowego, odstawił szklankę, zapalił papierosa i dolał gorącej kawy do wypełnionej w połowie filiżanki, która stygła już od dłuższego czasu. Zapowiadał się kolejny ciężki dzień, noc zaś nie przyniosła mu żadnej ulgi po trudach wczorajszego dnia i dni wcześniejszych. Sączył kawę, powoli zaczynając czuć, że znowu dołącza do ludzkości.

Te ciągnące się całymi dniami narady z personelem, na których wszyscy sobie wymyślali i obrzucali się nawzajem oskarżeniami. Miał dość kruchą nadzieję, że tym razem to się skończy. Tego wieczora szefowie sekcji powinni nareszcie wiedzieć, co robić. Oby tylko nie wracali do niego biegiem po decyzje, które powinni sami podejmować, i nie zawracali mu głowy każdą bzdurą. Mój Boże, czyż personel nie powinien sobie radzić ze swoją pracą?

Problem w tym, że podczas ostatnich piętnastu lat, a co najmniej dwunastu, decyzje były podejmowane zawczasu i działania ograniczały się do czynności rutynowych. Wtedy jednak Zaratustra była planetą III klasy i stanowiła wyłączną własność Kompanii. Po prostu w Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra nie było miejsca na zagrożenia. To znaczy, dopóki stary Jack Holloway nie spotkał małej istotki, którą nazwał Kudłaczkiem.

Wówczas wszyscy potracili głowy. On stracił własną parokrotnie i wykonał kilka posunięć, których teraz żałował. Większość jego podwładnych nie naprawiła dotąd swoich błędów i Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra funkcjonowała, jeśli to właściwe słowo, w stanie totalnego i permanentnego zagrożenia.

Filiżanka znowu była prawie pusta. Dolał kawy do pełna i zanim rozgniół papierosa, przypalił od niego następnego. No, można zaczynać.

Sięgnął do konsoly, włączając teleekran na drugim końcu stołu, przy którym jadł śniadanie.

Po chwili na monitorze ukazała się Myra Fallada. Miała starannie kręcone jasne włosy, o cokolwiek żółtym odcieniu, okrągłą twarz, wypukłe niebieskie oczy i nieco wystającą dolną wargę, jakby pochodziła ze starożytnego rodu Habsburgów. Odkąd Grego przybył na Zaratustrę, Myra była jego sekretarką; uważała, że tydzień temu na sali rozpraw u sędziego Pendarvisa nastąpił koniec świata.

— Dzień dobry, panie Grego. — Obrzuciła wzrokiem jego szlafrok i policzyła niedopałki w popielniczce, starając się wywnioskować, jak długo siedział przy stole. — Strasznie dużo spraw wpłynęło dziś rano.

— Dzień dobry, Myro. Jakich spraw?

— No cóż, w krainie bywała sytuacja robi się coraz gorsza. Hodowcy trawożerów porzucają pracę. Zwyczajnie uciekają i zostawiają stada...

— Biorą szalupy Kompanii? Tak? Niech więc Harry Steefer roześle za nimi listy gończe pod zarzutem kradzieży statków.

— A co z *City of Maherton*? Startuje dzisiaj z Dariusza. — Już mu o tym opowiadała.

— Wiem. Decyzje zapadły wczoraj. Powiedz im, żeby robili swoje. Czy masz coś, czym muszę się zająć osobiście? Tak? To pobieraj wszystko i każ zanieść do sali konferencyjnej. Przejrzę to wraz z zainteresowanymi ludźmi. Resztę spraw odfajkuj i odeślij tam, gdzie ich miejsce, to znaczy nie na moje biurko. Wychodzę, zmierzam prosto do sali konferencyjnej. Posiedzenie jest za pół godziny. Przekaż chłopakowi od porządków, że może przyjść w tym czasie i posprzątać. Aha, powiedz kucharzowi, że nie będę jadł w domu. Zjadę na lunch do kafeterii, a kolację zjem z mecenasem Coombesem w siedzibie zarządu.

Umilkł i czekał, licząc w myślach do stu. Zgodnie z oczekiwaniami, zanim dotarł do pięćdziesięciu, Myra podskoczyła na krześle.

— Panie Grego, omal nie zapomniałam! — Jak zwykle. — Pan Evins chciałby wejść do skarbca z klejnotami. Jest już na dole.

— A tak, wydałem polecenie, aby przeprowadził dziś inwentaryzację i wycenę. Zapomniałbym o tym. No cóż, nie możemy kazać mu czekać. Zejdę tam od razu.

Zaciemnił ekran, dopił kawę i wstał. Opuścił wnękę śniadaniową i wszedł wąskim korytarzem do sypialni, zdejmując po drodze szlafrok. Nie powinien był o tym zapomnieć, sprawa zawartości skarbca miała ogromne znaczenie, choć była mniej pilna od wydarzeń w krainie bydła. „Aż do ubiegłego tygodnia, kiedy to Najwyższy Sędzia Pendarvis zmiażdżył koncesję Kompanii kilkoma stuknięciami swego młotka, kamienie słoneczne stanowiły domenę Kompanii. Nikt prócz niej nie mógł ich skupować i nikomu prócz kupców Kompanii nie było wolno ich sprzedawać, tylko że tak stanowiło prawo Kompanii, a wyrok Pendarvisa zlikwidował moc stanowienia przez nią prawa. Złoża kamienia słonecznego były zanadto rozproszone, aby opłacało się je wydobywać na skalę przemysłową. Wydobywali je poszukiwacze działający na własną rękę i sprzedawali Kompanii za cenę ustaloną przez nią samą. Najlepszym z nich był Jack Holloway, od którego zaczęły się te wszystkie kłopoty.

Obecnie handel kamieniami słonecznymi odbywał się na otwartym, wolnym rynku Zaratustry i należało podjąć kroki dla ustanowienia nowej polityki skupu. Zanim powźmie jakiegokolwiek decyzje, musi się dowiedzieć, jakimi rezerwami kamieni słonecznych dysponuje Kompania.

A więc trzeba udać się na dół i otworzyć skarbiec, zanim Konrad Evins, główny nabywca kamieni dla Kompanii, wejdzie do środka i sam się o tym przekona. Znał szyfr.

A na wypadek, gdyby coś mu się stało, znał go również Leslie Coombes, szef sekcji prawnej Kompanii. Poza tym — wobec ewentualności, że zarówno on, jak i Coombes mogą stracić życie albo zdolność do działania — w specjalnie zabezpieczonej skrytce w Banku Mallorysport leżał świstek

papieru z wystukaną zgrabnie na komputerze kopią kodu, który mógł wyjąć jedynie szeryf kolonialny po okazaniu nakazu sądowego. To było kłopotliwe, ale w takim przypadku nie można ufać zbyt wielu ludziom.

Pomieszczenia z klejnotami znajdowały się na dole, na piętnastym poziomie, licząc od góry, i otaczały je kwatery wewnętrznej policji Kompanii. Prowadziło do nich jedno wejście — drzwiami zagrodzonymi ciężką, podnoszoną kratą ze stali. Strażnicy siedzieli w małym pokoiku za szybą ze zbrojonego szkła grubości pięciu centymetrów, przy samych drzwiach siedziało lub stało za niską przegrodą kilku innych wartowników, uzbrojonych w pistolety automatyczne. Zastał tam Harry'ego Steefera, szefa policji Kompanii, oraz Konrada Evinsa, nabywcę kamieni, drobnego człowieczka o siwiejących włosach, wypukłym czole i wąskim podbródku. Towarzyszyło mu dwóch asystentów w szarych drelichach.

— Przepraszam, że kazałem panom czekać — rzekł na powitanie. — Czy jest pan gotowy, panie Evins?

Evins był gotowy. Steefer skinął głową na agentów siedzących w klitce za pancerną szybą; krata uniosła się bezszelestnie. Wkroczyli do pustego korytarzyka objętego polem widzenia kamer telewizyjnych, umieszczonych na obu krańcach, oraz polem rażenia dysz gazu usypiającego na suficie. Drzwi otwarły się i w małym przedsionku w głębi Evins, jego pomocnicy, sierżant oraz dwóch wartowników, którzy ich nie odstępowali, Grego, a nawet komendant Steefer pokazali strażnikowi identyfikatory. Ten szepnął kilka słów do mikrofonu i jakiś człowiek, zupełnie niewidoczny, będący poza ich zasięgiem, stuknął w klawisz albo przerzucił dźwignię i otworzył za sobą drzwi. Grego przekroczył próg i zszedł po kilku schodkach do następnych wrót. Mieniły się jaskrawo powłoką z kolapsium, niczym kadłub statku kosmicznego albo reaktor nuklearny.

Tu znajdowała się klawiatura, przywodząca na myśl klawiaturę linotypu. Podszedł do niej, wystukał krótką formułę i odczekał chwilę. Masywne drzwi ruszyły powoli z miejsca i przesunęły się na bok.

— W porządku, panowie! — zawołał. — Skarbiec jest otwarty.

Wkroczył do okrągłego pomieszczenia znajdującego się za progiem. Na środku stał okrągły stół przykryty czarnym aksamitem, oświetlony z góry dużą, okrągłą lampą. Wzdłuż ściany ciągnął się stalowy regał z mnóstwem płytkich szuflad. Po chwili wszedł także szef policji, sierżant z bronią automatyczną, Evins i jego dwaj asystenci. Grego zapalił papierosa obserwując, jak kłęby dymu unoszą się wokół lampy, po czym znikają w kratce wentylatora na suficie. Pomocnicy Evinsa zaczęli wyjmować aparaturę i rozkładać różne przedmioty na stole. Kupiec dotknął czarnego sukna i skinął głową. Grego również położył dłoń na pulpicie. Był ciepły, niemal gorący.

Jeden z asystentów wyciągnął z regału szufladę i wysypał zawartość na stół — kilkaset gładkich, półprzezroczystych kamyczków. Przez moment niczym nie różniły się od żwiru. Po chwili stopniowo zajaśniały i niebawem bił od nich blask jak od rozżarzonych węgli.

Jakieś pięćdziesiąt milionów lat wcześniej, kiedy Zaratustra była prawie całkowicie pokryta oceanami, istniała na niej morska forma życia podobna do dużej meduzy. Przez mniej więcej milion lat w wodzie roiło się od tych stworzeń. Po śmierci tonęły w mule dennym i pokrywały się piaskiem. Wysokie, trwające przez stulecia ciśnienie zmiażdżyło je, zmieniając w małe, twarde ziarenka, a ze zgniecionego mułu powstał szary krzemień. Większość ziarenek zwyczajnie skamieniała, lecz dzięki jakiejś dawnej osobliwości biochemicznej niektóre miały tę właściwość, że intensywnie termofluoryzowały i służyły jako biżuteria, jarząc się pod wpływem ciepła ciała człowieka, który miał ją na sobie, tak jak teraz jarzyły się na elektrycznie podgrzewanym stole. Nie znajdowano ich nigdzie indziej w Galaktyce poza Zaratustrą i nawet skromny kamyczek był wart małą fortunę.

— Tak na oko, w przybliżeniu, ile pieniędzy mamy w tym pokoju? — zapytał Evinsa.

Evins skrzywił się. Jego umysł nie znosił takich zwrotów jak *na oko* i w *przybliżeniu*.

— Cóż, kurs rynkowy na Terze, sześć miesięcy temu rzecz jasna, sięgał tysiąca stu dwudziestu pięciu soli za karat, ale to tylko cena średnia. Bywają kamienie o wyższej wartości nominalnej...

Victor Grego zobaczył jeden z nich i wziął go do ręki. Prawie idealna kulka średnicy dwu i pół centymetra, barwy ciemnokrwistoczerwonej. Leżał i płonął na jego dłoni; był przepiękny. Zapragnął go mieć na własność, niestety, żaden z kamieni nie należał do niego. Należały do abstrakcji zwanej Koncesjonowana — nie, Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra, reprezentantka tysięcy udziałowców, w tym innych abstrakcji, takich jak linie kosmiczne Terra Baldur Marduk, Międzygwiazdna Eksploracja SA i Kartel Bankowy. Ciekawe, z jakim uczuciem Konrad Evins poruszał się wśród tych pięknych przedmiotów, znając wartość każdego z nich i nie posiadając żadnego.

— Ale mogę panu podać wartość minimalną — dodał Evins na koniec wykładu o rynkowych cenach klejnotów na Terze. — Wartość kamieni w tym skarbcu wynosi nie mniej niż sto milionów soli.

Ogromna masa pieniędzy, jeśli wypowiedzieć to szybko i bez zastanowienia. Koncesjonowana, a nawet Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra to również ogromna firma i koszty wszystkich jej operacji były fantastycznie wysokie. Dla Kompanii stanowiło to mniej niż jej sześciomiesięczne obroty brutto. Nie mogli dopuścić, aby interes z kamieniami słonecznymi utrzymywał się z własnych rezerw.

— To nowy, prawda? — spytał, odkładając czerwoną kulkę światła na ciepły pulpit.

— Tak, panie Grego. Kupiliśmy go niecałe dwa miesiące temu. Na krótko przed procesem. — Wymówił to słowo z naciskiem. Dzień, w którym Pendarvis zmiażdżył Kompanię swoim młotkiem, będzie odtąd

Pierwszym Dniem Roku Zerowego. — Sprzedał go nam... — dodał Evins
— pan Jack Holloway.

2.

Pstryknąwszy wyłącznikiem stenomemofonu, Jack Holloway zapalił na nowo fajkę i odepchnął krzesło od biurka, rozglądając się po pomieszczeniu, które służyło w jego obozie jako salon, zanim stało się gabinetem Komisarza do spraw Autochtonów dla planety kolonialnej kategorii IV Zaratustra. To był kiedyś przyjemny pokój, gdzie człowiek mógł się relaksować w pojedynkę albo podejmować rzadkich gości, jacy docierali aż tak daleko na odludzie. Podłogę z twardego drewna wyścielały skóry wielkich zwierząt, które osobiście upolował. Głębokie fotele i tapczan były pokryte futrami mniejszych zwierząt; zbudował je sam, tak samo jak duży stół do pracy. Stał na nim monitor pomiarowy i metalowa szafka z biblioteką mikroksiążek, w stojaku na broń odbijał się łagodny blask wypolerowanych beczek i rozmaitych zapasów. A spójrz człowieku teraz na ten cholerny pokój!

Dwa dodatkowe monitory, jeszcze jeden moduł komunikacyjny, wokograf, teledrukarka, wszystko stłoczone razem. Sklecony z byle czego stół na kozłach, ustawiony pod kątem do drugiego stołu, za którym teraz siedział, zasypany planami, odbitkami i różnymi innymi rzeczami, głównie zresztą innymi rzeczami. I ten czerwony, wyścielany fotel obrotowy; tego nienawidził najbardziej. Czterdzieści lat temu opuścił Terrę, by oderwać swój tyłek od tego rodzaju fotela, i oto siedzi w nim jak w potrzasku o zmierzchu życia — no, późnym popołudniem, powiedzmy, około pory na drugi koktajl.

Chodzi nie tylko o ten pokój. Słyszał przez otwarte drzwi, co się dzieje na zewnątrz. Głuchy stukot siekier, wycie pił łańcuchowych. Będzie mu brakowało tych wszystkich drzew o pierzastych liściach naokoło domu. Łomot młotów mechanicznych przypominający serie z karabinów

automatycznych, szczęk i dudnienie buldożerów. Nagły krzyk ostrzegawczy, a po nim trzask gwałtownego upadku i stek bluźnierstw. Miał nadzieję, że żaden Kudłacz nie podszedł za blisko i nie odniósł obrażeń.

Poczuł delikatne szarpnięcie za nogawkę i rozległ się cichy głosik:

— Ik?

Dłonie Jacka powędrowały do szyi, trąciły włącznik ultradźwiękowego aparatu słuchowego i włożyły słuchawkę do ucha. Natychmiast usłyszał mnóstwo cichych dźwięków, przedtem niesłyszalnych, głosik zaś mówił:

— Papcio Jack?

Spojrzał w dół na zaratustrańskiego autochtona, którego sprawy zostały mu powierzone do administrowania. Był to wyprostowany dwunożny ssak, miał pół metra wzrostu, humanoidalną twarz z szeroko rozwartymi oczyma. Jego ciało porastało miękkie, złociste futerko. Nosił na ramieniu zielony, płócienny woreczek oznaczony literami SDFT (Szwadrony Desantowe Federacji Terrańskiej), srebrne kółko na łańcuszku wokół szyi i nic ponadto. Na kółku widniały napisy KUDŁACZEK, Jack Holloway, Dolina Zimnej Wody, Kontynent Beta oraz liczba 1. Był to pierwszy zaratustrański tubylec, którego ujrzął Jack Holloway bądź którykolwiek inny człowiek terrański.

Wyciągnął rękę i pogłaskał swego małego przyjaciela po głowie.

— Witam, Kudłaczku. Wpadłeś na chwilę do Papcia Jacka?

Kudłaczek wskazał na otwarte drzwi. Do pokoju zaglądało nieśmiało pięcioro innych Kudłaczy, wymieniając między sobą uwagi.

— *Kudłasz ni szu do-bizzo do-mitto zat-hakko* — poinformował go Kudłaczek. — *Hiva so szu do-mitto*.

Właśnie przybyła nowa grupka Kudłaczy. Chciałyby zostać, jeżeli dobrze zrozumiał jego słowa. Minęło dopiero dziesięć dni, odkąd się dowiedział, że Kudłacze w ogóle umieją mówić. Nacisnął klawisz aparatu do rejestracji audiowizualnej, wyregulowanego na przekształcanie ich ultradźwiękowych głosów na częstotliwości akustyczne.

— Zrobić mowa. — Jack brnął powoli i ostrożnie przez swój stuwyrazowy słownik języka Kudłaczy. — Papcio Jack przyjaciel. Nie skrzywdzić. Być dla wy dobry. Dawać dobre rzeczy.

— *Dzos'so fo'reczko?* — spytał Kudłaczek. — *Dzos'so t'sako? Dzos'so cziaso? Pezete'czy?*

— Tak. Dać woreczki i tasaki i ciasto — obiecał. — Dać Pezeter Trzy.

Przyjaźni autochtoni, dawać prezenty. Komisarz do spraw Autochtonów. Kudłaczek rozpoczął przemówienie. To jest Papcio Jack, najważniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich Dużych, Hadźdza, przyjaciel wszystkich Ludzi, wszystkich Gasztów, tylko Dużi nazywali Gasztów Kudłaczami. Papcio da cudowne rzeczy. *Foreczki*, w których można nosić różne przedmioty i ma się obie ręce wolne. Kudłaczek zademonstrował swoją torbę. Papcio Jack da również tak twardą broń, że się wcale nie tępi. Podbiegł do stosu zmiętej pościeli pod stojakiem ze strzelbami, wracając po chwili z piętnastocentymetrowym brzeszczotem w kształcie liścia o trzonku długości trzydziestu centymetrów. Papcio Jack da ponadto *Hoksu-Fusso*, Cudowne Jedzenie, *pezete'czy!*

Jack podniósł się z fotela i przeszedł do dawnej kuchni zamienionej na wypchany zapasami magazyn. Tasaków nie brakowało, przed opuszczeniem Mallorysport kazał wykonać kilkaset sztuk. Woreczków miał trochę mniej. Były albo czarne z wyposażenia Floty, albo zielone z wyposażenia Komandosów — podręczne apteczki, torby na narzędzia, kabury na broń maszynową i magazynki od nabojów do strzelb automatycznych, wszystkie zaopatrzone w ramiączka. Zarzucił sobie na plecy pięć woreczków, otworzył szafę i wyjął dwie prostokątne puszkę z niebieskimi nalepkami o treści *Żelazna Porcja*, *Siły Kosmiczne*, *Gatunek Trzeci*. Kudłacze szalały na punkcie Pezetera Trzy, co wskazywało, że zaliczając się do sapientów z pewnością nie były istotami zanadto rozumnymi. Tylko człowiek umierający z głodu mógłby wziąć do ust takie świństwo.

Wróciwszy do pokoju, zastał piątkę przybyszów obok drzwi, gdzie kucaly małym kołem razem z Kudłaczkiem. Oglądały jego stalową broń i porównywały ją z pałkami z twardego drewna w kształcie wiosł, które sobie sporządzały w lesie. Często padało słowo *zatku*.

To było ważne słowo w języku Kudłaczy, ich określenie wielkiego pseudoskorupiaka zwanego przez Terranów krewetką lądową. Kudłacze zawzięcie polowały na *zatku* i dopóki nie zasmakowały w Pezeterze Trzy, wołały ich mięso od jakiegokolwiek innego pożywienia. Gdyby nie *zatku*, Kudłacze pozostałyby w nietkniętej ludzką stopą krainie na północy Kontynentu Beta i minęłoby wiele lat, zanim Terranie w ogóle by je zobaczyli.

Sporo Terranów wołało, aby Kudłacze pozostały na zawsze nie odkryte, a zwłaszcza Victor Grego, prezes Kompanii Zaratustra. Zaratustrę zaliczono kiedyś do planet III klasy, zasiedlonych przez ludzi terrańskich, lecz nie zamieszkanymi przez jakikolwiek rodzimy gatunek istot rozumnych. Wskutek owej pomyłki Kompania dostała koncesję na skolonizowanie i eksploatację bogactw globu. Ponadto otrzymała prawo własności do całej powierzchni planety i jednego z dwu księżyców, Dariusza. Drugi księżyc, Kserkses, został przeznaczony na bazę Floty Federacji, co było szczęśliwym posunięciem, bo nagle Zaratustra okazała się planetą klasy IV, posiadającą rodzimych mieszkańców.

Obecni w pokoju przedstawiciele rodzimych mieszkańców podnieśli z oczekiwaniem wzrok, kiedy otworzył pierwszą puszkę i rozłamał podobne do piernika ciasto na sześć równych porcji. Przybysze obwąchali poczęstunek, wstrzymując się ze skosztowaniem, dopóki Kudłaczek nie zacznie jeść. A wtedy, po kilku próbnym kęsach, poczęli łapczywie wcinąć i mlaskać głośno ze szczęścia.

Od początku podejrzewał, że nie są jedynie uroczymi, małymi zwierzątkami, lecz istotami rozumnymi — sapientami, takimi samymi jak on i jak osiem innych ras inteligentnych, które zostały odkryte od czasu,

gdy Terranie latają do gwiazd. Ujrawszy je, Bennett Rainsford, ówczesny przyrodnik terenowy Instytutu Ksenotyki, przyznał Jackowi rację i nadał im miano *Kudłacz kudłacz holloway*. Obaj byli bardzo przejęci i dumni ze swego odkrycia. Nie myśleli, jaki będzie to miało wpływ na koncesję Kompanii Zaratustra, dopóki nie zawiadomiono ich o tym gorliwie.

Victor Grego pomyślał o tym natychmiast, walczył desperacko, zajadle, uruchamiając wszystkie środki Kompanii, aby zapobiec uznaniu ich za sapientów i anulowaniu koncesji. Walka skończyła się w sądzie, Jack Holloway zasiadł na ławie oskarżonych pod zarzutem morderstwa za to, że zastrzelił kompanijnego opryszka. Dygnitarz Kompanii, Leonard Kellogg, stanął przed sądem pod podobnym zarzutem za skopanie na śmierć samicy Kudłaczy zwanej Złotowłosą. Wyroki w obu sprawach, rozpatrywanych jako jedna, zależały od rozstrzygnięcia kwestii rozumności Kudłaczy. Na wokandzie widniały jako Społeczeństwo kolonii Zaratustra kontra Holloway i Kellogg. obrońca Jacka, Gus Brannhard, upierał się, aby nazywać je powództwem Przyjaciół Kudłaczka przeciw Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra.

Kudłaczek i jego przyjaciele wygrali, a po uznaniu ich rozumności koncesja Kompanii prysnęła jak bańka mydlana, tak samo jak stary rząd kolonialny III kategorii, w następstwie czego Komodor Sił Kosmicznych Napier, dowódca bazy na Kserksesie, został zmuszony do proklamowania stanu wyjątkowego i nadzoru nad powołaniem nowego rządu IV klasy, gdyż Zaratustra nie miała legalnego rządu. Na gubernatora mianował Bennetta Rainsforda.

A kogo waszym zdaniem Ben Rainsford mianował Komisarzem do spraw Autochtonów?

No cóż, ktoś musiał objąć tę funkcję, a kto ostatecznie rozpoczął całą sprawę z Kudłaczami?

Pięcioro gości skończyło jeść Pezeter Trzy, otrzymało woreczki i stalowe tasaki. Ważyły je w rękach i obcinały głowy wyimaginowanym krewetkom.

Otworzył drugą puszkę i rozdzielił przysmak. Tym razem gryzły bez pośpiechu, nie żałując pochwał. Kudłaczek podniósł z podłogi dwie puste puszkę i wrzucił do kubła na śmieci.

— Jak wy przyjść w to miejsce? — spytał Jack, kiedy Kudłaczek dołączył do siedzącej w kręgu gromadki.

Wszystkie zaczęły odpowiadać jednocześnie. Przy pomocy Kudłaczka domyślił się ogólnego sensu. Usłyszały dziwne dźwięki, wyszły na skraj lasu i zobaczyły przerażające rzeczy. Ale Kudłacze są istotami ludzkimi, chciały to wyjaśnić pomimo strachu. I wówczas spostrzegły inne istoty ludzkie. *Hadźdź-haszta*, duże, oraz *szimosz-gaszta*, takie jak one.

Kudłaczek natychmiast poprawił mówiącego. *Hadźdź-haszta* to po prostu Hadźdźa — Duzi, a *szimosz-gaszta* — to Kudłacze. Dlaczego Gaszta nazywane są Kudłaczami? Ponieważ tak mówi Papcio Jack, właśnie dlatego. To chyba wyjaśniało sprawę.

— Ale dlaczego przyjść w to miejsce? Wy przyjść z daleko. Dlaczego tu?

Po dłuższej dyskusji Kudłaczek wyjaśnił, co Jack miał na myśli, i goście zaczęli odpowiadać.

— Powiedz im, że tu jest dużo-dużo *zatku*. Niech przychodzić, dużo razy jasno-ciemno. Dużo-dużo.

Umiały liczyć do pięciu, liczby palców u jednej ręki. Drugą rękę miały zajęta liczeniem. Potrafiły rachować wielokrotnościami pięciu, dopóki nie było ich więcej niż pięć, dalej było już dużo, a potem dużo-dużo. W stosie notatek, które sporządził w czasie studiów nad Kudłaczami, znajdowała się wzmianka, aby sprawdzić, jak Kudłacze potrafiłyby wykorzystać liczydło.

No cóż, być może trzy miesiące temu, w odległości tysiąca lub półtora tysiąca kilometrów na północ, pięcioro Kudłaczy dowiedziało się, że w leżącej na południu krainie roi się od *zatku*, i przyłączyło się do *Völkerwanderung*^[1]. Kudłaczek i jego rodzinka stanowili awangardę, masowy spęd trwał nadal. Spróbował je zapytać, w jaki sposób dowiedziały

się o tym. Od innych Kudłaczy — to było wszystko, co udało mu się wyciągnąć.

Tak czy owak, dotarły do przełęczy na północy, zeszły do Doliny Zimnej Wody i znalazły się tutaj. Wyszły na skraj lasu, zobaczyły ruch w obozie, z obecności innych Kudłaczy wywnioskowały, że nic im nie grozi, więc zostały.

— Grozi dużo rzeczy! — sprzeciwił się Kudłaczek natychmiast i gwałtownie. — Trzeba ciągle uważać. Nie wchodzić przed rzeczy, które się poruszają. Ani pod te, co się unoszą nad ziemią. Nie dotykać nieznanych przedmiotów. Pytać Dużych, co może grozić. Dużi starają się nie robić Kudłaczom krzywdy, Kudłacze muszą pomagać.

Kontynuował ze szczegółami, a goście wymieniali bojaźliwe spojrzenia i ciche uwagi. W końcu złapał tasak i wstał.

— Bizzo — powiedział. — *Aki-pokko-so.*

W drogę, pokażę wam. Jack wydedukował to zupełnie łatwo.

— Najpierw zaprowadź je na posterunek policji — poradził. — Niech zostawią odciski palców, załóżcie na szyję coś jaskrawego.

— *Dob'ra* — zgodził się Kudłaczek. — *Iść polis, zrobić cisk'alców, założyć jak'rawe.*

Nim Terranie zdążą opanować klasyczny, rodzimy język Kudłaczy, wszystkie będą się już posługiwały mieszanym żargonem. Przybysze zrobili Kudłaczkowi przejście i ustawili się za nim gęsiego, niczym turyści za przewodnikiem. Jack przyglądał się, jak idą na otwartej przestrzeni przed domem i skręcają w lewo do mostka nad strumykiem. Wrócił do biurka i za pośrednictwem teleekranu przeprowadził rozmowę z producentem namiotów w Czerwonym Wzgórzu. Przynaglił go do realizacji zamówienia na woreczki z szelkami.

— Najprędzej jutro, panie Holloway, robimy, co możemy.

Wspomniał do stenomemofonu o potrzebie zdobycia dodatkowej ilości Pezetera Trzy, a potem wrócił do bazgrania i gryzmolenia notatek do

schematu organizacyjnego i diagramu operacyjnego dla Komitetu do spraw Autochtonów. Odnosił wrażenie, że z coraz większą szybkością zaczyna dreptać w miejscu.

— Cześć, Jack. Zgłosiła się kolejna gromadka?

Podniósł głowę. W drzwiach stał krępy mężczyzna o kwadratowej twarzy, ubrany w niebieski mundur. Z boku jego beretu widniał jasny owal, miejsce, z którego coś usunięto, natomiast ślady na kołnierzu kurtki wskazywały, że całkiem niedawno jedna gwiazdka majora zastąpiła dwie belki porucznika. Na lewym ramieniu nosił opaskę z wypisanymi ręcznie literami SOAZ, poza tym jego mundur stanowił uniform zmilitaryzowanych oddziałów policji kolonialnej.

— Cześć, George. Wejdz i daj odpocząć nogom. Widzę, że potrzebują tego.

Major George Lunt, komendant Sił Ochrony Autochtonów na Zaratustrze, w nieprzyzwoitych słowach i ze znużeniem przyznał Jackowi rację. Zdjął beret i pas z pistoletem, rzucając je na tymczasowy stół. Następnie, rozglądając się dookoła, podszedł do krzesła i podniósł z niego cztery książki o luźnych kartkach oraz laminowane pudło wypchane papierami, z napisem *STARY BURBON ATOMOWY*, stawiając wszystko na podłodze. Po czym rozpiął kurtkę, usiadł na krześle i wyjął papierosy.

— Barak biurowy już stoi — oznajmił. — Czekają tylko na galar z ładunkiem budulca na podłogi.

— Jakąś godzinę temu rozmawiałem o tym przez teleekran. Przyleci dziś wieczorem. — Jutro o tej porze cały ten śmietnik mógłby już stąd zniknąć i obóz ponownie stałby się domem. — Czy ktoś wybiera się popołudniowym promem?

— Trzech ludzi. Wczoraj otworzyli biuro werbunkowe, ale nie widać wielkiego napływu chętnych. Kapitan Casagra obiecał pożyczyć nam na jakiś czas pięćdziesięciu komandosów i kilka kutrów. Ile mamy Kudłaczy, teraz, z tą nową grupką?

Policzył w myślach. Jego rodzinka: Kudłaczek, Mama i Dzidziuś, Mike i Mitzi, Ko-ko i Kopciuszek. Kudłacze George'a: Al Capone, Kuba Rozpruwacz, Jane Panikara, Bonnie i Clyde. Dziewięcioro znalezionych w obozie, kiedy wrócili z Mallorysport po ogłoszeniu wyroku. Sześcioro, które zjawiły się dwa dni temu, dwoje z wczorajszego wieczora i dzisiejsi goście.

— Trzydzieści osiem, razem z Dzidziusiem. Dość liczna gromadka — zauważył.

— Pozory — stwierdził Lunt. — Nasze patrole na północy zameldowały, że wciąż nadciągają nowe. Za tydzień będzie ich tutaj kilkaset.

Wcześniej zaś dotychczasowi mieszkańcy zaczną odczuwać tłok, i dużo ładnych tasaków poplamie się krwią krewetek. Podzielił się z Luntem swymi obawami i zapytał:

— Czy masz jakiś plan taktyczny na wypadek buntu autochtonów, majorze?

— Ostatnio często myślę o tym. Wiesz, jest pewien sposób na pozbycie się większości Kudłaczy — odparł Lunt. — Wystarczy napomknąć w telewizji, że mamy ich za dużo i nie wiemy, co z nimi robić, i że będziemy musieli ograniczyć przyjęcia.

Tak czy inaczej, będą musieli to uczynić. Po takiej kampanii reklamowej, w jaką przeistoczył się proces, ludzi ogarnęło szaleństwo na punkcie Kudłaczy. Wszyscy chcieli je mieć na własność, a gdzie jest zapotrzebowanie, tam pojawia się dostawca, legalny bądź nie. To cud, że lasy nie roją się od ludzi łapiących Kudłacze na sprzedaż. Z tego, co wiedział, mogły się już roić.

Jednakże wielu ludzi nie powinno mieć Kudłaczy. Nie tylko sadyści i zboczeńcy. Ludzie, którzy chcieliby je mieć tylko dlatego, że widzieli je u sąsiadów, a potem nie będą o nie dbali. Którzy pozbędą się ich prędko, porzucą za miastem. Którym nie może się pomieścić w tępych głowach, że

Kudłacze są istotami ludzkimi. Trzeba więc stworzyć jednolity system adopcyjny.

Natychmiast pomyślał o Ruth Ortheris, obecnie Ruth van Riebeek, jeśli o to chodzi, lecz ona i jej małżonek są zbyt pilnie potrzebni tu, w obozie, przy programie badań nad Kudłaczami. Po prostu za słabo je dotąd poznano, a on musi wiedzieć, co jest dla nich dobre, a co groźne.

Zerknął na zegarek. Dziewięta trzydzieści pięć, a zatem w Mallorysport jest dopiero pięć po wpół do szóstej. Po lunchu, który zjedzą przed południem ich czasu, połączy się z Ruth i zapyta ją, kiedy przylatuje.

3.

Pani van Riebeek — pięć dni temu zrezygnowała jednocześnie ze stopnia oficerskiego we Flocie i ze swego panińskiego nazwiska — powinna być szczęśliwą i podekscytowaną kobietą, mówiła do siebie Ruth. Wyrwała się z Wywiadu Floty, z jego mrocznych korytarzy, pełnych fałszu i podejrzeń, poślubiła Gerda; i każda dziewczyna naukowiec w Federacji chciałaby się z nią zamienić. Całkiem nowa gałąź wiedzy, badania nad nieznaną rasą sapientów. No cóż, to dopiero dziewiąty przypadek w ciągu pięciuset lat, odkąd pierwszy terrański statek kosmiczny opuścił Układ Słoneczny. Maleńki punkcik światła — cała, zdobyta przez nich, prawdziwa wiedza o Kudłaczach — otoczony strefą półmroku — przypuszczeń, na ogół błędnych. A poza tym ciemność ignorancji pełna dziwnych niespodzianek, czekająca, aby ją rozjaśnić. Tkwiła w tym od samego początku. To była wspaniała szansa.

Ale czyż nie był to po prostu piekielny sposób na spędzenie miodowego miesiąca?

Po ślubie wszystko zapowiadało się cudownie. Mieli spędzić leniwy tydzień w mieście, po prostu cieszyć się sobą, snuć plany na przyszłość i kupować sprzęty do nowego domu. Później mieli wrócić na Kontynent Beta, Gerd miał się zająć wydobywaniem kamieni słonecznych razem z Jackiem Hollowayem, a ona prowadzeniem domu. Mieli spędzić resztę życia dzieląc szczęście, mieszkając w lesie wraz z czwórką Kudłaczy, którym nadała imiona: Id, Superego, Kompleks i Syndrom.

Miodowy miesiąc, jako taki, trwał tylko jedną noc, tutaj, w hotelu Mallory. Następnego ranka, gdy nie wstali jeszcze od śniadania, na teleekranie zgłosił się Jack Holloway. Komodor Sił Kosmicznych Napier desygnował Bena Rainsforda na gubernatora, Ben natychmiast mianował

Jacka Komisarzem do spraw Autochtonów, a teraz Jack powoływał Gerda na szefa biura badawczego, uważając za rzecz oczywistą, że Gerd się zgodzi. Zgodził się, uważając za rzecz naturalną, że Ruth również się zgodzi, co też po krótkim wahaniu uczyniła.

Czyż ostatecznie każde z nich nie ponosiło odpowiedzialności za to, co się stało? Z pewnością nie ponosiły jej Kudłacze, nie one procesowały się o uznanie za sapientów. One myślą tylko o zabawie. I byli odpowiedzialni wobec Kudłaczy za to, co będzie z nimi potem, oni wszyscy: Ben Rainsford i Jack Holloway, ona i Gerd oraz Pancho Ybarra. A teraz również Lynne Andrews.

Przez otwarte drzwi do pokoju usłyszała z balkonu głos Lynne, po trosze wesoły, po trosze nerwowy:

— Wy diablęta! Przynieście to z powrotem! *Do-bizzó. So-dzos 'so-akil.*

Jeden z dwu samców, Superego, wpadł jak bomba do gabinetu z zapalonym papierosem w dłoni, a w ślad za nim drugi samiec, Id, oraz jedna z samiczek, Syndrom. Ruth włożyła słuchawkę do ucha i włączyła aparat, po raz tysięczny żałując, że Kudłacze nie mówią głosem słyszalnym dla człowieka. Id wołał, że teraz jest jego kolejka, i wyrwał papierosa Superego, odpychającego go drugą ręką. Zaciągnął się szybko i podał zdobycz Syndrom, która natychmiast włożyła go do ust. Id rzucił się w jej kierunku, aby odebrać papierosa, i w tym samym momencie spostrzegł, że Ruth również pali. Podbiegł do niej i wdrapał się na kolana, błagając:

— *Mamsia Łuf, dzos'so-aki pjerosso.*

Lynne Andrews, szczupła blondynka, weszła za nimi do pokoju, spod zielonej opaski na jej głowie zwieszał się przewód łączący słuchawkę z aparatem. Trzymała na rękach Kompleks, która wiła się i narzekała, że ciocia Lynne odmawia jej *pjerosso*.

— To chyba pierwsze terrańskie słowo, którego nauczyły się tak prędko — zauważyła Lynne.

— Niech sobie pali, nic jej nie będzie — odparła Ruth. — Wydaje się, że palenie im nie szkodzi — dodała z naukową przezornością.

Wiedziała, o czym myśli Lynne. Zwerbowali ją — a raczej zwabili - ze Szpitala Ogólnego w Mallorysport, bo potrzebowali doktora, którego tytuł miał bardziej praktyczną wartość niż jej czy Pancho Ybarry. Lynne była pediatrą z odpowiednią, jak się wydawało, specjalizacją, gdyż Kudłacze były wzrostu ludzkich niemowląt w wieku jednego roku, a pediatra, tak samo jak weterynarz, musi umieć zapewnić sobie choćby minimum współpracy ze strony pacjenta. Niestety, Lynne przekraczała ramy analogii i traktowała Kudłacze jak małe dzieci. Roczemu niemowlęciu nie wolno pozwolić na palenie tytoniu, a więc nie powinno się pozwolić również Kudłaczowi, który, z tego co wiedzieli, mógł liczyć sobie równie dobrze i pięćdziesiąt lat.

Oddała Idowi papierosa. Przewycięzając najwyraźniej uczucie, że popełnia straszny błąd, Lynne usiadła na kanapie i zapaliła trzy papierosy: dla Kompleks, dla siebie i dla Superego. Każdy Kudłacz miał teraz własnego *pjerosso*. Syndrom podbiegła do niskiego stolika na koktajle i wróciła z popielniczką, którą postawiła na podłodze. Rozsiadły się dookoła niej, wszystkie poza Idem, który wołał zostać na kolanach *Mamsi Łuf*.

— Lynne, one nie wezmą do ust niczego, co może im zaszkodzić — argumentowała Ruth. — Na przykład alkoholu.

Lynne musiała przyznać jej rację. Wszystkie Kudłacze próbowały trunków, choćby po to, żeby naśladować Dużych — tylko raz. Natychmiast się upijały, wystarczyła jedna kropla alkoholu, a podchmielony Kudłacz stanowił niesamowity widok. Kończyło się to kacem i wymiotami, po których nieszczęśnik więcej nie próbował alkoholu. To było jedno z jej odkryć, kiedy pracowała u Ernsta Mallina, kompanijnego psychologa, szpiegując swego szefa i Kompanię dla Wywiadu Floty.

— No cóż, nie wszystkie lubią *pjerosso*.

— Niektórzy ludzie naszej rasy również ich nie lubią. Niektórzy ludzie naszej rasy cierpią na alergię. Na jakie alergię cierpią Kudłacze? Masz następne zagadnienie do rozwiązania.

Ruth posadziła Ida na stole i przysunęła do siebie jedną z książek z luźnymi kartkami. Wzięła do ręki pióro i napisała to słowo u góry czystej stronicy. Id ujął drugie pióro i zaczął rysować w notatniku serie małych kółek.

W korytarzu otwarły się drzwi do sąsiedniego pokoju. Ruth usłyszała głos Pancho Ybarry i śmiech swego męża. Siedząca na podłodze trójka odłożyła papierosy do popielniczki, zerwała się na nogi i śmignęła do drugiego pokoju, z okrzykiem: — *Papsio Geh'd! Ujko Pankol.* — Id odrzucił pióro, skoczył na podłogę i pobiegł za nimi. Po chwili były z powrotem. Syndrom nosiła czapkę oficerską Floty, przytrzymując ją obiema rękami nad głową, aby coś widzieć. Id kroczył za nią w szarym, miękkim sombrero Gerda, a Kompleks i Superego dźwigały między sobą ogromną teczkę. Za nimi pojawili się Gerd i Pancho. Ubranie Gerda, świeżo odprasowane tego ranka, było już pogniecione, ale psycholog Floty wciąż wyglądał bardzo elegancko i dostojnie, jak spod igły. Ruth podniosła się i przywitała z nimi, całując męża w policzek. Pancho zbliżył się do stołu i usiadł obok Lynne.

— No, i co nowego? — zapytał Gerd.

— Zgłosił się Jack, mniej więcej przed godziną — odparła Ruth. — Postawili już laboratorium i wnieśli całą aparaturę. Zbudowali kilka bungalów, w tym podwójny dla nas. Jack oprowadził mnie po nim. Jest bardzo ładny. Wierciłam ludziom dziurę w brzuchu w sprawie komputera i pozostałego sprzętu. Możemy lecieć, jak tylko spakujemy nasze rzeczy.

— Dziś wieczorem, jeśli chcemy pędzić na złamanie karku i zjawić się w środku nocy — stwierdził. — Jutro po lunchu, jeśli nie chcemy się spieszyć. Ben Rainsford prosi nas dziś na obiad.

Dla Lynne zabrzmiało to trochę ludożerczo i opowiedziała się za jutrem.

— Co udało ci się załatwić w szpitalu? — zapytała.

— Dali nam wszystko, o co prosiliśmy, bez słowa sprzeciwu. To samo w centrum naukowym. Aż byłem zaskoczony.

— Ja nie — stwierdził Pancho. — Krąży tyle pogłosek, że rząd ma przejąć i szpital, i centrum. Za kilka tygodni możemy tym ludziom szefować. Co robimy z lunchem — idziemy do miasta, czy każemy przynieść tutaj?

— Niech przyniosą — zaproponowała Ruth. — Możemy sprawdzić listę sprzętu, a wy dwaj zbierzcie po południu wszystko, cośmy przeoczyły.

Pancho wyjął papierośnicę i stwierdził, że jest pusta.

— Hej, Lynne, *so-dzos'so-akipjerosso* — powiedział.

No cóż, miodowy miesiąc się odbędzie. Może nieco tłoczny, ale za to wesoły. A Pancho i Lynne zaczęli się sobą interesować. Ruth była bardzo zadowolona z tego faktu.

Najwyższy sędzia Frederic Pendarvis opierał się łokciami o pulpit i myślał o stojących przed nim trzech prawnikach w czarnych garniturach, występujących w sprawie John Doe, Richard Roe^[2] *et alii*^[3], Dobrowolne Stowarzyszenie Nierejestrowane *kontra* rząd kolonii Zaratustra.

Pierwszy mężczyzna stojący za barierką dla oskarżonych był olbrzymem, miał dobrze ponad dwa metry i sto kilogramów. Twarz o długim nosie przykrywała puszysta, siwobrazowa broda, a niesforna sterta takich samych włosów przypominała niestosownie aureolę. Jego nazwisko brzmiało Gustavus Adolphus Brannhard i zanim doszedł w błyskawiczny sposób do znaczenia na procesie, powszechnie zwanym Procesem o Kudłacze, dawał się głównie poznać z talentu do wywalczania wyroków uniewinniających dla bezsprzecznie winnych klientów, z odwagi łowcy polującego na grubą zwierzynę oraz ze zdolności do wchłaniania whisky bez dających się zauważyć rezultatów. Od kilku ostatnich dni pełnił funkcję ministra sprawiedliwości kolonii Zaratustra.

Mężczyzna stojący obok niego, trochę w tyle, również wydawałby się wysoki, gdyby nie stał w sąsiedztwie Gusa Brannharda. Był smukły, elegancko uprzejmy, a jego wąska, arystokratyczna twarz miała wyraz po trosze znudzenia, po trosze rozbawienia, jakby życie stanowiło żart, który już wiele razy słyszał. To był Leslie Coombes, główny adwokat Kompanii Zaratustra, a miejsce, jakie zajmował, sugerowało, że miał wspierać swego byłego rywala na procesie Społeczeństwo kontra Holloway i Kellogg.

Trzecią osobą, stojącą za barierką dla oskarżycieli, był Hugo Ingermann. Sędzia Pendarvis czynił ogromne wysiłki, aby nie mieć uprzedzeń wobec klientów Ingermanna. Według jego sprawdzonych wiadomości Ingermann stawał w sądzie co najmniej siedem razy w ciągu ostatnich sześciu lat, reprezentując absolutnie uczciwych i szanowanych obywateli, i było możliwe, aczkolwiek mało prawdopodobne, że to jest ósma okazja. Miał prawo stać tutaj i być wysłuchanym, był członkiem palestry, a sędzia nie miał dowodów na to, że skreślono go z listy adwokatów.

— Jest to proces, nieprawdaż, o nakazanie rządowi kolonii, aby stworzył możliwość osiedlania się i eksploatacji ziem stanowiących obecnie dobro publiczne, a także otworzył biura, gdzie będzie można składać wnioski o przyznanie takich terenów? — zapytał sędzia.

— Tak jest, Wysoki Sądzie. Ja reprezentuję powodów — powiedział Ingermann. Był niższy od tamtych mężczyzn — pulchny, o gładkiej, różowej twarzy, i zaczynał tracić włosy nad czołem. Niebieskie, okrągłe oczy miały wyraz kompletnej i bezwzględnej szczerości, mogącej zwieść każdego, kto nie mieszkał na Zaratustrze dość długo, by o nim słyszeć. Mówiłby dłużej, gdyby Pendarvis nie odwrócił się do Brannharda.

— Reprezentuję rząd kolonii, Wysoki Sądzie — stwierdził Gus. — Odrzucamy skargę strony powodowej.

— A pan, mecenasie Coombes?

— Ja reprezentuję Niekoncesjonowaną Kompanię Zaratustra — odparł. — Nie bierzemy bezpośredniego udziału w sprawie. Jestem tutaj jedynie

jako obserwator i *amicus curiae*^[4].

— Powiedział pan... Niekoncesjonowaną, mecenasie?... Kompania Zaratustra ma prawo być reprezentowana tutaj jako strona, jest bowiem poważnie zainteresowana materialnie. — Ciekawiło go, czyim pomysłem było określenie „Niekoncesjonowaną”? To było podobne do wisielczego humoru Victora Grego. — Mecenasie Ingermann?

— Wysoki Sądzie, powodom, których mam zaszczyt reprezentować na tej sali, chodzi o to, że skoro około osiemdziesięciu procent powierzchni lądowej naszej planety na mocy niedawnego orzeczenia Najwyższego Trybunału stało się dobrem publicznym, na rządzie kolonii spoczywa obowiązek udostępnienia jej społeczeństwu. Przewiduje to, Wysoki Sądzie, jasno i wyraźnie Prawo Federacyjne...

Przystąpił do cytowania ustaw, paragrafów, artykułów, precedensów, odpowiednich wyroków sądów federacyjnych na innych planetach. Mówił wyłącznie do protokołu; to wszystko było zawarte w złożonym przezeń wniosku. Należało tego słuchać, były wszakże pewne granice.

— Tak, mecenasie Ingermann, Sąd zna prawo i bierze pod uwagę, że przestrzegano go w innych sprawach — wtrącił sędzia. — Rząd nie spiera się o to, mecenasie Brannhard?

— Bynajmniej, Wysoki Sądzie. Jest od tego daleki. Osobiście gubernator Rainsford bardzo pragnie przenieść prawo własności nie zasiedlonej ziemi w prywatne ręce...

— No tak, ale kiedy? — zapytał Ingermann. — Jak długo jeszcze gubernator Rainsford zamierza zwlekać...

— Mecenas Ingermann nie ma podstaw do takiej oceny sytuacji — przerwał mu Brannhard. — Trzeba pamiętać, że nie minął jeszcze tydzień, odkąd na tej planecie mamy w ogóle jakąś publiczną ziemię.

— I odkąd istnieje rząd, którego klienci mecenasa Ingermanna ciągną po sądach — dodał Coombes. — Sądzę, że zdołałbym przeżyć informację,

kim są owi panowie Doe i Roe. Nazwiska wydają się cokolwiek znajome, lecz...

— Wysoki Sądzie, moi klienci to grupa obywateli zainteresowanych w uzyskaniu ziemi — odparł Ingermann. — Poszukiwacze, traperzy, dzierżawcy rolni, drobni hodowcy trawożerów...

— Lichwiarze, paserzy, wydrwigrosze, spekulanci, tak zwani maklerzy — ciągnął Brannhard.

— To prości mieszkańcy tej planety! — zaprotestował Ingermann. — Robotnicy, twardzi, uczciwi farmerzy, ludzie żyjący na skraju cywilizacji, których Kompania Zaratustra trzymała tu na robotach za długi, dopóki nie odzyskali wolności dzięki wielkim, historycznym decyzjom noszącym imię Wysokiego Sądu.

— Hola, hola — wycedził Coombes. — Wysoki Sądzie, zwrot *roboty za długi* posiada w prawie specyficzne znaczenie. Muszę gwałtownie zaprzeczyć, aby kiedykolwiek odpowiadał on stosunkom między Kompanią Zaratustra a mieszkańcami tej planety.

— To był nietrafny zwrot, mecenasie Ingermann. Zostanie usunięty z protokołu.

— Wysoki Sądzie, nadal nie znamy nazwisk klientów mecenasa Ingermanna — zauważył Brannhard. — Czy mogę zaproponować, aby szanowny kolega wszedł za barierkę dla świadków i wyjawiał je?

Ingermann spojrzał odruchowo na podium, na masywne krzesło z końcówkami elektrod i jaskrawym, metalowym hełmem nad oparciem, oraz na przezroczystą kulę na stojaku. Nagle zaczął gwałtownie protestować. Jak dotąd Hugonowi Ingermannowi udało się uniknąć zeznawania pod prawdomierzem. Może dlatego był nadal członkiem palestry, a nie skazańcem.

— Nie, mecenasie Brannhard — odparł z prawdziwym smutkiem sędziego. — Mecenas Ingermann nie musi wyjawiać nazwisk swoich klientów. Działania mecenasa Ingermanna mieszczą się w granicach uprawnień

adwokata, który podejmuje kroki prawne na własną odpowiedzialność, powodowany głęboką miłością do prawa i swym powszechnie znanym zaangażowaniem w interes społeczny.

Brannhard wzruszył mocno ramionami. Nikt mu nie mógł zarzucić, że nie próbował. Odezwał się Coombes:

— Wysoki Sądzie, wszyscy się zgadzamy co do obowiązków rządu, ale czy mecenasowi Ingermannowi ani Wysokiemu Sądowi nie przyszło na myśl, że obecny rząd jest tylko figurantem ustanowionym za sprawą władz wojskowych? Komodor Napier działał, do czego był zobowiązany jako wysoki oficer Armii Federacji Terrańskiej, na rzecz ustanowienia rządu cywilnego w miejsce poprzedniego rządu, uznanego przez Wysoki Sąd za nielegalny. Dopóki nie przeprowadzi się wyborów i nie zbierze się powszechnie akceptowana Legislatura, mogą się zrodzić poważne wątpliwości co do mocy prawnej niektórych zarządzeń gubernatora Rainsforda. Chodzi zwłaszcza o nadawanie tytułów do ziemi. Wysoki Sądzie, czy chcemy, by nasze sądownictwo zajmowało się w nadchodzących latach wyłącznie procesami o takie tytuły?

— Rządowi zależy dokładnie na tym samym — przyznał Brannhard. — Jesteśmy prawnie zobligowani do rozpisania wyborów przed upływem roku. Aby temu sprostać, musimy przeprowadzić elekcję delegatów do Zgromadzenia Konstytucyjnego i przyjąć planetarną konstytucję. Zajmie to od sześciu do ośmiu miesięcy. Dopiero wtedy zwrócimy się do Sądu o wstrzymanie działań w tym zakresie.

— To całkiem rozsądne, mecenasie Brannhard. Sąd uznaje prawne obowiązki rządu, ale nie uznaje jakiegokolwiek pośpiechu w ich wypełnianiu. Jeśli w ciągu roku uda się rządowi stworzyć możliwość przejmowania gruntów publicznych i założyć biura do przyjmowania roszczeń, Sąd będzie całkiem zadowolony. — Stuknął lekko młotkiem. — Następna sprawa, jeśli można — powiedział do woźnego.

— Już rozumiem! — Ingermann nieomal krzyknął. — Kompania Zaratustra przejęła na siebie nowy Rząd klasy IV i wymiar sprawiedliwości razem z nim!

Sędzia ponownie uderzył młotkiem w pulpit, tym razem trzasnęło jak wystrzał karabinowy.

— Mecenasiu Ingermann! Chce się pan świadomie narazić na zarzut obrazy sądu, czyż tak? — zapytał. — Nie? Miałem taką nadzieję. Następna sprawa, proszę.

Leslie Coombes przyjął koktajl z odruchowym słowem podziękui, skosztował go i postawił szklanke na niskim stoliku. Wysoko w ogrodzie otaczającym apartament Victora Grego na dachu budynku Kompanii panował chłód i cisza, zachodnie niebo ogarniała przedwieczorna pożoga czerwonych, żółtych i pomarańczowych rozbłysków.

— Nie, Victorze, Gus Brannhard nie jest naszym przyjacielem. Nie jest też naszym wrogiem, ale jako minister sprawiedliwości jest adwokatem Bena Rainsforda i rządu — w tym momencie trudno rozróżnić jedno od drugiego. Ben Rainsford czuje nienawiść do nas wszystkich i pragnie zemsty.

Victor Grego podniósł wzrok znad drinka, którego sobie nalewał. Miał szeroką twarz. Kilka nitek siwizny lśniło na jego skroniach w blasku zachodzącego słońca, nie było ich tam przed procesem o Kudłacze.

— Nie rozumiem dlaczego — powiedział. — Przecież już po wszystkim. Wywalczyli to, co chcieli, jeśli chodzi o Kudłacze. Na niczym więcej im nie zależało, prawda?

Jest całkiem szczery również w tej kwestii, pomyślał Coombes. Grego po prostu nie lubił rozpamiętywać przeszłości, która nigdy nie wróci.

— Jeśli chodzi o Jacka Hollowaya i Gerda van Riebeeka, owszem, nie mieli innych celów. Brannhard był ich adwokatem, z równą zaciekleścią walczył o uznanie tych chochlików stepowych za sapientów. Ale Rainsford traktuje to bardzo osobiście. Kudłacze były jego wielkim odkryciem

naukowym, my zaś chcieliśmy go zdyskredytować, a to czyni z nas Złych Facetów. W ostatnim rozdziale Żli Faceci muszą zginąć albo trafić za kratki.

Grego zakorkował karafkę i wziął do ręki szklanę.

— Nie doszliśmy jeszcze do ostatniego rozdziału — odparł. — Nie chcę żadnych nowych wojen, nie naprawiliśmy szkód po ostatniej. Ale jeśli dąży do niej Ben Rainsford, nie zamierzam brać nóg za pas. Słuchaj no, możemy mu trochę obrzydzić życie. — Wysączył powoli drinka i odstawił szklanę. — Jego tak zwany rząd jest zrujnowany, wiesz o tym, prawda? Dopiero za sześć albo osiem miesięcy zbierze się Zgromadzenie Konstytucyjne i odbędzie pierwszą sesję, a rządowi nie wolno ściągać podatków na podstawie własnego zarządzenia, bo jest tylko organem wykonawczym. Należy to wyłącznie do prerogatyw władzy ustawodawczej. Tymczasem będzie musiał pożyczać, a jedynym miejscem, w którym może zaciągnąć pożyczkę, jest kontrolowany przez nas bank.

Na tym polegała trudność z Victorem. Kiedy coś lub ktoś go sprowokował, jego pierwszą reakcją było oddanie ciosu. Zgodnie z tym instynktem, usłyszawszy o Kudłaczach, rzucił się najpierw do wydobywania Kompanii z bagna.

— Cóż, nie radziłbym wciągać pogromców planety na udeptaną ziemię — powiedział. — Gus Brannhard i Alex Napier, między sobą, namówili Rainsforda, żeby nie podejmował kroków przeciw nam za nasze działania przed procesem. Poza tym przekonali go, że zrujnuje gospodarę planety, jeśli za bardzo będzie się starał zniszczyć Kompanię. Płyniemy w tej samej łodzi, a przede wszystkim nie możemy sobie pozwolić na posiadanie rządu bankruta. Niech pożyczka tyle pieniędzy, ile chce.

— A potem zedrze z nas podatki, aby je spłacić?

— Nie, jeśli zdobędziemy kontrolę nad Zgromadzeniem i sami opracujemy ustawy podatkowe. To jest walka polityczna, stosujemy broń polityczną.

— Chodzi ci o stworzenie partii Kompanii Zaratustra? — zaśmiał się Grego. — Masz pojęcie, jak niepopularna jest Kompania w tej chwili?

— Nie, nie. Tworzenie partii zostaw obywatelom i wyborcom. My po prostu wybierzemy sobie najlepszą i ją przejmujemy. Pozostanie nam tylko zorganizowanie struktury politycznej.

Grego powoli uśmiechnął się nad szklanką i przełknął ślinę.

— Tak, Leslie. Nie muszę ci chyba podpowiadać, co robić. Wiesz to lepiej niż ja. Masz na myśli jakichś ludzi, którzy mogliby stanąć na jej czele? Nie powinni się kojarzyć z Kompanią, przynajmniej w oczach opinii publicznej.

Wymienił kilka nazwisk — niezależnych biznesmenów, dziedzicznych plantatorów, fachowców, duchownego i tak dalej. Grego kiwał głową z aprobatą przy każdym nazwisku.

— Hugo Ingermann — powiedział.

— Wielki Boże! — Przez chwilę Coombes nie wierzył własnym uszom. Po czym się zatrząsł. — Nie chcemy mieć z tym gościem nic wspólnego. Do diabła, ani jedno draństwo w Mallorysport, zbrodnicze czy tylko nieuczciwe praktyki nie mogą się obyć bez tego drania. Powtórzyłem ci, co wygadywał dzisiaj w sądzie.

Grego znowu skinął głową.

— Słowo w słowo. No trudno, nie będziemy mieli z nim do czynienia. Niech kroczy sobie dalej śliską drogą i zarabia na wszystkich aferach, jakie wywołuje. Twierdzisz, że Rainsford myśli kategoriami Dobrych i Złych Facetów? Zgoda, Hugo Ingermann jest najgorszym ze Złych Facetów na planecie i jeśli Rainsford tego nie wie, a chyba nie wie, to Gus Brannhard go oświeci. Liczę tylko na to, że Ingermann będzie dalej atakować Kompanię, ilekroć otworzy usta. — Dopił zawartość szklanki i odkorkował karafkę. — Zostaniesz, Leslie? Za pół godziny kolacja.

Kiedy Gus Brannhard ruszył po trawniku położonym po południowej stronie budynku rządu, wybiegło mu na powitanie dwoje Kudłaczy.

Nazywały się Flora i Fauna, i jak zwykle musiał przystanąć, aby sobie przypomnieć, że fauny były płci męskiej, a Flora to popularne imię żeńskie. Ależ niektórzy ludzie mają talent do nadawania imion Kudłaczom. Rzecz jasna, Ben był przyrodnikiem. Gdyby Gus miał własne Kudłacze, nazwałby je zapewne Zbrodnią i Występkiem, albo Kiciem i Celą. Włożył słuchaweczkę do ucha i przykucnął, by dostosować się do ich wzrostu.

— Czołem, istoty rozumne. Trzymajcie ręce z dala od bokobrodów Wujka Gusa. — Spojrzał w górę i zobaczył zbliżającego się, drobnego mężczyznę z rudą brodą. — Cześć, Ben. Ciebie też tak szarpia?

— Czasami. Nie mają za co. Twoja jest dużo bardziej pociągająca. Jack Holloway mówi, że uważają cię za Wielkiego Kudłacza. — Kudłacze pokazywały na drugą stronę trawnika, wołając do niego, aby poszedł tam i rzucił na coś okiem. — Ach, tak. Ich nowy dom. Daję głowę, że żaden Kudłacz w okolicy nie ma ładniejszej chałupy. *Dob'ra*, dzieciaki, *bizzo*.

Nowy dom był namiotem desantu kosmicznego, rozpiętym na otwartej łące przed fontanną. Dwoje Kudłaczy miało w nim więcej miejsca niż dwaj komandosi. W środku poniewierały się skarby, towary ze sklepów z zabawkami, kolorowe i jaskrawe rupiecie o dziwacznych kształtach, pozbierane Bóg wie gdzie. Zwrócił uwagę na solidną, dziecinną taczkę i zapytał o nią Bena.

— Ach, tak, właśnie wynaleźliśmy koło — odparł. — Objaśniały mi to przez cały wczorajszy wieczór, bardzo inteligentnie, o ile dobrze zrozumiałem. Zabierają się wzajemnie na przejażdżki i świetnie pokonują zakręty. Korzystają z niej przy zbieraniu łupów. W tym też są bardzo dobre, zawsze pytają, czy mogą coś zatrzymać.

— No, to po prostu wspaniale — rzekł Brannhard do Kudłaczy, powtarzając to w ich języku. Ben pogratulował mu postępów w nauce.

— Lepiej, do diabła, żebyśmy go znał. Pendarvis chce założyć Sąd dla Autochtonów, taki sam jakie mają na Loki, Gimli i Thorze. Ciekawe, kiedy przyjdzie mi przesłuchać gromadę Kudłaczy jako świadków?

Zajrzał do namiotu. Pod ścianą piętrzyły się koce i poduszki. Jak widać, sprzątanie pościeli nie należało do zalet gospodarzy. Łóżko służyło do spania i Kudłacz nie widział żadnego sensu w tym, by wieczorem je ścielić, a rano pościel chować z powrotem. Gus przyjrzał się kilku innym przedmiotom i wziął do ręki mały nóż, sprawdzając jego ostrość na swym kciuku. Flora natychmiast zawołała:

— *Noszq, Ujko Gus! Ost'rre, skafczia!*

— Mój Boże, Ben, słyszałeś, co ona powiedziała? Ta mała mówi po terrańsku!

— Zgadza się. Od tego rozpocząłem ich edukację. Poza tym nie musisz im niczego powtarzać dwa razy. — Zerknął na zegarek i wyrzekł kilka słów do Kudłaczy. Wydawały się niezadowolone, ale Fauna odpowiedziała: — *Dob'ra* — i wbiegł do namiotu, po czym wrócił z woreczkami dla siebie i Flory oraz dwoma tasakami. — Powiedziałem im, że musimy zrobić Duża Rozmowa, żeby poszły zapolować sobie na krewetki. Kazałem dziś rano sprowadzić ich trochę i wypuścić na wolność.

Fauna wgramolił się na taczkę. Flora stanęła między uchwytami i uniosła je do góry, ruszając pędem przed siebie z wrzeszczącym pasażerem. Ben patrzył w ślad za nimi, jak znikają wśród krzaków, po czym wyjął fajkę i tytoń.

— Gus, po co, u diabła, Leslie Coombes zjawił się dziś w sądzie i popierał cię przeciw temu Ingermannowi? — zapytał.

— Sądzę, że podpuścił go sam Grego.

— Tak, ilekroć stanie się coś złego, winę ponosi Grego.

— Nie, Ben. Kompania nie życzy sobie rozpoczynania wielkiej gorączki ziemi, tak samo jak my. Nie chcą, aby cała siła robocza oszalała na tym punkcie, a może do tego dojść. Nie mam pojęcia, dlaczego nie potrafię wbić ci do głowy, że ty i Victor Grego macie wspólny interes w utrzymaniu spokoju na planecie.

— Zgoda, jeśli mógłby ją kontrolować w taki sam sposób jak dotychczas. Cóż, nie zamierzam mu na to pozwolić...

Gus mruknął niecierpliwie.

— Co do Ingermanna, Grego nie dotknąłby go kijem długim na dziesięć lat światła. Nazywasz Grego kryminalistą? No, może byłeś na Becie zbyt zajęty liczeniem słoï na pniach drzew i badaniem życia miłosnego chochlików stepowych, by znać podziemie przestępcze Mallorysport, ale ja, będąc zawodowym prawnikiem, musiałem je poznać. Victor Grego to święty człowiek przy Hugo Ingermannie. Zawieszają jego podobizny we wszystkich kościołach i czynią nimi cuda. Wymień jakikolwiek rodzaj działalności kryminalnej — narkotyki, prostytutka, hazard, szantaż, niedozwolony handel kamieniami słonecznymi, lichwa, paserstwo — za tym wszystkim stoi Ingermann. A dzisiejsza skarga? Działał w interesie bandy oszustów, którzy chcą zbić majątek na spekulacji ziemią. Dlatego chciałem go powstrzymać i dlatego Grego przysłał mi na pomoc Coombesa. Ben, przekonasz się, że to dopiero pierwsza z licznych okazji, kiedy ty i Grego będziecie po tej samej stronie.

Rainsford otworzył usta, aby odpowiedzieć ze złością, ale zanim zdążył wymówić pierwsze słowo, z wylotu ruchomych schodów na wyższym tarasie dotarł do nich głos Gerda van Riebeeeka.

— Jest ktoś na dole w domu?

— Nie, tylko my, Kudłacze — odkrzyknął Rainsford. — Schodź, Gerd.

4.

Z westchnieniem ulgi Victor Grego wkroczył do salonu swego apartamentu z ogrodem. Jego ręka sięgnęła do kontaktu obok drzwi, po czym opadła. Nikły blask rozproszonego światła zza krawędzi sufitu był wystarczający. Po prostu zrobi sobie drinka i posiedzi w wieczornej ciszy, żeby odpocząć. Miał zmęczone ciało, bardziej niż wynikałoby to z jego wieku, ale w mózgu wciąż z najwyższą prędkością trwała gonitwa myśli. Nie ma sensu kłaść się teraz spać.

Zdjąwszy marynarkę i krawat, rzucił je na krzesło, następnie podszedł do barku, rozpinając kołnierzyk przy koszuli. Przełał do karafki pół butelki brandy i ruszył w stronę ulubionego fotela wypoczynkowego, po czym zawrócił po butelkę. Jedna szklaneczka nie wystarczy do zatrzymania wirujących trybików w jego mózgu. Postawił butelkę na niskim stole obok rzeźbionej karafki i usiadł, zastanawiając się, które z jego spostrzeżeń jest najbardziej niepokojące. Mniejsza z tym; rozsiadł się wygodnie i przymknął oczy, sącząc powoli brandy.

Znaleźli rozwiązanie problemu w krainie trawożerów na kontynentach Beta i Delta, przynajmniej w takim stopniu, że wiedzieli, co trzeba zrobić. Przerwać wszelkie roboty inżynieryjne, projekt drenażu Wielkiej Czarnej Wody i rozmaite prace budowlane. Skierować ludzi na pastwiska, wydać im sprzęt bojowy i wypłacać żołd, aby zajęli się tymi bandami złodziei bydła, które mnożą się jak wszyscy diabli. Może kiedy wybuchnie kilka wojen na pastwiskach, Ian Ferguson i jego oddziały policyjne poczują się zmuszeni ruszyć na pomoc. Lecz przede wszystkim trzymać w jednym miejscu stada bydła. A także stada dzikich trawożerów, Ben Rainsford to człowiek starej daty, powinien być zainteresowany w ich ochronie.

Nie podjął jeszcze decyzji co do polityki skupu kamienia słonecznego. Niedostateczna informacja na temat sytuacji bieżącej. Będzie musiał coś z tym zrobić.

Ach, pal diabli, jutro się nad tym zastanowi.

Łyknął jeszcze trochę brandy i sięgnął do szklanej salaterki na niskim stoliku. Okazało się, że jest pusta. Poczul lęk. Idąc z Leslie Coombesem przez pokój na dół na kolację, widział, że była wypełniona do połowy smakołykami, które prywatnie nazywał chrupankami i solonymi orzeszkami, batonikami i podobnymi rzeczami.

A może nie była? Może tak mu się tylko zdawało? Znowu się zaniepokoił. Ponadto zapomniał rano o inwentaryzacji rezerw kamieni słonecznych. Najlepiej wezwać Ernsta Mallina i dać mu się zbadać.

Raptem zaśmiał się ponuro. Jeśli ktoś powinien dać się zbadać, to był nim właśnie czołowy psycholog Kompanii. Biedny Ernst, dostał niezły wycisk, a teraz myśli, że za wszystko obwinia się właśnie jego.

To oczywiście nieprawda. Mallin zrobił, co mógł i nikt nie uczyniłby więcej w sytuacji bez wyjścia. Kudłacze to istoty rozumne i nic nie można na to poradzić, a temu Mallin nie był winny. To, że musiał zeznawać w sądzie, było winą jego bezpośredniej podwładnej, doktor Ruth Ortheris, która okazała się także porucznikiem z listy oficerów rezerwy Wywiadu Floty Federacji Terrańskiej. Przede wszystkim dała cynk Wywiadowi o Kudłaczach. To ona przeszmurowała rodzinę Kudłaczy Jacka Hollowaya z centrum naukowego po tym, gdy zabrał je Leslie Coombes na podstawie sfalszowanego nakazu sądowego. I to ona nalegała, aby schwytać żywcem drugą rodzinę Kudłaczy, czym wrobiła Ernsta Mallina.

To był majstersztyk. Oglądał proces na ekranie, obserwował nieszczęśnika na podium dla świadków, kiedy powtarzał z uporem, że Kudłacze to tylko małe, głupie zwierzątka, a rozplomieniona na czerwono kula prawdomierza nad jego głową wyzywała go od kłamców, ilekroć

otworzył usta. No cóż, to właśnie Ruth van Riebeek sprawiła, że Kompania wykończyła samą siebie przy pomocy własnego świadka.

Powinien ją za to nienawidzić. Nie odczuwał nienawiści, podziwiał ją, tak jak podziwiałby każdego, kto miał zadanie do wykonania i wykonał je bezbłędnie. Cholernie brakowało mu takich ludzi w jego organizacji.

Należy wszakże uczynić coś dla Ernsta. Nie może pełnić dalej funkcji szefa centrum naukowego, tyle że trzeba mu dać kopniaka w górę. Należy chyba poszukać dla niego jakiegoś stanowiska.

W końcu zdecydował, że może już udać się na spoczynek. Odstawił brandy do barku, pozbierał rozrzucone części garderoby i wszedł do sypialni, zapalając światło.

Spojrząwszy na łóżko, zobaczył jakąś sylwetkę w złocistym futerku, tulącą się do poduszek. Rzucił przekleństwo. Jedną z tych lalek Kudłaczy naturalnej wielkości. Można je było wszędzie kupić, odkąd Kudłacze stały się modne. No, jeśli ktoś w ten sposób wyobraża sobie poczucie humoru...

Nagle rzekoma lalka wyprostowała się na łóżku, zamrugła oczami i powiedziała:

— *Ik?*

— Cholera, ona jest żywa! — krzyknął. — To prawdziwy Kudłacz! — Kudłacz był wystraszony, patrzył na Victora, a jednocześnie rozglądał się za drogą ucieczki. — Nie bój się, mały — uspokoił go. — Nie zrobię ci krzywdy. Właściwie, jak się tu dostałeś?

Wyjaśniła się przynajmniej zagadka pustej salaterki, jej zawartość trafiła do brzucha Kudłacza. Myśląc, że ktoś mu zrobił kawał, Grego poczuł złość. Wiedząc już, że to nie żarty, zaczął się niepokoić.

Kudłacz bacznie mu się przyglądał. Wreszcie doszedł jednak do wniosku, że Duży nie ma wrogich zamiarów i może nawet okazać się przyjacielem. Wstał, próbując zrobić kilka kroków na miękkim materacu pneumatycznym, i fiknął koziołka. Błyskawicznie zerwał się na nogi, odbijając w powietrze dwa razy wyżej ponad swój wzrost. Podskakiwał i

ikał ze szczęścia. Grego chwycił go podczas drugiego salta i posadził na łóżku obok siebie.

— Zjadłbyś coś, szkrabie? — Talerz chrupek nie stanowił wielkiego posiłku nawet dla Kudłacza. Poza tym łakocie były słone. — Na pewno jesteś spragniony. — Jak nazywały Jacka Hollowaya jego Kudłacze? Papciem Jackiem. — A więc Papcio Vic zaprasza cię na skromny poczęstunek.

We wnęce śniadaniowej nieproszony gość wypił dwie i pół szklaneczki wody, a jego gospodarz zastanawiał się, czym go nakarmić. Jack Holloway dawał swoim Kudłaczom Pezeter Trzy, on zaś nie miał... Ach, tak, chyba miał.

Wszedł do sypialni i otworzył jedną z szafek, gdzie trzymał ekwipunek polowy — strzelby, śpiwór, kamery i lornetki oraz kilka prostokątnych, stalowych skrzynek do ładowania na kuter, wypełnionych sprzętem obozowym. Otworzył jedną, zawierającą prowiant, który przywiózł z Terry i wykorzystywał na wyprawach terenowych. Faktycznie, było w niej kilka puszek z Pezeterem Trzy.

Kudłacz, który wybałuszał oczy obok niego, iknął z przejęcia na widok niebieskich etykietek i pobiegł przodem do kuchenki. Nie mógł się doczekać otwarcia puszek. Musiano go już częstować Pezeterem Trzy.

Grego zrobił dla siebie kanapkę i usiadł przy stole. Kudłacz jadł, a on wciąż się niepokoił. Do budynku Kompanii prowadziły tylko cztery wejścia i wszystkie drzwi były pod stałą strażą. Pierwsze okna znajdowały się na wysokości co najmniej dwudziestu metrów. Chociaż nie było do końca pewne, czego Kudłacze nie potrafią, wątpił, czy zdążyły się już nauczyć pilotowania statków powietrznych. A więc ktoś musiał go tutaj przynieść i oprócz *jak*, na co można odpowiedzieć — szalupą, pytanie rozgałęziało się na kiedy, kto oraz po co?

Pytanie *po co* martwiło go najbardziej. Kudłacze, czego nie musiał sobie przypominać, to istoty rozumne, podopieczni Federacji Terrańskiej, i mogą

padać ofiarą rozmaitych przestępstw. Na Leonardzie Kelloggu byłaby wykonana kara śmierci za zabicie jednego z nich, gdyby sam nie wyręczył katów i nie popełnił samobójstwa w swojej celi. Poza morderstwem jest jeszcze porwanie i bezprawne pozbawienie wolności. Może ktoś chce go zrobić.

Włączył teleekran i wystukał kombinację zgłoszeniową biura komendanta w siedzibie ochrony Kompanii. Zgłosił się kapitan Morgan Lansky, który zastępował Steefera od północy do szóstej. Na widok Victora Grego wyrzucił papierosa, podciągnął zamek kurtki, usiłując przybrać wygląd człowieka czujnego, całkowicie przytomnego i zapracowanego.

— O, pan Grego! Czy coś się stało?

— To właśnie chciałbym wiedzieć, kapitanie. Mam tutaj na górze, w moim apartamencie, jakiegoś Kudłacza. Ciekawe, jak się tu dostał.

— Kudłacza? Jest pan pewny, panie Grego?

Schylił się po swego gościa i usadowił go na stole. Kudłacz ścisnął kurczowo połówkę placka Pezeter Trzy. Na widok patrzącego nań ze ściany Lansky'ego iknął ze zdumienia.

— Co pan o tym sądzi, kapitanie?

Kapitan sądził, że niech to diabli wezmą.

— Jak się dostał do środka, panie Grego?

W duchu modlił się do Boga o cierpliwość.

— Przecież o to pytam. Po pierwsze, czy domyśla się pan, w jaki sposób mógł wejść do budynku?

— Ktoś go musiał przywieźć — zdecydował po namyśle kapitan. — Na pokładzie kutra — dodał po dalszej refleksji.

— Tyle to i ja wiem. Kiedy to się mogło stać, jak pan przypuszcza?

Lansky począł kiwać głową. Nagle błysnęła mu myśl.

— Już wiem, panie Grego! Myszkowanie!

— Jakie myszkowanie?

— No, myszkowanie. Myszkowanie i plądrowanie, w biurach i rozmaitych pomieszczeniach. Ktoś się wkrada na zaplecza bufetów, gdzie trzymają słodczyce i towar dla handlujących robotów. To się zaczęło chyba w nocy szesnastego. — To znaczy, trzy dni temu. — Pierwszy meldunek wpłynął przedwczoraj rano, po przyjściu zmiany dyżurującej od szóstej do dwunastej. Powtarza się to stale od tej pory, co rano ktoś plądruje i myszkuje w różnych miejscach. Myśli pan, że to robota Kudłacza?

Nie widział powodu, by zaprzeczać. Kudłacze to drobne istoty rozumne, które świetnie umieją nie rzucać się w oczy, jeśli chcą. Czyż nie przetrwały tysiące lat w lasach, wymykając się harpiom i chochlikom stepowym? A budynek Kompanii był pełen kryjówek. Wzniesiono go dwanaście lat temu, w trzy lata po jego przybyciu na Zaratustrę, i był ogromny. Inaczej niż gmachy na Terze, które wymagały rozbiórki po kilku dekadach, miał stanowić siedzibę Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra przez kilka stuleci. Osiemnaście poziomów, na każdym poziomie od sześciu do ośmiu pięter, większość pustych, poza tym wiele nieukończonych, czekających na wchłonięcie przez KKZ.

— Doktor Jimenez złapał kilka osobników dla doktora Mallina — odezwał się Lansky. — Może to któryś z nich.

Skrzywił się w myślach na to wspomnienie. Schwytnie tych Kudłaczy i pozwolenie Mallinowi, aby je zbadał, było najgorszym błędem w całej sprawie, a sposób, w jaki się od nich uwolnili, zajmował bardzo bliskie drugie miejsce.

Tępy porucznik z miejskiej policji w Mallorysport na własną rękę sprowokował aferę z dziesięcioletnią dziewczynką, Lolitą Lurkin, zaatakowaną rzekomo przez Kudłacze, natomiast gubernator generalny Nick Emmert, pędzący obecnie w kierunku Terry na pokładzie niszczyciela z Kserksesa, aby stanąć przed sądem za nadużycie władzy, wyznaczył nagrodę pięciu tysięcy soli za każdego z Kudłaczy Jacka Hollowaya,

przebywających przypuszczalnie na wolności w mieście. Żywego lub martwego: właśnie to spowodowało historyczną obławę na Kudłaczę.

Wtedy właśnie on i Leslie Coombes popełnili własne arcydzieło głupoty, wypuszczając na wolność kilkoro Kudłaczy, nad którymi pracował Mallin, a które wszyscy z wielką ochotą widzieliby ostatni raz w życiu. Liczyli, że zginą od strzałów łowców nagród. Niestety, znalazł je poszukujący swych Kudłaczy Jack Holloway, niemający pojęcia, że przebywają one bezpieczne w bazie Floty na Kserksesie, i bardzo się z tego cieszył. Teraz mieszkały u Gerda i Ruth van Riebeeków.

— Nie, kapitanie.. Te wszystkie są policzone. A doktor Jimenez nie przywiózł żadnych innych do Mallorysport.

Cofnął tym Lansky'ego do punktu wyjścia. Oficer nagle zmienił temat:

— No trudno, zaraz kogoś przyślę na górę po niego, panie Grego.

— Proszę tego nie robić, kapitanie. Kudłaczowi jest tu bardzo dobrze, znalazł się pod dobrą opieką. Chcę tylko wiedzieć, jak się dostał do budynku Kompanii. Śledztwo powinno być dyskretne. Niech pan to przekaże komendantowi, kiedy przyjdzie. — Raptem przypomniał sobie o czymś. — Aha, niech pan zdobędzie skrzynkę Pezetera Trzy, proszę się tym zająć przed zejściem ze służby. I niech pan nie zapomni wstawić jej do mojej windy z zaopatrzeniem, odbiorę ją jutro z samego rana.

Kudłacz był niezadowolony, kiedy Grego wyłączył monitor. Nie miał pojęcia, gdzie się podział ten śmieszny człowiek ze ściany. Dokończył Pezetera Trzy i sprawiał wrażenie, że najadł się do syta. Nic dziwnego, jedna porcja takiego placka trzymała człowieka na nogach przez dwadzieścia cztery godziny.

Będzie musiał zrobić Kudłaczowi miejsce do spania. I znaleźć sposób na to, żeby sam mógł pić wodę. Nie dosięgał do zlewu we wnęce kuchennej. Na zewnątrz znajdował się hydrant, z którego korzystał ogrodnik. Wyszedł na powietrze, odkręcił lekko kran, podstawił miskę i położył obok mały, metalowy kubek. Kudłacz domyślił się, o co chodzi, i iknął z uznaniem.

Trzeba będzie poprosić o słuchawki, które wynaleźli ludzie z Floty, i nauczyć się języka Kudłaczy.

Raptem przypomniał sobie, że Kudłacze bardzo skrupulatnie dbają o higienę. Wrócił do mieszkania i udał się do dużego pomieszczenia za kuchenką, służącego kucharzowi za spiżarnię, majordomusowi za magazyn, ogrodnikowi za rozsadnik i warsztat, a wszystkim za ogólną rupieciarnię. Nie wchodził tam od wieków. Zaklął soczyście na widok panującego w nim bałaganu i przystąpił do szukania dla Kudłacza czegoś, co mogło pełnić rolę łopatk.

Wybrał łyżkę do oliwy z solidną rączką. Zaniósł ją do ogrodu, wykopał dołek w klombie z kwiatami i pozostawił w ziemi obok nich. Kudłacz wiedział, do czego służy otwór i skorzystał z niego, po czym uzupełnił ziemię i wetknął łyżkę w tym samym miejscu, w którym ją znalazł. Poczytał kilka ultradźwiękowych uwag, brzmiących jak iki, wyrażających zadowolenie, że drugą istotę ludzką również cechuje cywilizowane podejście do higieny.

Jutro znajdzie mu coś lepszego, prawdziwą łopatkę. Poza tym sporządzi mu prawdziwe miejsce do spania, postawi małą fontannę i...

Zakładam, że Kudłacz będzie chciał zostać u mnie na stałe, pomyślał nagle, a jeszcze nie wiem, czy tego chcę.

Oczywiście, że chciał. Z Kudłaczem było dużo przyjemności, a on powinien mieć więcej przyjemności w życiu. Znajdzie w malcu przyjaciela. Jemu wszystko jedno, czy jest prezesem Niekoncesjonowanej Kompanii Zaratustra, czy nie, a trudno o takich przyjaciół, gdy człowiek znajduje się na samym szczycie.

Oprócz Leslie Coombesa nie miał żadnych tego rodzaju przyjaciół.

W środku nocy obudziło go coś miękkiego i ciepłego, unoszącego się koło jego ramienia.

— Hola, hola! Zdaje się, że posłałem ci łóżko?

— *Ik?*

— Aha, chcesz spać z Papciem Vikiem. No, dobrze. Zapadli na powrót w sen.

5.

Przyjemnie było jeść śniadanie w towarzystwie, zwłaszcza w towarzystwie kogoś tak małego, kto mógł siedzieć na stole. Kudłacz wypił trochę kawy z filiżanki Grego; nie miał o to żalu. Skosztował sok owocowy i pociągnął parę łyków. Potem chrupał Pezeter Trzy i z całkowitym spokojem patrzył, jak Grego pali papierosa, nie ujawniając jednak chęci poczęstowania się tytoniem. Zapewne spotkał już palących ludzi, być może miał w dłoni zapalonego papierosa i albo sam już palił, albo nie lubił tytoniu.

Grego dolał sobie kawy, po czym włączył ekran. Kudłacz obrócił się twarzą do monitora. Gapienie się w ekran było przyjemnością, działały się na nim ciekawe rzeczy. Fascynowały go kolory mieniające się jak w kalejdoskopie. Po chwili zakłócenia ustały i pojawiła się Myra Fallada.

— Dzień dobry, panie Grego — zaczęła i zakrzuszyła się. Miała otwarte usta, oczy wyłaziły jej z orbit, jakby wypijała szklanekę stu pięćdziesięcioprocentowego rumu, sądząc, że to mrożona herbata. Uniosła drżącą rękę i pokazała palcem.

— Panie Grego! To... Czy to jest... Kudłacz?

Kudłacz był zachwycony, to było zabawniejsze od człowieka w niebieskim ubraniu zeszłej nocy.

— Owszem. Znalazłem go w swoim mieszkaniu wczoraj wieczorem, rozgościł się jak u siebie w domu. — Zastanawiał się, ile razy jeszcze będzie musiał to powtarzać. — Zdołałem wyciągnąć z niego tylko kilka ików. O ile się orientuję, może być poważnym akcjonariuszem.

Myra zdecydowała po namyśle, że to był żart, i to świętokradczy, pan Grego nie powinien stroić sobie takich żartów z Kompanii.

— No i co pan zamierza z tym zrobić?

— Z nim? No cóż, jeśli zechce zostać, stworzę mu tutaj dom.

— Przecież... przecież to Kudłacz!

Kompania straciła koncesję przez Kudłacze. Kudłacze były wrogiem, lojalni ludzie Kompanii nie powinni się z nimi bratać, a już najmniej pan Grego.

— Panno Fallada, Kudłacze żyły na tej planecie już od stu tysięcy lat, gdy po raz pierwszy pomyślano o Kompanii. — Szkoda, że od razu nie przyjął takiej postawy. — Ten Kudłacz jest bardzo sympatycznym, małym koleżką, który pragnie żyć ze mną w przyjaźni. Jeśli zechce tutaj mieszkać, będzie mi bardzo miło gościć go u siebie. — Zamknął temat pytaniem, jakie sprawy wpłynęły tego ranka.

— Dziewczęta przekazały większość porannych meldunków do opracowania, znajdzie je pan na swoim biurku, kiedy pan tu zejdzie. Ponadto...

Dalej zwykły stos próśb i zażaleń. Sądził, że większość została załatwiona wczoraj.

— Dobrze, przyślij je do mnie. Czy zgłosił się już mecenas Coombes?

— Tak. Będzie zajęty cały dzień. Zgłosi się znowu przed południem i wpadnie w porze koktajlu.

To świetnie. Leslie wiedział, co ma robić i jak. Rozłączył się z Myrą i wywołał komendanta Steefera.

Harry Steefer nie musiał zapinać kurtki ani przybierać wyglądu całkowicie przytomnego człowieka, bowiem już na takiego wyglądał. Był emerytowanym oficerem Armii Federacyjnej i żeby nie było wątpliwości, nosił potrójny rząd wstążeczek na lewej piersi.

— Dzień dobry, panie Grego. — Uśmiechnął się i skłonił głowę drugiej postaci na ekranie. — Widzę, że nadal ma pan tego intruza.

— Gościa, komendancie. Co o nim wiadomo?

— Cóż, niezbyt dużo jak na razie. Dysponuję tym, co podał pan w nocy kapitanowi Lansky'emu. Zestawił wszelkie doniesienia i skargi z ostatniej

fali plądrowań i drobnych kradzieży. Nawiasem mówiąc, to dość imponująca lista. Mam ją panu przedyktować w całości?

— Nie, tylko podsumowanie.

— Najwyraźniej zaczęło się od splądrowania kilku biur i sali klubowej dla pań na ósmym poziomie. Nie zginęło nic wartościowego, ale wszystko było rozrzucone i pozostał bałagan, zniknęły słodczyce i inne artykuły spożywcze. Przenosi się to stopniowo na wyższe poziomy. Doniesiono, że ktoś przebywał na zapleczu kilku bufetów wydziałowych, nie pozostawiając śladów włamania.

— Śladów człowieka, chciał pan powiedzieć.

— Tak. Lansky wysłał w nocy dwóch detektywów, żeby obejrżeli te miejsca; uważa, że Kudłacz mógł się wcisnąć w każde z nich. Byłem szczegółowo informowany na bieżąco. Nawiasem mówiąc, od zeszłej nocy nie mieliśmy już nowych zgłoszeń, co potwierdza przypuszczenie, że wszystkiemu winny jest pański Kudłacz.

— Istny złodziejasek z ciebie, co? — Delikatnie go pogłaskał. — I niczego nie zanotowano przed nocą szesnastego na ósmym poziomie?

— Zgadza się, panie Grego. Chciałem porozmawiać z panem przed podjęciem kroków, ale może doktor Mallin albo doktor Jimenez wiedzą coś przypadkowo na ten temat.

— Sam z nimi rozmawiam. Doktor Jimenez wrócił z Bety dopiero na dzień lub dwa przed procesem, po złapaniu czterech Kudłaczy, które badał doktor Mallin. Został dłużej, by prowadzić studia nad nimi w naturalnym środowisku. Miał do pomocy kilku ludzi, łowców do wynajęcia, leśników i innych.

— Sprawdzę, co to za jedni — odparł Steefer. — I oczywiście prawie każdy, kto pracuje poza budynkiem Kompanii na kontynencie Beta, mógł wziąć Kudłacza, przywieźć go tutaj i wypuścić. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, panie Grego, aby to wyjaśnić.

Podziękował Steeferowi, rozłączył się i wystukał kod apartamentu Leslie Coombesa. Odziany w szlafrok adwokat zgłosił się natychmiast, przebywał w bibliotece, mając przed sobą serwis z kawą i stertę papierów. Uśmiechnął się i pozdrowił Grego, po czym wybałuszył oczy i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— No, no! Co za wzruszająca scena, Victor Grego i jego Kudłacz. Jeśli nie możesz ich pokonać, to się do nich przyłącz — zadrwił. — Gdzie i skąd go wytrzasnąłeś?

— To nie była moja inicjatywa. Sam się do mnie przykleił. — Zrelacjonował Coombesowi całą historię. — A teraz chcę się dowiedzieć, kto go tutaj sprowadził.

— Radziłbym ci odesłać go na kontynent Beta i wypuścić do lasu, skąd pochodzi. Rainsford zgodził się nie wnosić oskarżenia przeciw nam za nasze działania przed rozprawą, jeśli jednak odkryje, że trzymasz Kudłacza w budynku Kompanii, nie będzie miał wobec ciebie litości.

— Ale jemu się tutaj podoba. Chce zostać u Pappia Vica. Prawda, mały? — zapytał. Kudłacz wypowiedział parę sylab, przypominających potwierdzenie. — Załóżmy, że pójdziesz do Pendarvisa i złożysz w moim imieniu podanie o kuratelę, taką samą, jaką przyznał Hollowayowi, George'owi Luntowi i Rainsfordowi.

W oczach adwokata pojawił się błysk. Nie mogło go spotkać nic lepszego niż ryzyko rewanzu z Gusem Brannhardem przy okazji nie całkiem beznadziejnej sprawy.

— Chyba mógłbym... — Odpędził pokusę. — Nie, mamy pełne ręce roboty bez nowego procesu o Kudłacze. Pozbądź się go, Victorze. — Podniósł rękę, żeby uprzedzić ewentualny protest. — Wpadnę na koktajl, około wpół do szóstej — powiedział. — Przemyśl to do tej pory.

Cóż, może Leslie miał rację. Ustąpił i przez chwilę omawiali sytuację polityczną. Znudzony Kudłacz zeskoczył ze stołu. Po zaciemnieniu ekranów Grego rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie go nie było.

Drzwi do spiżarnio-warsztato-graciarni były niedomknięte, być może wszedł do środka i myszkuje. W porządku, nie zdoła tam zrobić większego bałaganu, niż jest. Dolał sobie kawy i zapalił nowego papierosa.

Za otwartymi drzwiami rozległ się łoskot oraz ik przerażenia, po których nadeszły jeszcze głośniejsze odgłosy upadku, głuchego stuknięcia i żalosnych krzyków. Zerwał się na nogi, podbiegł do drzwi i zajrzał do środka.

Kudłacz stał w kałuży brązowej cieczy, która wylała się z otwartej, dwudziestolitrowej puszk. Musiała spaść z sąsiedniej półki. Pociągnął nosem i rozpoznał ją po zapachu — galaretkę do pieczeni mięsnych, głównie z melasy, którą kucharz preparował według własnej receptury. Przeklęty dureń do całej szynki zużywał coś koło pół litra, a więc zdążył już zmiksować przeszło dwadzieścia litrów. Kudłacz wylał większość na siebie, a uciekając przed potopem, zrzucił mnóstwo słoików z przyprawami i ziołami, które przyczepiły mu się do sierści. Kawałek papieru przykleił mu się do stopy. Kiedy usiłował uwolnić nogę, papier przywarł mu również do rąk. Na widok Papcia Vica Kudłacz wydał rozpaczliwy *ik* o ratunek.

— Proszę bardzo, ikaj sobie do woli. — Chwycił Kudłacza, który objął go kleistymi ramionami za szyję. — Chodź no tutaj, idziemy się wykapać.

Zaniósł go do łazienki i włożył do wanny, po czym zerwał z siebie beznadziejnie zniszczoną koszulę. Również całe spodnie były w lepkiej mazi, zmieni je po kąpieli Kudłacza. Wyjął z szafki szampon i napuścił do wanny gorącej wody, schłodził ją, żeby malec się nie sparzył.

Co za diabelska historia! Jakby nie miał nic lepszego do roboty, tylko kąpać Kudłacze.

Natarł futerko szamponem. Początkowo Kudłacz czuł się obrażony, ale potem kąpiel mu się spodobała i piszczał z radości. Nabrał nawet trochę piany na dłonie, próbując umyć głowę Grego. Wreszcie skończyli. Suszarka do włosów też przypadła Kudłaczowi do gustu. Nigdy w życiu nie kąpał się w pianie.

Z czystym i puszystym futerkiem usadowił się na łóżku i obserwował, jak Papcio Vic się przebiera. Zdumiewające, że Duzi mogli zmieniać skórę, to musi być bardzo wygodne. Od czasu do czasu rzucał uwagi, a Grego podtrzymywał dialog.

Ubrał się i nagrał wiadomość dla majordomusa, którą ten miał przekazać dalej, kucharzowi i ogrodnikowi, aby wynieśli do wszystkich diabłów śmiecie ze spiżarni, a resztę utrzymywali we właściwym porządku. Jeśli uda się zaprowadzić tam porządek, Kudłacz miałby na swoim koncie jedno pozytywne osiągnięcie.

Zjechali windą na poziom zarządu — windy wydawały się nowym doświadczeniem dla Kudłacza — i udali się do prywatnego biura Grego. Kudłacz rozglądał się z ciekawością, zainteresował się szczególnie wielkim planetarium Zaratustry. Lewitowało dwa metry nad podłogą na własnym zespole antygravitacyjnym w strumieniu padającego z góry światła, symbolizującego słońce typu widmowego KO — dwa księżyce wirujące dookoła planety. W końcu wskoczył na krzesło, skąd był lepszy widok.

— Gdybym miał więcej rozumu w głowie, zostawiłbym cię na górze...
— Trącił przełącznik i na ekranie pojawiła się Myra. — Musiałem przed zejściem uporządkować kilka rzeczy — poinformował ją zgodnie z prawdą.
— Ile dziewcząt mamy dziś rano w sekretariacie?

Osiem, i wszystkie były zawałone robotą. Myra zaczęła mu wyjaśniać, jak wielką: może cztery poradzą sobie z nią od biedy, a sześć — nie przeciążając się nadmiernie. Jeszcze w tym musi poszukać oszczędności Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra.

— No trudno, mogą także popilnować Kudłacza — stwierdził. — Zmieniajcie się przy nim. Jest tutaj, właśnie wymyśla kolejne diable psoty. Przyjdź po niego i zabierz go ze sobą. Przekaż dziewczętom, aby utrzymywały go w stanie niewinnego rozbawienia.

— Ależ, panie Grego, one mają swoją pracę...

— To jest ważniejsze. Przekonamy się, która z dziewcząt najlepiej radzi sobie z nim i awansujemy ją na główną opiekunkę Kudłacza. Czy pozwolimy, aby jeden Kudłacz zniszczył naszą organizację?

Myra ją przypominać szefowi, co Kudłacze już zniszczyły w firmie, a potem rzekła:

— Dobrze, panie Grego — i wyłączyła ekran. Po chwili weszła do gabinetu.

Panna Fallada i Kudłacz obrzucali się wzrokiem z wzajemną wrogością i nieufnością. Zrobiła niepewnie kilka kroków do przodu, Kudłacz iknął gniewnie. Gdy wyciągnęła do niego rękę, cofnął się i podbiegł do Grego, wskakując mu na kolana.

— Ona cię nie skrzywdzi — powiedział uspokajająco. — To jest Myra, Myra lubi Kudłacze. Prawda, panno Fallada? — Pogłaskał go. — Obawiam się, że on cię nie lubi.

— A więc jesteśmy kwita — odparła. — Panie Grego, jestem pańską sekretarką. Nie jestem dozorcą zwierząt.

— Kudłacze nie są zwierzętami. To istoty rozumne. Potwierdził to sam najwyższy sędzia. Czyżbyś nigdy nie słyszała o Decyzjach Pendarvisa?

— Czy ostatnio słyszę o czymkolwiek innym? Panie Grego, jak pan może gościć u siebie tego małego demona, po tym wszystkim, co się stało...

— W porządku, Myro. Sam go zaprowadzę.

Przemierzył pokój Myry i wszedł do wielkiej sali zwanej centrum operacyjnym zarządu, przez którą z całego kurczącego się, choć wciąż ogromnego imperium, płynęły meldunki dla niego oraz polecenia i instrukcje dla jego podwładnych. Było tutaj osiem dziewcząt, a żadna z nich szczególnie zapracowana. Jedna wodziła wzrokiem po kilku notatnikach i mówiła do wokografu. Inna robiła przytłumiony stukot przy teledrukarce. Trzecia stała za rysownicą i nanosiła wielobarwne zygzaki na wykresie, jakże miłym sercu każdej biurokracji. Pozostałe siedziały,

bezczylnie ćmiąc papierosy i gawędząc. Na widok Grego wszystkie w pośpiechu jęły udawać, że ciężko pracują. Nagle któraś spostrzegła Kudłacza na jego rękach.

— Patrzcie! Pan Grego ma Kudłacza!

— Ojej, to prawdziwy, żywy Kudłacz!

Po chwili wszystkie były już na nogach, tłocząc się w kręgu kolorowych sukienek, perfum i ekscytacji, wesołych głosów i ładnych, roześmianych buzi.

— Gdzie pan go znalazł, panie Grego?

— Och, czy możemy go obejrzyć?

— Tak, dziewczęta. — Postawił Kudłacza na podłodze. — Nie wiem, skąd się wziął, myślę jednak, że chciałby u nas mieszkać. Zostawię go tutaj na jakiś czas. Nie pozwólcie mu zanadto przeszkadzać sobie w pracy, ale miejcie go na oku i niech nie napyta sobie biedy. Tak się właśnie stało godzinę temu, gdy byłem już gotowy do wyjścia. Możecie go poczęstować waszym drugim śniadaniem, jeśli nie będzie mu smakowało, to nie zje. Nie sądzę, aby już zgłodniał. I nie zabijcie go swoją afekcją.

Po jego wyjściu dziewczęta rozsiadły się na podłodze wokół Kudłacza, który miał wspaniałą zabawę. Grego powiedział Myrze, żeby zostawiła otwarte drzwi do gabinetu, by mógł spacerować tam i z powrotem, kiedy przyjdzie mu ochota. Niebawem wszedł drugimi drzwiami do sali z komputerami.

Miała kształt ćwiartki koła, dwie proste ściany długości sześciu metrów, zbiegające się po kątem prostym, a między nimi trzecia ściana w kształcie łuku, zastawiona wejściową konsolą komputerów, prowadzących analizę sytuacyjną i poradnictwo czynnościowe. Było to pasmo jasnozielonego plastiku, szerokiego na metr, podzielonego na niewielkie kwadraty czerwonymi pionowymi i poziomymi liniami. Każdy kwadrat miał tysiące maleńkich otworków. W niektórych tkwiły lampki mrugające wszystkimi kolorami tęczy. Trzy poziomy niżej całą podłogę zajmowały komputery,

które ta konsolista obsługiwała. Płynęły od niej najnowsze informacje w języku pseudomatematycznej symboliki, zrozumiałej tylko dla komputerów.

Grego stał przez chwilę i przyglądał się lampkom jak z bożonarodzeniowej choinki. Nie dotknąłby ich za nic w świecie, znał się na tym zbyt słabo. Ciekawe, czy zaprzęgli komputery do opracowania polityki skupu kamieni słonecznych, myślał, idąc do swego biura. Zamknął drzwi i usiadł przy biurku.

W dawnych, przedkudłaczowych czasach spędziłby tutaj kilka leniwych godzin, popijając kawę i przeglądając raporty. Co pewien czas poczyniłby jakąś uwagę albo zadał pytanie, czy złożył propozycję, aby pokazać, że nadała za biegiem wypadków. Bardzo rzadko byłby w sytuacji wymagającej osobistej interwencji.

Teraz wszyscy byli w takiej sytuacji. Sprawy, które uważał za rozstrzygnięte na niekończących się konferencjach cztery dni temu, spaliły na panewce; narastały konflikty. Musiał przeprowadzić dyskusje teleekranowe z ludźmi, z którymi rozmową w normalnych okolicznościach nie zawracałby sobie głowy — z kierownikiem fabryki paczkującej mięso na kontynencie Delta, z głównym inżynierem bezwartościowego obecnie projektu drenażu Wielkiej Czarnej Wody, z technikiem w elektrowni nuklearnej. Z zadowoleniem potraktował tylko jedną taką konieczność, rozmowę z mechanikiem w fabryce sprzętu elektronicznego, która uruchamiała produkcję aparatów słuchowych na ultradźwięki dla rządu. Poleciał, aby przysłano kilka sztuk do jego biura. Kiedy dostanie to urządzenie, będzie mógł słyszeć, co mówi jego nowy przyjaciel.

Do gabinetu weszła Myra Fallada, stając niepewnie w drzwiach, dopóki nie zakończył rozmowy z szefem zakładów chemicznych na temat wąskiego gardła w dziedzinie produkcji materiałów wybuchowych i strzelniczych.

— Panie Grego — zaczęła, ledwie wyłączył ekran. — Musi pan zabrać to okropne stworzenie z centrum operacyjnego. Dziewczeta w ogóle nie pracują, a ja od hałasu normalnie dostaję szału!

Rozlegały się salwy śmiechu i kroki biegającego Kudłacza. Teraz, gdy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że słyhać je już od dłuższego czasu.

— Ja po prostu nie mogę pracować... Aaa! — Jaskrawoczerwony przedmiot trafił ją z tyłu głowy i wpadł do pokoju. Czerwona plastikowa torba na ręczniki, kostium kąpielowy lub coś w tym rodzaju, wypełniona bibułą. Kudłacz wbiegł do gabinetu, śmignął obok Myry, chwycił piłkę i odrzucił ją do sekretariatu przed nosem dziewczyny, po czym wybiegł.

— No tak, Myro. Obawiam się, że to lekka przesada. — Wstał i ruszył obok niej do sekretariatu w samą porę, aby ujrzeć lecącą ku niemu ze świstem papierową piłkę baseballową, ciśniętą z dużej sali. Złapał ją i wszedł do środka. Na jego widok Kudłacz uciekł do wysokiej dziewczyny o rudych włosach, która schyliła się i wzięła go na ręce.

— Słuchajcie, dziewczeta — powiedział do nich. — Prosiłem, żeby go zabawiać, nie kazałem jednak zamieniać biura w przedszkole z wychowawcami na wagarach. Wystarczy, że Kudłacze podarły w strzępy naszą koncesję. Nie pozwólmy im zatrzymać naszej pracy nad tym, co jeszcze pozostało.

— Mhm, faktycznie zagalopowałyśmy się — powiedziała łagodząco wysoka rudowłosa dziewczyna.

— Owszem. Trochę. — Nikt nie będzie tutaj łagodzić jego słów. Jak ona się nazywa? Ach tak, Sandra Glenn. — Sandro, wydaje mi się, że cię polubił. Zaopiekuj się nim. Niech siedzi cicho i nie przeszkadza innym.

Miał nadzieję, że nie spyta go, w jaki sposób ma tego dokonać. Nie spytała, po prostu odpowiedziała:

— Postaram się, panie Grego. — Zdecydował się na tym poprzestać, nic więcej nie można było uczynić.

Zanim wrócił do swego gabinetu, nadeszło zgłoszenie od szefa służb publicznych. Pytał, czy pan Grego zamierza poinformować nauczycieli w szkołach o ich perspektywach pracy. Załatwiwszy tę sprawę, połączył się z doktorem Ernstem Mallinem w centrum naukowym.

Pełniący obowiązki szefa centrum naukowego był wyszukanie schludny: nosił bezkompromisowy, biało-czarny uniform, pasujący idealnie do jego bezkompromisowej, biało-czarnej umysłowości. Miał wąską twarz i drobne, zacięte usta. Swego czasu było to oblicze arogancko pewne siebie. Obecnie twarz człowieka bojącego się, że krzesło, na którym siedzi, w każdej chwili może się pod nim rozpaść.

— Dzień dobry, panie Grego. — Niepokój oraz próba jego zatuszowania.

— Dzień dobry, doktorze. Chodzi o Kudłacze, nad którymi pracował pan przed rozprawą, te same, co mieszkają teraz u doktora van Riebeeka i jego żony. Czy były u pana także jakieś inne osobniki?

Pytanie zaskoczyło Mallina. Te były jedyne, oświadczył stanowczo. O ile mu wiadomo, Juan Jimenez, który zdobył je dla niego, również nie miał żadnych innych.

— Czy pan już rozmawiał z doktorem Jimenezem? — spytał Mallin poinformowany o Kudłaczu w budynku Kompanii. — Nie sądzę, aby Jimenezowi towarzyszyły jakieś nowe Kudłacze, kiedy wracał z kontynentu Beta.

— Nie, jeszcze nie rozmawiałem. Chciałem najpierw pomówić z panem o Kudłaczu i jeszcze o czymś. Doktorze Mallin, domyślam się, że nie jest pan zadowolony z funkcji szefa centrum naukowego?

— Nie, panie Grego. Przyjąłem ją, bo nie było innego wyjścia, ale teraz, skoro proces się zakończył, wolałbym raczej wrócić do mojej dawnej pracy.

— No dobrze, a więc wróci pan do niej i pańskie wynagrodzenie nie ucierpi na tym. Chcę pana także zapewnić, doktorze, o moim całkowitym

zaufaniu do pana. Nikt nie mógłby lepiej się zachować w czasie kryzysu z Kudłaczami, w absolutnie beznadziejnej sytuacji...

Obserwował, jak z twarzy Mallina odpływa strach. Nim skończył zdanie, na twarzy psychologa wykwitł jeden z jego sztywnych uśmiechów.

— No, a teraz sprawa pańskiego następcy. Co pan sądzi o Juanie Jimenezie?

Mallin przybrał poważną minę. Musi pokazać, że się nad tym zastanawia, a należał do ludzi, u których proces myślenia uwidocznił się na twarzy.

— Jest dość młody, ale wydaje mi się, że to dobry kandydat, panie Grego. Nie śmiem oceniać jego kwalifikacji naukowych, bo jego dziedzina jest dość odległa od mojej. Ma jednak zdolności kierownicze, umiejętność podejmowania decyzji i nadzoru oraz współpracy z ludźmi. Tak, ja bym go polecał. — Umilkł, po czym zapytał: — Myśli pan, że się zgodzi?

— A jak pan myśli, doktorze?

Mallin zaśmiał się.

— To było głupie pytanie — przyznał.

— Panie Grego, ten Kudłacz. Jest jeszcze u pana w budynku Kompanii? Co pan zamierza z nim zrobić?

— Cóż, miałem nadzieję, że go zatrzymam, ale niestety, nie mogę. Jest za bardzo przedsiębiorczy. Dzisiaj rano zamienił moje mieszkanie w lekko używane pole bitwy, a teraz zamienia mi biuro w cyrk o trzech arenach. Leslie Coombes radzi mi, abym się go pozbył, uważa, że to może ponownie zwrócić Rainsforda przeciw nam. Chyba będę musiał odesłać go na Betę i wypuścić.

— Chciałbym, żeby trafił w moje ręce, w moje własne, panie Grego. Po prostu chciałbym trzymać go w domu, bawić się z nim, rozmawiać, próbować dowiedzieć się, co myśli o różnych sprawach. Panie Grego, Kudłacze to najzdrowsze na umyśle istoty rozumne, jakie znam. Wiem, starałem się doprowadzić kilku ich przedstawicieli do choroby umysłowej

za pomocą eksperymentów frustracyjno-sytuacyjnych i po prostu nie udało mi się. Gdybyśmy zdołali poznać ich podstawowe wzorce psychologiczne, byłby to największy postęp w psychologii i psychiatrii od czasów Freuda.

Mówił poważnie. To był inny Ernst Mallin, gotów do uczenia się, do przewycięzania swojej niewiedzy. Ale jego prośba była nierealna.

— Przykro mi, proszę mi wierzyć, naprawdę mi przykro. Lecz jeśli dam panu Kudłacza, Leslie Coombes dostanie szau, a to jest nic w porównaniu z szalem, w jaki wpadnie Ben Rainsford. Wnieście oskarżenia przeciwko całemu naszemu zespołowi. Gdybym go ostatecznie zatrzymał, miałby pan okazję do badań, obawiam się jednak, że to wykluczone.

Skończył rozmowę i zaciemnił monitor. Hałas w biurze ustał, praca chyba też. Nie chciał się pozbywać Kudłacza. To był sympatyczny, mały koleżka. Ale...

6.

Nie udało mu się złapać natychmiast Juana Jimeneza. Juan udał się w jakiejś sprawie do Zoo, a Zoo rozciągało się na zbyt dużym terenie, aby go zlokalizować. Zostawił wiadomość, by jak najszybciej połączył się z nim, i wrócił do pracy. W końcu kazał sobie przynieść obiad do gabinetu i zjadł przy biurku. W sekretariacie znowu rozległ się hałas, ale tylko na chwilę. Dziewczęta zapewne karmiły Kudłacza, zastanawiał się z lękiem, czym go poczęstowały. Niektóre z tych dań mogły spowodować ciężką niestrawność. Pół godziny później na ekranie pojawił się Jimenez.

Główny specjalista od ssaków był młodym mężczyzną, o typowej wesołej, żwawej, miłej, szczerzej i układnej twarzy, które spotykało się wszędzie na wyższych szczeblach poważnych instytucji i korporacji. Może był, a może nie był dobrym naukowcem, ale na dwieście procent był oddanym człowiekiem Kompanii.

— Witam, Juanie, czy dzwoni pan z centrum naukowego?

— Tak, panie Grego. Byłem w Zoo, mają kilka nowych świń pancernych z Gammy. Po powrocie przekazano mi, że chciał pan ze mną rozmawiać.

— Owszem. Kiedy pan wrócił z Bety, tuż przed procesem, czy przywiózł pan ze sobą jakieś Kudłaczki?

— Wielki Boże, nie! — Jimenez przeraził się. — Uważałem, że są nam potrzebne jak dziura w moście. Odniosłem wrażenie, że jeden nie różni się prawie od drugiego.

— Tak samo sądzi Mallin. Im dłużej się na nie patrzy, tym bardziej przypominają sapientów. Ach, do diabła, czymże innym one są? Co pan wtedy robił na Becie?

— No cóż, jak już mówiłem, panie Grego, rozłożyliśmy obóz i zwabiliśmy kilkanaście mieszkających w pobliżu osobników Pezeterem

Trzy, robiliśmy im zdjęcia i studiowaliśmy ich zachowanie, ale po schwytaniu pierwszych czterech nie próbowaliśmy ich więcej łapać.

— Poza panem, kim byli owi my?

— Moimi dwoma asystentami, badaczami z sekcji pomiarowej; nazywają się Herckerd i Novaes. Pomogli mi schwytać w pułapkę tę czwórkę, którą oddałem doktorowi Mallinowi, i włączali się do pracy w obozie, przy robieniu fotografii i tak dalej.

— A więc tak to wszystko wyglądało. — Ponownie zaczął rozpamiętywać całą sytuację, rozumiejąc już, dlaczego świadkowie w sądzie, których policja i urzędnicy z biura prokuratora kilkanaście razy egzaminowali z tego samego, na ogół sprawiali wrażenie dość dobrze poinformowanych. — A zatem, jak pan widzi, muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. To może być coś zupełnie niewinnego, ale chcę się upewnić.

— No cóż, ja go nie sprowadziłem, a Herckerd i Novaes, którzy przylecieli wraz ze mną, także nie.

— Szkoda, że to nie pańska bądź ich robota. Wiedziałbym, co jest grane. Aha, jeszcze jedno, Juanie. Jak pan wie, doktor Mallin tylko chwilowo pełnił funkcję szefa centrum naukowego po aresztowaniu Kellogga. Wraca do tego, co ocalało z jego dawnej pracy, szczęśliwym trafem, mógłbym dodać. Jak pan myśli, dałby pan sobie radę? Jeśli tak, to chętnie powierzę panu stanowisko szefa centrum.

Jedno trzeba było Jimenezowi przyznać, nie był hipokrytą. Nie udawał, że honor mu nie pozwala ani nie kwestionował swych umiejętności.

— No cóż, dziękuję, panie Grego! — odparł i wygłosił krótkie przemówienie o przyjęciu oferty, do którego w podejrzany sposób wydawał się przygotowany. Tak, zdecydowanie ją przyjmuje. A więc Grego palnął własną mówkę, kończąc tymi słowami:

— Proponuję, aby od razu skontaktował się pan z doktorem Mallinem. Wie o moim postanowieniu, aby pana mianować. Przekona się pan, że z przyjemnością odda się w pańskie ręce. Aha, może jutro zjemy razem

lunch? Powinien pan już do tej pory wiedzieć, czym pan dysponuje, i moglibyśmy podyskutować o przyszłości.

Kiedy Jimenez zniknął z ekranu, pojawił się na nim Harry Steefer.

— Mallin zaprzecza, jakoby wiedział cokolwiek na ten temat, Juan Jimenez również. Mam nazwiska dwóch mężczyzn, którzy pomagali mu na Becie...

Steefer wyszczerzył zęby.

— Phil Novaes i Moses Herckerd, pracowali w sekcji pomiarowej. Herckerd jest geologiem, a Novaes myśliwym i miłośnikiem dzikich zwierząt. Przybyli wraz z Jimenezem w przeddzień procesu, po czym zniknęli. Jednocześnie zniknął jeden z kutrów Kompanii. Sądzę, że wybrali się na badania albo wylądowali w krainie trawożerów na małym polowaniu. Chce pan, żebym wysłał za nimi listy gończe?

— Tak, niech pan to zrobi, komendancie, pod zarzutem kradzieży kutra. Odkąd Zaratustra okazała się planetą IV klasy, statki Kompanii znikają wraz z pracownikami. Nadal chcę wiedzieć, kto sprowadził tutaj Kudłacza — i w jakim celu.

— Pracujemy nad tym — odparł Steefer. — Prawie stu ludzi z kilku sekcji mogło polecieć na Betę, do krainy Kudłaczy, i złapać sobie jednego do domu. A później maluch mógł uciec i zabłądzić w budynku Kompanii. Ktokolwiek maczał w tym palce, nie piśnie ani słowa. Próbuję to sprawdzić, ale podobno życzył pan sobie, aby to robić dyskretnie.

— Najdyskretniej, jak można, ale z pozytywnym wynikiem. Mógłby pan wszcząć poszukiwania na kilku wolnych piętrach na poziomach siódmym i ósmym, i sprawdzić, gdzie trzymano Kudłacza, zanim uciekł?

Steefer potrząsnął głową.

— Mamy za mało ludzi — zauważył. — No dobrze, zrobię, co będę mógł.

Ponoć w przeszłości Harry mógł dużo. Kiwnął doń głową z zadowoleniem i wrócił do pracy. Starał się obliczyć, jak duży ładunek

można upchnąć na frachtowiec *City of Kapstaad* linii Terra Baldur Marduk, który ma przylecieć za tydzień. Jeszcze nie skończył przeliczać terrańskich cen rynkowych na metry sześciennie ładowni, kiedy za jego plecami otwarły się drzwi do sali komputerowej.

Obrócił się i ujrzał stojącą w wejściu Sandrę Glenn. Jej rude włosy, szminka i zielone oczy odcinały się jaskrawo od zbielałej jak papier twarzy.

— Panie Grego — powiedziała ledwo słyszalnym szeptem, wstrząśnięta i przerażona. — Czy pan majstrował przy konsolocie?

— Wielki Boże, skądże znowu! — Odepchnął krzesło i wstał. — Nie śmiem jej tknąć moimi palcami ignoranta. Co się stało?

Zrobiła krok do przodu, żeby się przesunąć, i pokazała ręką. Kiedy spojrzał w tamtą stronę, zobaczył na środku konsoly blask różnokolorowych światełek, żaden przypadkowy wzór, posiadający sens tylko dla komputera i jego programisty, ale wymyślny deseń, symetryczny i harmonijny. Piękny. Ale Bóg jeden wiedział — od Allacha do Zeusa, wybierzcie, którego chcecie — jakie bzdury wprowadzało to do ufnego wnętrza komputera. Sandra była bliska szału. Orientowała się, jakie skutki mogą z tego wyniknąć.

— To dzieło naszego małego przyjaciela *Kudłacza kudłacz holloway* — powiedział. — Wszedł tutaj, zobaczył lampki i uznał, że można je wyciągnąć i pozamieniać. Postanowił ułożyć naprawdę coś ślicznego. Ani pani, ani żadna z dziewcząt nie pilnowałyście go?

— Hmm, miałam trochę pracy, więc zajmowała się nim Gertruda. Później Kudłacz się położył i uciął sobie poobiednią drzemkę, a Gertrudę wezwano do teleekranu...

— W porządku. Nie jest pani pierwszą osobą, którą udało mu się okpić, Gertruda też nie. Kilkakrotnie wystrychnął na dudka niejakiego Victora. Czy coś z tym już zrobiono?

— Nie, zobaczyłam to przed chwilą...

— W porządku. Proszę wezwać Joe Verganno. Nie, sam to zrobię, jego sekretarka przy monitorze nie będzie ze mną dyskutować. A pani niech odszuka Kudłacza.

Dwoma długimi krokami podszedł do modułu łączności i wystukał kombinację z przyklejonej obok kartki. Dziewczyna, która odpowiedziała na zgłoszenie, zaczęła mówić: — Biuro Informatyka... — i w tym momencie zobaczyła, kogo ma na ekranie. — Och, pan Grego!

— Proszę mnie połączyć z Verganno, szybko.

Poruszyła palcami i monitor eksplodował erupcją światła. Kiedy zakłócenia ustały, z ekranu wyglądał komputerowiec.

— Joe, mamy cholerny kłopot — powiedział do niego, nim Verganno zdążył otworzyć usta. — Ktoś wetknął kupę wtyczek do naszej konsoli wejściowej i wszystko schrzanił. O, tutaj. — Sięgnął pod monitor i wyjął przyrząd w kształcie pistoletu o szerokokątnych soczewkach w miejscu lufy, połączony z ekranem minikablem. Odwrócił się, wymierzył w kolorowy deseń na konsolecie i nacisnął spust. Za jego plecami rozległ się ryk Joe Verganno.

— Mój Boże! Czyja to sprawka?

— Kudłacza. Nie, nie, mówię poważnie, wcale nie żartuję. Złapałeś pan wszystko?

— Jeszcze chwilę. Dobra, może pan wyłączyć. — Verganno ujął słuchawkę. — Ostrzeżenie ogólne, do wszystkich wyjść komputerowych. Wprowadzono fałszywe dane, zaatakowane są Program Zarządzający Jeden i Program Zarządzający Dwa, cofam zaufanie wobec obliczeń Programów Zarządzających Jeden i Dwa do odwołania. Dobrze, panie Grego, zaraz będę na górze. Naprawdę ma pan w swoim gabinecie Kudłacza?

— Tak, jest tutaj cały dzień. Wydaje mi się — dodał — że zostanie na dłużej.

Jedna z dziewcząt zajrzała do centrum operacyjnego.

— Nie możemy go nigdzie znaleźć, panie Grego! — prawie płakała. — I to przeze mnie, miałam go pilnować!

— Do diabła, wszystko jedno, przez kogo, odnajdźcie go. Jeśli ktokolwiek tu zawinił, to tylko ja, bo go przyprowadziłem.

To był błąd, który musiał być błyskawicznie naprawiony. Ujrzał Myrę stojącą z niepewną miną w drzwiach swojego pokoju.

— Znajdź Ernsta Mallina. Powiedz mu, żeby przyszedł tu i zabrał tego Kudłacza do wszystkich diabłów.

Później przedyskutują aspekty prawne, jeśli Mallin potrzebuje Kudłacza do badań, to niech go sobie bierze. Myra napomknęła, że lepiej późno niż wcale i wróciła do siebie. Drzwi z korytarza otworzyły się gwałtownie: weszło dwóch policjantów oraz trzech mechaników z hangaru. Ktoś wykazał zdrowy rozsądek i wezwał posiłki. Któryś z mechaników niósł na ramieniu koc, to również była dobra myśl. Dziewczęta przeszukiwały dużą salę, nie spuszczać z oczu wyjścia. Drzwi od korytarza znowu otworzyły się na oścież i wkroczył Joe Verganno w towarzystwie jednego ze swych techników, który niósł torbę z narzędziami.

— Czy ktoś już dłubał przy konsolach? — zapytał Joe.

— Ależ skąd, u diabła. Nie chcemy pogarszać sytuacji. Może pan stwierdzić, co się dzieje w komputerze?

— Paru moich ludzi dowie się tego na dole. Teraz popatrzę na monitor. — Wszedł do pokoju, a za nim technik z torbą. Po chwili Verganno rzucił przekleństwo.

Grego wrócił do sali, przez otwarte drzwi sekretariatu usłyszał głos Myry, która z kimś rozmawiała.

— Proszę przyjść i wziąć go, natychmiast. Nie, nie wiemy, gdzie jest... Aaa! Precz stąd, ty mały potworze! Panie Grego, on jest tutaj!

— Złap go i nie puszczaj — polecił. — Niech pan idzie jej pomóc — zwrócił się do jednego z policjantów. — Proszę nie robić mu krzywdy, tylko go złapać.

Następnie odwrócił się, rzucił biegiem przez salę komputerową, nieomal zderzając się z pomocnikiem Verganno, i wpadł do swego gabinetu. Kiedy okrążył poślizgiem biurko, Kudłacz śmignął przez drzwi do pokoju Myry. Poszybował za nim koc, który przyniósł mechanik z kutra, ale chybił. Myra, policjant i mechanik pobiegli za kocem, mechanik zaplątał się w nim nogą i upadł. Policjant potknął się o mechanika, a Myra o policjanta. Funkcjonariusz miotał przekleństwa. Myra krzyczała. Leżący na podłodze mechanik ciężko dyszał. Kudłacz wylądował na biurku, spostrzegł Grego, oddał długi sus i wpadł w jego objęcia, zarzucając mu ramiona na szyję. Idąc przez pokój Myry i lawirując wśród masy ciał przed drzwiami, jedna z dziewcząt zawołała:

— Chodźcie tu wszyscy! Pan Grego go złapał!

Policjant, który zdążył już wstać, powiedział:

— Ja go wezmę, panie Grego — i sięgnął po Kudłacza. Kudłacz iknął głośno i przyłgął do Grego.

— Nie, potrzymam go. Mnie się nie boi. — Usiadł w fotelu przy biurku, obejmując go i głaszcząc. — Wszystko w porządku, mały. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Zabierzemy cię stąd w jakieś ładne miejsce, gdzie będziesz mógł się bawić, a ludzie będą dla ciebie dobrzy...

Słowa te nic nie znaczyły dla Kudłacza, ale głos i delikatne ręce działały kojąco i uspokajająco. Przytulił się jeszcze bardziej, wydając ciche odgłosy szczęścia. Nic mu już nie groziło.

— Co pan zamierza z nim zrobić? — spytał policjant. Grego przycisnął Kudłacza do siebie.

— Niczego nie zamierzam z nim zrobić. Popatrzcie na niego, ma do mnie zaufanie, sądzi, że nie pozwolę nikomu go skrzywdzić. No cóż, nie pozwolę. Nigdy dotąd nie zawiodłem nikogo, kto mi zaufał, i niech mnie diabli, jeśli zacznę teraz, od Kudłacza.

— Czy to znaczy, że go pan zatrzyma? — spytała Myra. — Po tym, jak narozrabiał?

— Nie chciał zrobić nic złego, Myro. Zapraǳnął tylko ułożyć ładny wzór ze światełek. Głowę daję, że jest z tego bardzo dumny. Po prostu na mnie będzie odtąd spoczywał obowiązek dopilnowania, by nie ruszał niczego, przez co może sprawić kłopot.

— Doktor Mallin powiedział, że zaraz przyjdzie. Zmartwi się.

— Trudno. Może tutaj zrobić mu badania. Ściągnij majordomusa i głównego dekoratora, przekaż im, że mają wybudować plac zabaw dla Kudłacza w moim ogrodzie. Niech przyjdą osobiście do mego apartamentu, powiedz im, że mają natychmiast przystąpić do pracy. Zatwierdżę podwójną stawkę za nadgodziny, dopóki nie skończą.

Kudłacz już się nie bał. Papcio Vic troszczył się o niego. A ci wszyscy Duzi słuchali Papcia Vica, więc nie wyrządzą mu krzywdy i nie będą go więcej gonić.

— Połącz się też z Tregaskisem w Urzędzeniach Elektronicznych. Zapytaj go, co opóźnia dostawę tych aparatów słuchowych, które miał mi przysłać. I będę potrzebował kogoś do pomocy w doglądaniu malca. Sandro, czy ktoś może przejąć twoje obowiązki? A więc została pani mianowana na główną opiekunkę do Kudłacza. Zaczynasz natychmiast, dziesięć procent podwyżki od dzisiejszego ranka.

Sandra była zachwycona.

— Z wielką przyjemnością, panie Grego. Jak on ma na imię?

— Na imię? Nie mam dla niego imienia, na razie. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

— Ja mam kilka — rzuciła ze złością Myra.

— Niech go pan nazwie Diament — zaproponował Joe Verganno, stając w drzwiach sali komputerowej.

— Bo jest taki mały i drogi? Podoba mi się. Ale nie bądź pan takim sknerą. Nazwijmy go Kamieniem Słonecznym.

— Nie, stąd się wzięła nazwa zwykłych diamentów, ale ja chciałem nadać mu imię po małym piesku, należącym niegdyś do Izaaka Newtona —

odparł informatyk. — Zdaje się, że Diament zniszczył mu pewien rękopis, który sir Izaak właśnie ukończył i zamierzał wysłać do wydawcy. Głównie matematyka, spisana gęsim piórem, w jednym egzemplarzu, rzecz jasna. Tak więc Diament ściągnął manuskrypt na podłogę i podarł w strzępy, co oznaczało, że trzy miesiące pracy poszło na marne. Kiedy Newton to zobaczył, pokiwał tylko głową, usiadł na podłodze, wziął psa na kolana i powiedział:

— Och, Diamencie, biedny Diamencie, nie masz pojęcia, jakich szkód narobiłeś!

— Ładna anegdotka, Joe. Będę musiał przypominać ją sobie od czasu do czasu. Ale ty mi nie pozwolisz jej zapomnieć, prawda, Diamencie?

7.

Jack Holloway odchylił się w fotelu, kładąc jedną stopę w rogu biurka, drugą opierając na wysuniętej dolnej szufladzie. Skoro już musi pracować w biurze, to przyjemnie to robić w prawdziwym. Nareszcie można znowu korzystać z pomieszczeń mieszkalnych jak z mieszkania. Szerokie drzwi na obu końcach łukowatego baraku z prefabrykatów były otwarte i wiał tu lekki wiatr, który utrzymywał lokal w chłodzie i wyciągał dym z jego fajki. Z zewnątrz nie dobiegał już taki hałas, większość nowych budynków była gotowa. Słyszał odległe echo wystrzałów z broni krótkiej, osiemnastu rekrutów SZFT zdawało egzamin kwalifikacyjny.

Sto jardów dalej, w drugim końcu baraku, sierżant Yorimitsu śledził na monitorze relację z kilku wozów, które udały się na patrol, a porucznik Ahmed Khadra i sierżant Knabber pobierali odciski palców od pary Kudłaczy, która zgłosiła się godzinę temu. Kudłaczek, opierając czubek swojego tasaka na podłodze i trzymając ręce na gałce rękojeści, przyglądał się temu znudzonym wzrokiem. Pobieranie odcisków palców nie było niczym nowym. Środkowa powierzchnia baraku była na ogół wolna. Tu i ówdzie stało kilka pustych stołów i nieczynnych maszyn biurowych. Pewnego dnia zdobędą pełną obsadę Komitetu i Jack będzie mógł wychodzić i przebywać wśród autochtonów, jak na komisarza przystało.

Jedna sprawa została załatwiona, kwestia Rezerwatu dla Kudłaczy, przynajmniej na razie. Ben Rainsford zamienił wszystkie tereny na północ od Małej Czarnej Wody i Wschodnich Języków Węża na siedlisko Kudłaczy, cała kraina należała do nich i do nikogo innego. Oby tylko dały się namówić na pozostanie tam. Gerd i Ruth, Pancho Ybarra i panna Andrews znajdowali się już w obozie i urządzali się. Być może zaczęli rozumieć i poznawać niektóre rzeczy, które zrozumieć i poznać musieli.

Maszyna stemplująca stuknęła dwa razy, wybijając numery na kółeczkach identyfikacyjnych dla pary nowych. Khadra przyniósł gotowe obrączki i kucnął, aby nałożyć je Kudłaczom.

— Ile już ich mamy, Ahmedzie? — zawołał w głąb baraku.

— Te są pięćdziesiąty ósmy i pięćdziesiąta dziewiąta — krzyknął w odpowiedzi Khadra. — Minus trzy, dwa Bena Rainsforda i Złotowłosa.

Biedna mała Złotowłosa, z rozkoszą nosiłaby identyfikator. Była taka dumna z dzwoneczka, który dostała od Ruth, zanim ją zabito. Pięćdziesiąt sześć Kudłaczy, mają tutaj niezłą populację.

Zabrzączał moduł łączności. Trącił przełącznik na krawędzi biurka i opuścił nogi na podłogę, odwracając się. Zgłosił się Ben Rainsford i widać było, że jest bardzo zdenerwowany. Jego rude bokobrody jeżyły się jak naelektryzowane, a niebieskie oczy miały iskry.

— Jack — zaczął z oburzeniem. — Właśnie się dowiedziałem, że Victor Grego przetrzymuje Kudłacza w budynku Kompanii. Co gorsza, ma czelność wysłać Leslie Coombesa do sędziego Pendarvisa z wnioskiem o kuratelę.

Zdziwił się trochę. Dotychczas Grego nie ujawnił swojej przynależności do grona Przyjaciół Kudłaczka.

— Wiesz może, skąd go wziął?

Przez chwilę Rainsford pożerał go wściekłym wzrokiem, następnie odparł:

— Twierdzi, że znalazł go u siebie w mieszkaniu wczorajszej nocy, na samej górze budynku. Przecież to stek bzdur, u diabła, czy jemu się wydaje, że znalazł durnia, który mu uwierzy?

— Cóż, to zabawne miejsce na dom dla Kudłacza — przyznał. — Uważasz, że to któryś ze złapanych do eksperymentów Mallina, przed procesem? Ruth utrzymuje, że było ich tylko cztery i wszystkie wypuszczono na wolność w noc tej awantury z Lurkinami.

— Sam nie wiem. Wiem tylko to, co mi powiedział Gus Brannhard, co mu powiedziała sekretarka Pendarvisa, co jej powiedział Pendarvis i co Coombes powiedział Pendarvisowi. — Brzmiało dość pokrętnie, Jack uważał jednak, że jest to sposób ujmowania spraw przez gubernatora kolonii. — Gus mówi, że Coombes twierdzi, iż podobno Grego nie wie, skąd się wziął Kudłacz, ani jak się dostał do budynku Kompanii. To na pewno wierutne kłamstwo.

— To chyba prawda. Victor Grego jest za sprytny na to, aby okłamywać własnego adwokata, a Coombes jest za sprytny, aby okłamywać najwyższego sędziego. Sędziowie są śmieszni pod tym względem, lubią sprawdzać twierdzenia pod prawdomierzem. Widziałeś, co spotkało w sądzie Mallina. Nie sądzisz chyba, że ktokolwiek z tej szajki spróbuje kłamać w hełmie na głowie?

Rainsford z pogardą parsknął śmiechem. Grego mówi nieprawdę, jeśli prawdomierz potwierdzi jego słowa, to będzie takim samym kłamcą jak on.

— No trudno, nie obchodzi mnie, skąd wziął Kudłacza. Martwią mnie tylko jego plany wobec małego — odparł. — I plany Ernsta Mallina, Coombes przyznał się wobec Pendarvisa, że Mallin pomaga Grego opiekować się Kudłaczem. Opiekować się! Na pewno znęcają się nad biednym stworzeniem, Grego i ten sadysta, psychoanalityk szarlatan. Jack, musisz odebrać Victorowi Grego tego Kudłacza!

— Och, wątpię w to, Grego nie męczyłby Kudłacza, a jeśli nawet, to nie zwróciliby się o kuratelę i przejęcie prawnej odpowiedzialności. Co mam konkretnie zrobić, twoim zdaniem?

— Cóż, kazałem Gusowi uzyskać nakaz sądowy. Powiedział mi, że ty jesteś komisarzem tubylców, że twoim zadaniem jest ochrona Kudłaczy...

Gus nie uważał, by Kudłacz potrzebował ochrony, sądził, że Grego dobrze go traktuje i powinien dostać zgodę na kuratelę. Zwalił więc robotę na niego.

Skinął głową.

— Dobrze. Natychmiast lecę do Mallorysport. Jesteście o trzy godziny za nami i jeśli skorzystam z promu Gerda, to zjawię się za trzy godziny. W budynku Kompanii będę o piętnastej trzydzieści, waszego czasu. Wezmę ze sobą Pancho albo Ruth. Każ Gusowi spotkać się z nami, kiedy przylecimy. I chcę od ciebie pożyczyć Florę i Faunę.

— W jakim celu?

— Spełnią rolę tłumaczy i przepytają małego pupilka Grego. Nie chcę przywozić naszych, bo po co mają latać tam i z powrotem, gdyby sąd potrzebował Kudłacze. Powiedz Gusowi, aby zdobył wszelkie dokumenty niezbędne do zniszczenia Kompanii. Damy im popalić.

Zaciemnił ekran, nagryzmolił notatkę, oderwał kartkę i rozejrzał się dookoła. Ko-ko, Kopciuszek i Mama oraz para Kudłaczy policyjnych siedziały przy układance na podłodze obok biurka.

— Ko-ko — zawołał. — *Do-bizzo*. — Kiedy Ko-ko wstał i zbliżył się do Jacka, ten wręczył mu notatkę i powiedział: — Zanieś to do Wujko Panko. Zrób szybki bieg.

Victor Grego miał na ekranie Leslie Coombesa, adwokat kontynuował:

— Najwyższy sędzia nie jest wrogo nastawiony. Powiedziałbym raczej, że przychylnie. Stara się zachować ostrożność, aby nie stworzyć precedensu, który mógłby wprawić później w zakłopotanie Komitet do spraw Autochtonów. Ciekawiło go jednak, w jaki sposób Kudłacz znalazł się w budynku.

— Powiedz mu, że jest nas dwóch. Mnie też to ciekawi.

— Czy ludzie Steefera coś znaleźli?

— Sądząc z jego informacji, chyba nie. Za chwilę będę z nim rozmawiał. Wydaje się, że goni w piętke.

— Przydałoby się to wyjaśnić. Miałyś ochotę złożyć pod prawdomierzem oświadczenie o tym, co ci wiadomo? — spytał adwokat.

— Przy odpowiednich gwarancjach. Żeby nikt nie pompował ze mnie tajemnic firmy.

— Naturalnie. Co z Mallinem i Jimenezem?

— Zgodzą się, jeśli chcą nadal tutaj pracować. — Zdziwiło go, że Coombes zadaje takie pytanie. — Uważasz to za konieczne?

— Za bardzo wskazane. Rainsford na pewno sprzeciwi się twojemu wnioskowi — Holloway, być może. Co ze zdobyciem oświadczenia od Kudłacza?

— Próbowaliśmy z Mallinem wczoraj wieczorem. Ja nie znam języka, on zaś ma kilka kaset, które dostał od porucznika Ybarry podczas procesu. Mamy już aparaty słuchowe. To jest piekielny język, najbardziej przypomina japoński ze starej Terry. Kudłacz starał się nam coś powiedzieć, ale nie mogliśmy zrozumieć. Mamy to wszystko na kasecie. I pokazaliśmy mu audiowizualne portrety tych dwóch pracowników sekcji pomiarowej, którzy pomagali Jimenezowi. Poznał jednego i drugiego, chyba nie bardzo lubi tych gości. Szukamy ich. Szukamy także kutra zwiadowczego Kompanii, który zniknął wraz z nimi.

— Kradzież pojazdu to ciężkie przestępstwo, wystarczy, by ich zatrzymać i przesłuchać — zauważył Coombes. — No dobrze, mam wpaść do ciebie na koktajl?

— Tak. Chciałbym, abyś łączył się ze mną, powiedzmy, co pół godziny. Jeśli Rainsford okaże się złośliwy, mogę cię wcześniej potrzebować.

Po rozmowie z Coombesem połączył się z komendantem Steeferem.

— Panie Grego, jak bardzo czerwona jest moja twarz? — powitał go Steefer.

— Prawie niezauważalnie. A powinna być?

Steefer rzucił przekleństwo.

— Panie Grego, potrzebuję pańskiego upoważnienia na przeszukanie całego gmachu, centymetr po centymetrze.

— Wielki Boże, Harry! — Zastanawiał się, ile milionów na milion centymetrów to wyniesie. — Czy pan coś znalazł?

— Nie w sprawie Kudłacza, ale... Nie ma pan pojęcia, co się tam dzieje, na tych nie zajętych poziomach. Trafiliśmy na miejsca, gdzie całymi tygodniami koczowali jacyś ludzie. W jednym takim miejscu przez cały miesiąc musiało trwać przyjęcie. Leży tam pół barki pustych butelek. I znaleźliśmy melinę.

— Tak? Jak wygląda?

— Nic specjalnego. Mnóstwo sienników, cała podłoga w niedopałkach... na ogół skręty albo papierosy nasyczone narkotykiem. Myślę, że nie był to nikt od nas, chyba każdy chłopak z Mallorysport wpada tutaj ze swoją dziewczyną. Mamy ludzi na wszystkich platformach lądowniczych, rzecz jasna, ale brakuje nam do... — Twarz mu stężała. — Po prostu robota idzie za wolno. To jedyne wyjaśnienie.

— Wszyscy działamy za wolno, Harry. — Przypomniał sobie bałagan w spiżarni, to było symptomatyczne. — Wiesz, będziemy mieli chyba dług wdzięczności wobec Kudłacza, jeśli ta historia nauczy nas postępować jak przystało koncernowi, a nie jak gromadzie smarkaczy w krainie baśni. W porządku, rób pan swoje. Ciągłe najważniejsze jest odkrycie drogi, którą Kudłacz dostał się do budynku, ale przy okazji zróbcie ogólne porządki i dopilnujcie, żeby tak już zostało.

Połączył się z Juanem Jimenezem w centrum naukowym. Jimenez nosił od wczoraj nowy strój, mniej niedbały, bardziej godny pracownika na kierowniczym stanowisku.

Jego publiczne oblicze także uległo zmianie, uwypuklając skuteczność kosztem ustępliwości.

— Dzień dobry, Victorze. — Lekko się zająknął, mówiąc mu po imieniu stosownie do uprawnień szefa wydziału, do których jeszcze nie przywykł.

— Dzień dobry, Juanie. Wiem, że nie zapomniałeś o naszym wspólnym lunchu, proponuję jednak, abyś wpadł nieco wcześniej. Jest parę problemów, które musimy przedtem omówić. Za dwadzieścia minut?

— Nie ma sprawy, mogę być jeszcze wcześniej, jeśli sobie życzysz.

— Kiedy tylko będziesz mógł. Skorzystaj z tylnego wejścia.

Potem odbył kolejną rozmowę przez teleekran. Zewnętrzna, do której musiał poszukać kombinacji. Kiedy zniknęły zakłócenia, z ekranu wyjrzała wąska twarz starszego mężczyzny o siwych włosach. Nosił szarą bluzę roboczą z kieszeniami wypchanymi różnymi małymi narzędziami i miernikami. Nazywał się Henry Stenson i można go było określić wytwórcą aparatury, tak jak Benvenuto Celliniego jubilerem.

— O, pan Grego — powitał go z miłym zdziwieniem, bądź z czymś podobnym do zdziwienia. — Dawno nie miałem wiadomości od pana.

— Zgadza się. Odkąd przestało nadawać urządzenie, które wmontował pan do mojego planetarium. Nawiasem mówiąc, glob spóźnia się o jakieś trzydzieści sekund, a oba księżyce całkiem się pogubiły. Musieliśmy to zatrzymać, aby usunąć pański nadajnik, a żaden z moich ludzi nie posiada takich delikatnych palców jak pan.

Stenson trochę się skrzywił.

— Przypuszczam, że wie pan, dla kogo to zrobiłem.

— No cóż, nie jestem pewien, czy pracuje pan dla Wywiadu Floty, jak nasza była koleżanka, Ruth Ortheris, czy też dla Biura Śledczego Ministerstwa Kolonii, ale mniejsza o to. Kimkolwiek jesteście, przyjmijcie gratulacje za wspaniałą operatywność. Wie pan, mogłem się za to zemścić, bo instalowanie podsłuchu radiowego u ludzi w biurach jest ciężkim przestępstwem. Nie zamierzam składać skargi, ale stanowczo nie życzę sobie tego więcej. Rozumiemy się?

— No, oczywiście, panie Grego. Wie pan — dodał — myślałem, że był niewykrywalny.

— Instrumentalnie, zgoda. Moi ludzie wpadli w przerażenie na widok ekranów antydetekcyjnych. Czy pan je opatentował? Jeśli tak, to ma pan u nas trochę grosza, ponieważ je skopiowaliśmy. Ale nic się nie może oprzeć fizycznemu przeszukaniu, a myśmy rozebrali mój gabinet praktycznie na

kawałki, jak tylko stało się jasne, że każde wypowiedziane w nim słowo było natychmiast słyszane w bazie na Kserksesie.

Stenson pokiwał głową z poważną miną.

— Nie dzwoni pan do mnie tylko po to, by dać mi znać, że mnie przyłapał? Wiem o tym od chwili, gdy zamilkło radio.

— Nie. Chcę, aby pan ponownie zsynchronizował planetarium, jak najszybciej. Aha, i jeszcze jedno. To pan pomógł ludziom na Kserksesie skonstruować te ultradźwiękowe aparaty słuchowe, prawda? No cóż, panie Stenson, czy mógłby pan zaatakować problem z drugiej strony? To znaczy, zbudować małą słuchaweczkę z własnym zasilaczem, tak małą, by mógł ją nosić Kudłacz, a która przemieniałaby jego głos na częstotliwości akustyczne?

Stenson milczał całe pięć sekund.

— Tak, naturalnie, panie Grego. To powinno być nawet łatwiejsze. Nauczenie Kudłacza, żeby ją nosił, będzie oczywiście trudną sztuką, ale to już nie moja działka.

— No to proszę się postarać i jak najszybciej zrobić próbny model. Dysponuję Kudłaczem, na którym można to przetestować. I jeśli będzie się nadawało do opatentowania, niech pan to zrobi i porozmawia z Leslie Coombesem. Może to mieć wartość handlową dla nas obu.

— Sądzi pan, że będzie popyt? — zdziwił się Stenson. — Ile pańskim zdaniem mógłby zapłacić Kudłacz?

— Myślę, że Komitet do spraw Autochtonów zapłaci dziesięć do piętnastu soli za sztukę dla swoich podopiecznych, a nasze zakłady elektroniczne mogłyby je na pewno produkować na opłacalną skalę.

Ktoś wszedł do gabinetu, w jednym ze strategicznie rozmieszczonych luster zobaczył Juana Jimeneza, unikającego pola widzenia kamery telewizyjnej. Kiwnął do niego głową i wrócił do rozmowy ze Stensonem, który obiecał wpaść nazajutrz rano i obejrzeć planetarium. Po zakończeniu

rozmowy i wyłączeniu ekranu, gestem dłoni zaprosił Jimeneza na krzesło przy biurku.

— Ile zdążyłeś usłyszeć?

— No cóż, że siwowłosa Iskariota przyrzekł wpaść tutaj jutro rano i naprawić planetarium...

— Henry Stenson nie jest Iskariotą, Juanie. To tajny agent Federacji Terrańskiej, i należy mu się uznanie za jego lojalność i kompetencję. Skoro wiem już, kim jest, a on wie, że ja wiem, możemy robić interesy na bazie wzajemnego szacunku i zaufania. Skonstruuje mi aparacik, dzięki któremu Kudłacz będzie mógł do nas mówić w sposób uchwytny dla ucha.

— Przejdźmy zatem do Kudłaczy — ciągnął. — Jesteśmy pewni, że to dwaj twoi pomocnicy, Herckerd i Novaes, sprowadzili mego Kudłacza do Mallorysport. Twierdzisz, że nie mieli go w drodze powrotnej z tobą?

— Zdecydowanie nie, panie Grego.

— Powtórzysz to pod prawdomierzem?

Jimenez wolałby tego nie robić, to było jasne. Chciał jednak pracować w Kompanii, szczególnie teraz, kiedy dostał awans na szefa sekcji badań i rozwoju. Znalazł się blisko szczytu w hierarchii budynku Kompanii i zamierzał na nim zostać.

— Tak, oczywiście. Liczyłem jednak na to, że moje słowo wystarczy...

— Niczyje słowo nie wystarczy. Zamierzam zeznać pod prawdomierzem wszystko, co sam wiem w tej sprawie, tak samo jak Ernst Mallin. Za kilka dni będziemy dysponować pokaźną liczbą oświadczeń poddanych prawdometrii. Chcę więc, abyś dokładnie obejrzał tego Kudłacza. Sprawdź, czy go znasz, albo czy on zna ciebie.

Przeszli do prywatnej windy i pojechali na górę do apartamentu z ogrodem. Sandra Glenn siedziała wygodnie w jego ulubionym fotelu wypoczynkowym w salonie. Słuchała czegoś z odtwarzacza ze słuchawką w uchu i paliła papierosa. Kiedy weszli, wyłączyła akurat aparat i przymknęła oczy.

— *So-dzos'so-aki*, ty dajesz mi — powiedziała. — *Aki-dzos'so-so*, ja daję tobie. *So-noho-aki dok'ko*. Mówisz mi ile.

Ominęli ją na palcach i udali się do ogrodu. Ernst Mallin siedział na niskim miękkim taborecie, miał włączony aparat słuchowy. Diament kuczał przed nim i wiązał pętle na kawałku liny. Rejestrator audiowizualny ustawiony był w taki sposób, żeby obejmować ich obu. Kudłacz zerwał się na nogi i pobiegł im na spotkanie z okrzykiem:

— Papcio Vic! *Hiita!* — Trzymał w ręku zawiązany węzeł, którego się nauczył.

— Cześć, Diament. Bardzo ładny węzeł. Zmyślny z ciebie Kudłacz. Jak powinienem to powiedzieć, Ernst? — Mallin odpowiedział coś z wahaniem, Grego to powtórzył, gładząc Kudłacza po głowie. — No, a jak mam go zapytać, czy widział już kiedyś tego Dużego obok mnie?

Mallin sam zadał to pytanie. Diament odparł coś, Grego złapał kilka Vov. To była odpowiedź negatywna.

— On cię nie zna, Juanie. Wiem na pewno, że Herckerd i Novaes przylecieli razem z tobą, tuż przed rozprawą, a potem wrócili na Betę, prawdopodobnie naszym własnym kutrem, i złapali tego Kudłacza. Nie dowiemy się tego, dopóki ich nie znajdziemy i nie przesłuchamy.

Mallin kiwał głową.

— Odbieram kilka nowych słów, ale nie jestem pewny. Mówi, że przynieśli go tutaj dwaj Hadźdza, których pokazaliśmy mu na filmie. Myślę, że oprócz niego przywieźli kilkoro innych Kudłaczy, nie jestem pewny. Nie ma chyba sposobu na wyrażenie liczby mnogiej w ich języku. Mówi, że to byli *toszki-gaszta*, źli ludzie. Umieścili go w złym miejscu.

— Już my ich umieścimy w złym miejscu. W więzieniu. Sądzę, że zdołacie stwierdzić, jak dawno to było. Chyba w czasie procesu albo tuż po nim.

Do ogrodu weszła Sandra Glenn.

— Panie Grego, panna Fallada jest na ekranie. Mówi, że przyszli przedstawiciele wszystkich agencji informacyjnych. Słyszeli o Diamencie, chcą mieć relację i jego zdjęcia.

— Tego jeszcze brakowało! Dobrze, przekaz jej, aby kazała jakiemuś strażnikowi przyprowadzić ich do nas. Obawiam się, Juanie, że lunch będzie musiał poczekać, dopóki z nimi nie skończymy.

8.

Wychodząc z windy, Jack Holloway przyśpieszył kroku, by umożliwić innym wyjście, po czym zatrzymał się, spoglądając na trzech mężczyzn, którzy czekali na niego w holu apartamentu Victora Grego. Dwóch poznał wcześniej: Ernsta Mallina — u siebie w obozie, w zdecydowanie nieprzyjemnych okolicznościach, których kulminacją było zamordowanie Złotowłosej, pobicie Leonarda Kellogga i zastrzelenie Kurta Borchy — oraz Leslie Coombesa — zrazu w sądzie drobnych spraw u George'a Lunta w komisariacie Beta Piętnaście i ponownie w sądzie Frederica Pendarvisa na procesie o Kudłacze. W miarę trwania rozprawy lodowata uprzejmość, z jaką traktowali się początkowo z Mallinem i Coombesem, roztopiła się i zaczęła stopniowo przypominać wzajemną serdeczność.

Ale poza jego wystąpieniami w telewizji, nigdy dotąd nie widział Victora Grego. Generałowie wrogich sobie obozów rzadko spotykają się na polu bitwy. Uderzyło Jacka, że widząc Grego po raz pierwszy, jako zupełnie obcego człowieka, natychmiast go polubił. Aż nie chciało mu się wierzyć, że to właśnie Grego chciał potraktować Kudłacze jako zwierzęta futerkowe i wytepić cały gatunek. No cóż, wówczas Grego nie znał ich jeszcze. Łatwo planować okrucieństwo wobec czegoś, co zna się tylko z opowieści.

Milczeli przez chwilę, stojąc w odległości trzech metrów od siebie. Mallin i Coombes po obu stronach Victora Grego oraz Gus Brannhard, Pancho Ybarra i Ahmed Khadra z Florą i Fauną za ich plecami. Niczym dwa gangi czekające, aż ktoś pierwszy sięgnie po broń. Raptem Grego postąpił o krok do przodu i wyciągnął rękę.

— Pan Jack Holloway? Bardzo mi miło pana poznać. — Uścisnęli sobie dłonie. — Zna pan już mecenasa Coombesa i doktora Mallina. To ładnie z pana strony, że uprzedził nas pan o swoim przybyciu.

Ben Rainsford uważał inaczej. Chciał, żeby spaść na nich w budynku Kompanii niespodziewanie, najlepiej z wyciągniętymi pistoletami, i złapać Grego na gorącym uczynku w trakcie popełniania łotrostwa, do którego był zdolny. Brannhard i Coombes podali sobie ręce, to samo zrobili Ybarra i Mallin. Holloway przedstawił Ahmeda Khadrę.

— A to są Flora i Fauna — dodał. — Przyprowadziłem je, aby poznały Diamenta.

Grego pochylił się, a one wyszły naprzód.

— Dzień dobry, Flora. Dzień dobry, Fauna. *Aki-gaz'za hiita-so.*

Akcent miał dość dobry, ale powoli dobierał słowa. Dwoje Kudłaczy odpowiedziało uprzejmie. Grego zaczął opowiadać, że Diament bawi się w ogrodzie, po czym roześmiał się na widok swego pupila zerkającego ciekawie zza drzwi do ogrodu. Po chwili Diament spostrzegł Florę i Faunę i rzucił się pędem w ich kierunku, a one pobiegły przywitać się z nim. Wszystkie trajkotały podekscytowane. Za Diamentem pokazała się wysoka, ruda dziewczyna. Grego przedstawił ją jako Sandrę Glenn. Wyszedł z nią Juan Jimenez, istny Tydzień Pamięci Starej Ojczyzny.

— Idziemy do salonu czy do ogrodu? — spytał Grego. — Radziłbym do ogrodu, w salonie może być za ciasno, gdy troje Kudłaczy zacznie się z sobą zaznajamiać. Niekiedy mam wrażenie ciasnoty już przy jednym Kudłaczu.

Przeszli przez salon. Spokojny, elegancki przepych jego umeblowania ucierpiał trochę. Pojawił się zestaw rejestratora audiowizualnego, dodatkowy teleekran i monitor rejestratora oraz odtwarzacz kasetowy. Przypominały raczej sprzęt biurowy niż wyposażenie mieszkania. Najwyraźniej Kudłacze wyczyniały to samo z każdym salonem. I kolejna rzadkość: mebel podobny do starożytnego krzesła elektrycznego z przymocowanym nad nim błyszczącym metalowym hełmem i dużą przezroczystą kulą. Poliencefalograficzny prawdomierz; Grego nie

oczekiwał, że ktokolwiek będzie mu wierzył na słowo. Udając, że nie widzą krzesła, przeszli obok niego do ogrodu.

Kiedyś był to na pewno prywatny ogród Grego, teraz należał wyraźnie do Kudłacza. Wielu ludzi musiało tu ostatnio bardzo ciężko pracować. Miał dużo sprzętu do zabawy — huśtawkę, zjeżdżalnię, szkieletową konstrukcję z rurek do wspinania. Małą, wielkości Kudłacza, fontannę z wodą do picia i basen. Wydawało się, że Grego pomyślał o wszystkim, co chciałby mieć na miejscu Kudłacza, i zrealizował to. Diament zaprowadził Florę i Faunę na zjeżdżalnię, wbiegł po schodkach i śmignął na dół. Kudłacze pobiegły za nim, odbyły próbną jazdę, po czym ruszyły z powrotem na górę. Trzeba kupić podobny sprzęt do zabaw w obozie. Na pewno Flora i Fauna zaczną dręczyć Papcia Jacka o to samo, gdy tylko powrócą do domu.

Zgodnie z planem Ahmed Khadra i Pancho Ybarra pozostali w ogrodzie z Kudłaczami, a Holloway i Brannhard oraz Grego, Mallin i Coombes weszli do pokoju. Przez chwilę wymieniali ogólne uwagi o Kudłaczach, szczególnie o Diamencie. Jedna rzecz nie podlegała dyskusji: Grego lubił autochtonów i był bardzo oddany swojemu pupilkowi.

Kudłacze wyrządziły mu największą krzywdę, jaką mogły. Teraz potrafił zaprzyjaźnić się z nimi.

— Przypuszczam, że chcecie państwo usłyszeć, skąd się tutaj wziął? Jeśli można, wolałbym poddać prawdometrii to, co mam do powiedzenia, więc nie będzie wątpliwości. Chciałby pan wcześniej sprawdzić maszynę, mecenasie Brannhard?

— Świetny pomysł. Jack, chcesz być świadkiem na próbę?

— Jeśli ty będziesz zadawać pytania.

Prawdomierz działał na zasadzie identyfikacji i rejestracji charakterystycznego wzorca elektromagnetycznych fal mózgowych zajmujących się tłumieniem wypowiedzi prawdziwej i zastępowaniem jej fałszywą. Nie trzeba było mówić tego na głos, sama chęć powiedzenia kłamstwa zamieniała barwę światła w kuli z niebieskiej na czerwoną i

nawet mistrz jogi nie zdołałby kontrolować swoich myśli w takim stopniu, aby temu zapobiec. Holloway zajął miejsce na krześle, Brannhard zamocował elektrody i opuścił mu hełm nad głowę.

— Jak się nazywasz?

Odpowiedział zgodnie z prawdą, a Gus skinął głową i spytał go o miejsce zamieszkania.

— Ile masz lat?

Odjął sobie dziesięć lat. Prawdomierz natychmiast to wychwycił, Gus chciał poznać prawdziwy wiek Jacka.

— Siedemdziesiąt cztery lata, urodziłem się w 580. Nawet nie umiałbym oszacować, ile odliczyć na dylatację czasu podczas lotów w podprzestrzeni.

— To prawda — powiedział Gus. — Sądziłem, że masz tylko trochę więcej niż sześćdziesiąt.

Następnie zapytał go o planety, które odwiedził. Jack wymienił wszystkie, łącznie z jedyną w promieniu pięćdziesięciu lat światła, na której nigdy nie był, i prawdomierz to odnotował. Skończył w purpurowym blasku kłamstw, twierdząc, że jest abstynentem, pacyfistą Ghandiego i nieślubnym synem arcybiskupa satanistów. Brannhard był zadowolony, prawdomierz działał. Zdjął uprząż z Jacka i jego miejsce zajął Grego.

Kula pozostawała niezmiennie błękitna w czasie składania przezeń sprawozdania, jak znalazł Kudłacza w sypialni. Była to taka sama relacja, jaką poznali w aktualnościach w trakcie lotu z Bety. Później Grego ustąpił miejsca Mallinowi, a Mallin Jimenezowi. Żaden nie miał nic wspólnego ze sprowadzeniem Kudłacza do Mallorysport, a prawdomierz to potwierdził. Przyznali, że Diament rozpoznał Herckerda i Novaesa jako ludzi, którzy sprowadzili do miasta jego i ewentualnie inne Kudłacze.

— Jak myślicie? — spytał Coombes, kiedy wszyscy zasiedli na powrót w swych fotelach. — Czy przywieźli je tutaj z zamiarem sprzedaży w prywatne ręce?

— Nie widzę innego powodu — odparł Holloway. — Bałem się o coś takiego. Ale po co je przynieśli do budynku Kompanii? Nie widzę w tym żadnego sensu.

— Ja widzę. — Coś rozgniewało Victora Grego. Przyczyna tego ujawniła się natychmiast. Opowiedział ze złością o tym, co się działo w wolnych pomieszczeniach budynku Kompanii. — Komendant Steefer toczy wojnę, zaczął od własnego departamentu. Rozesłaliśmy listy gończe za Herckerdem i Novaesem pod zarzutem kradzieży pojazdu...

— Zapomnij pan o tym — poradził mu Brannhard. — To drobiazg w porównaniu z oskarżeniem, jakie zamierzam wnieść.

W drzwiach do ogrodu pojawił się Khadra. Zdjął beret, ale nie ruszał pistoletu.

— No więc, było ich sześćoro — oznajmił. — Diament i pięcioro innych. Przynieśli je Herckerd i Novaes — jest pewny ich tożsamości — i trzymali przez kilka dni w jakiejś ciemnej norze w tym gmachu. Potem tamte zabrano, Diament wyrwał się i uciekł dwóm *tosz-ki Hadżdza*, kiedy nieśli je do kutra. Nie wie, jak dawno temu to było — mówi, że trzy sny. Znalazł różne rzeczy do jedzenia i wodę do picia, a potem spotkał go Papiro Vic i dał mu cudowny przysmak. Nie zna losu swych przyjaciół, ma nadzieję, że również uciekli.

— Nie tutaj — stwierdził Grego. — Będziecie ich szukać?

— Oczywiście.

— A jeśli coś im się stało, będziemy ścigać Herckerda i Novaesa, dopóki nie umrą ze starości, o ile ich wcześniej nie dopadniemy — dodał Brannhard.

— Jak się tu czuje Diament, Ahmedzie? — spytał Holloway.

— Ach, cudownie. To najszczęśliwszy Kudłacz, jakiego znam, a nigdy jeszcze nie spotkałem melancholijnego Kudłacza. Ma pan niezwykle sympatycznego domownika, panie Grego.

— Uhm, to brzmi jak zgoda na jego zatrzymanie — odparł.

— Moja opinia będzie bardzo pozytywna — poinformował go Khadra.

— Ma się rozumieć, że dostanie pan zgodę — przyznał Holloway. — Lubi pan Kudłacza, Kudłacz lubi pana i jest tutaj szczęśliwy. Nie obchodzi mnie nic więcej.

— Obawiam się, że gubernator Rainsford będzie inaczej na to patrzył, panie Holloway.

— Gubernator Rainsford nie jest Komisarzem do spraw Autochtonów. Nie jest również sądem Federacji. Z tego, co przed tygodniem mówił mi sędzia Pendarvis, sąd będzie akceptować decyzje Komitetu odnośnie do Kudłaczy.

— Minister sprawiedliwości też ma swoje wpływy w sądzie — oznajmił Brannhard. — Minister sprawiedliwości poprze pański wniosek o kuratelę. — Podniósł się. — Wyczerpaliśmy już tematy do dyskusji, prawda? Chodźmy więc do ogrodu zobaczyć, co słyhać u Kudłaczy.

9.

Gus Brannhard nalał kawy do filiżanki w połowie wypełnionej brandy, lewą ręką odsunął gęstą brodę i wypił mały łyk. Była dobra, uważał jednak, że na Becie smakowałyby lepiej z cynowego kubka przy ognisku. Pora wziąć się do roboty, po pośpiesznym przedstawieniu nagich faktów w trakcie koktajlu, całość sprawy omówili przy kolacji.

— No cóż, mogę wnieść i wniosę oskarżenie o przestępstwo — zapewnił pozostałych, którzy pili kawę w saloniku budynku rządu. — Bezprawne porwanie i transport z uwięzieniem. Jeśli to nie jest porwanie, to jak to nazwać?

— Stań na głowie, Gus, i zrób z tego uprowadzenie w niewolę — powiedział Jack Holloway. — Jeśli uzyskasz wyrok skazujący, możemy kazać ich obu rozstrzelać. I przeprowadzić transmisję telewizyjną z egzekucji. Musimy dać przykład, który zapadnie głęboko w pamięć opinii publicznej, i to natychmiast.

— No, wyciągnąłem wszystko z Diamenta — oznajmił Pancho Ybarra. — On i jeszcze jeden Kudłacz spotkali czwórkę nieznanym. W sześcioro zeszły w dół strumienia za wodospad, a potem dotarli do miejsca, gdzie przebywali dwaj Hadźdza, ci sami, których Diament widział na monitorze. Hadźdza poczęstowali je jakimś płynem z butelki. Obudziły się z bólem głowy w czymś, co wygląda na jedno z nieukończonych pomieszczeń w budynku Kompanii. Diamentowi udało się uciec, pozostałe zabrali dwaj źli Duzi.

— Mamy zatem do odszukania pięcioro Kudłaczy — stwierdził Holloway. — To twoje zadanie, Ahmedzie. Zostaniesz tu, w Mallorysport. Awansujemy cię na kapitana i szefa detektywów, dzięki temu dorównasz pozycją innym tutejszym przedstawicielom władzy wykonawczej. Jeśli

łapią je w sidła, żeby nimi handlować, to ich działanie przekracza już kompetencje Komitetu Autochtonów, musi się tym zająć Federacja.

— Prawdopodobnie łapali je dla Mallina do jego badań — odezwał się Ben Rainsford.

Jack zaklął.

— Ben, ty nas w ogóle nie słuchasz. Cały materiał, jaki od nich uzyskaliśmy, został sprawdzony prawdomierzem. Nic nie wiedzą o jakichkolwiek Kudłaczach poza tymi, które są u Gerda i Ruth.

— Pan Grego współpracował bardzo zadawalająco, gubernatorze — stwierdził sztywno i oficjalnie Ahmed Kadra. — Zapędził całą Kompanię do pracy i nakazał mi zwracać się ze wszystkim do komendanta Steefera, a jutro doktor Jimenez leci na Betę, żeby pokazać niektórym naszym ludziom, gdzie wtedy obozował. Z opisu Kudłacza sądzimy, że Herckerd i Novaes powrócili właśnie tam.

— No dobrze, jakie macie plany wobec Kudłacza z budynku Kompanii? — spytał Rainsford Jacka, nie zwracając uwagi na słowa Khadry. — Chcecie mu pozwolić zostać u Grego, tak?

— Oczywiście. Diament jest szczęśliwy, a Grego troszczy się o niego. Poprę jego wniosek do sędziego Pendarvisa o kuratelę.

— Ależ to nie jest w porządku! Po tym wszystkim, co on zrobił! — upierał się Rainsford. — Chciał przecież wyłapać wszystkie Kudłacze dla ich futerek. Zabrał ci twoje dwa. Kazał Jimenezowi schwytać tamte cztery i pozwolił je męczyć Mallinowi, zapytaj o to Ruth, a potem wszczął tę awanturę z małą Lurkin i wypuścił je na wolność wśród motłochu, żeby zginęły. Przypomnij sobie, jak usiłował wmówić wszystkim, że wyuczyłeś je po prostu kilku sztuczek i zmusiłeś mnie do poparcia twoich kłamstw, jakoby należały do sapientów...

No i w końcu Ben pośrednio się wygadał. Chodziło mu o to, że Grego usiłował go oskarżyć o umyślne zaaranżowanie naukowego oszustwa. Cóż,

uczony z trudem zapomina takie rzeczy. To tak, jakby żołnierzowi zarzucić tchórzostwo czy lekarzowi podanie trucizny.

— Hmm, moim zdaniem, a mówię to jako fachowiec — oznajmił Pancho Ybarra — Grego i Diament są bardzo do siebie przywiązani i byłoby niesprawiedliwie dla nich obu, żeby ich rozdzielić, a na pewno odbiłoby się to negatywnie na psychice Kudłacza. Taką opinię złożę sędziemu Pendarvisowi.

— Myślę, że takie będzie nasze oficjalne stanowisko w tej sprawie — powiedział Holloway. — Kiedy spotykamy Kudłacze i ludzi szczęśliwie razem mieszkających, nie mamy prawa ich rozdzielać i nie będziemy tego robić.

Rainsford zaczął napełniać fajkę, nagle podniósł wzrok ze złością.

— Chyba zapomniałeś, że jestem gubernatorem i że to ja zajmuję się uprawianiem polityki. Sam cię mianowałem...

Koniuszki białych wąsów Jacka ściągnęły się nerwowo, a jego oczy zwężyły. Przypominał starego, krewkiego tygrysa.

— To prawda — odparł. — Wyzaczyłeś mnie na Komisarza do spraw Autochtonów. Jeśli nie podoba ci się sposób, w jaki wykonuję swoją pracę, znajdź sobie nowego komisarza.

— I nowego ministra sprawiedliwości. W tej sprawie jestem za Jackiem.

Rainsford wrzucił fajkę do woreczka z tytoniem.

— To znaczy, że wszyscy jesteście przeciw mnie? Co robicie, staracie się o posady w KKZ?

Po tak trafnej uwadze niektórzy domagaliby się kontynuacji dyskusji korespondencyjnie lub przez posłańców. Z każdym poza Benem Rainsfordem. Jack wolał ją ciągnąć osobiście.

— Doktorze, co pan myśli o tym wybuchu jako psychiatra? — zwrócił się do Pancho Ybarry.

— Nie jestem upoważniony do przedstawiania opinii lekarskiej — odparł psycholog Floty. — Gubernator Rainsford nie należy do moich

pacjentów.

— Czy to znaczy, że powinienem być pacjentem psychiatry? — spytał Rainsford.

— No, skoro pan pyta... Nie cierpi pan na chorobę psychiczną, ale z pewnością nie okazuje pan zdrowego rozsądku w sprawie Victora Grego.

— Uważacie, że mamy siedzieć z założonymi rękami i pozwalać mu na wszystko — niech rządzi tą planetą tak samo jak przed Decyzjami Pendarvisa?

— Niewiele można mu zarzucić, Ben — odparł Holloway. — Zaczynam myśleć, że będzie dużo do zarzucenia tobie, o ile nie przestaniesz udawać kogoś innego i nie zaczniesz być gubernatorem. Czeka cię rozpisanie wyborów delegatów i zwołanie Zgromadzenia Konstytucyjnego. Musisz przejąć i poprowadzić wszystkie służby publiczne, za które odpowiadała Kompania do chwili unieważnienia jej koncesji. I musisz powstrzymać kradzież bydła na kontynentach Beta i Delta albo zwałą ci się na głowę wojny między kłusownikami. I lepiej już dziś zacznij myśleć o fali imigrantów, która zaleje tę planetę, gdy tylko rozejdzie się wiadomość o Decyzjach Pendarvisa.

Rainsford stał obok fotela, ściskając w bocznej kieszeni fajkę i tytoń. Dwa razy usiłował mu przerwać.

— Ach, pal was licho! — krzyknął. — Wychodzę, wolę rozmawiać z Kudłaczami.

Z tymi słowami wybiegł z pokoju. Przez chwilę nikt się nie odzywał, nagle Jack Holloway rzucił przekleństwo.

— Oby Kudłacze przemówiły mu do rozsądku — dodał. — Niech mnie diabli, jeśli ja to potrafię.

Może im się udać, gdyby je słuchał. W tym momencie miały więcej rozsądku od niego. Ahmed Khadra, który oniemiały wysłuchał awantury na wysokim szczeblu, brzęknął filiżanką i spodkiem.

— Jack, nie uważasz, że powinniśmy przeprowadzić się do hotelu? — spytał.

— Do diabła, nie! To nie jest prywatny pałac Bena Rainsforda tylko budynek rządu — odparł Holloway. — My również pracujemy dla rządu. Mamy robotę do wykonania.

— Musimy z nim jeszcze raz porozmawiać — odezwał się Gus. Nie oczekiwał tej rozmowy z przyjemnością. — Należy ułożyć jakiś Kodeks Kudłaczy, on zaś będzie musiał go zatwierdzić. Potrzebne są nam specjalne przepisy, a dopóki nie zbierze się Legislatura Kolonii, będzie je musiał zadekretować organ wykonawczy. Ciebie czeka regulacja prawna tyżająca adopcji Kudłaczy. Nie da się zlikwidować czarnego rynku i handlu żywym towarem, rozstrzeliwując kilku łobuzów, musisz ludziom umożliwić legalne zdobywanie Kudłaczy, pod kontrolą i ochroną, aby nie musieli kupować ich od porywaczy.

— Wiem, Gus — odparł Jack. — Cały czas o tym myślę, o oficjalnym biurze adopcijnym. Ale komu mogę je powierzyć? Nie znam nikogo.

— Hmm, ja znam wszystkich w okolicy budynku sądów centralnych. — To powinno wystarczyć, sądy centralne są niczym wioska, w której każdy zna każdego. — Może pomogłby mi Leslie Coombes.

— Mój Boże, Gus, dobrze, że Ben tego nie słyszy — zaprotestował Jack. — Ekspłodowałby niczym sto megaton. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że pomoże ci V-kreska-R G-kreska-O.

— Żebyś wiedział, że mógłby pomóc, i to bardzo. Wystarczy go tylko poprosić.

— Ruth dla kamuflażu napracowała się w sądzie dla nieletnich — napomknął Ybarra. — Istnieje jakieś Towarzystwo Opieki nad Nieletnimi...

— Claudette Pendants. Żona najwyższego sędziego. Robi dużo dla Towarzystwa.

— Tak — przyznał natychmiast Ybarra. — Słyszałem, jak Ruth o niej mówiła. W dodatku bardzo przychylnie, a Ruth ma galopującą alergię na rozmaitych wolontariuszy, naprawiaczy bliźnich.

— Pani Pendants lubi Kudłacze — powiedział Jack.— Nie można jej było oderwać od nich na procesie. Obiecałem jej parkę, jak tylko znajdę jakąś ładną. — Podniósł się z fotela. — Przejdźmy do biura, gdzie znajdziemy stół do pracy i teleekrany. Połączę się z nią i zapytam o to.

— Frederic, mogę ci przerwać?

Pendants odwrócił głowę od monitora, odłożył na bok cygaro i wstał. Wszedłszy do pokoju, Claudette dała mu znak, aby usiadł, i podeszła do niskiego wyściełanego taboretu. Uderzała dłońmi o kolana i przechylała głowę do tyłu w tej samej dziewczęcej pozie, jaką pamiętał z dawnych czasów na Baldurze, kiedy się do niej zalecał.

— Mam ci coś uroczonego do zakomunikowania, Fredericu — zaczęła. — Przed chwilą rozmawiałam z panem Hollowayem. Ma dla mnie dwa Kudłacze, chłopczyka Kudłacza i dziewczynkę Kudłaczkę, dostarczy je jutro albo pojutrze.

— No cóż, to istotnie urocza wiadomość. — Claudette miała bzika na punkcie Kudłaczy. Od pierwszego przekazu telewizyjnego na ich temat obserwowała je w sądzie i odwiedzała w hotelu Mallorysport w czasie procesu. Myśląc nad tym, doszedł do wniosku, że sam też chciałby mieć je w domu. — Ja chyba też ucieszę się z nich, tak samo jak ty. Lubię te szkraby, o ile trzymają się z dala od mojej sali sądowej.

Parsknęli śmiechem na wspomnienie komedii, w którą siedemnaścioro Kudłaczy plus Dzidzius zamieniło powagę sądu podczas debaty nad ich rozumnością.

— Mam nadzieję, że mimo wszystko nie będzie to uznane za szczególny przywilej — dodał. — Mnóstwo ludzi marzy o Kudłaczach, natomiast...

— Przecież wszyscy będą mogli je mieć. Właśnie w tej sprawie dzwonił pan Holloway. Zostanie umożliwiona adopcja Kudłaczy i komisarz

proponuje, żebym zajęła się nadzorem i dopilnowała, by trafiały w dobre ręce i nie były źle traktowane.

To zmieniało postać rzeczy. Muszą się nad tym dobrze zastanowić.

— Sądysz, że byłoby właściwe, gdybyś objęła tego rodzaju oficjalne stanowisko?

— Nie widzę przeciwwskazań. W Towarzystwie Opieki nad Nieletnimi zajmuję się tym samym.

— Będziesz podejmowała decyzje, kto może, a kto nie powinien otrzymać zgody na adopcję Kudłaczy. Kiedy ustanowię w tym celu sąd dla autochtonów — myślę o Yvesie Janiverze — twoje decyzje będą podlegały zatwierdzeniu.

— A czyje decyzje twoim zdaniem zatwierdza obecnie sąd dla nieletnich Adolphe'a Ruiza?

— To prawda — przyznał. Claudette nie mogłaby przyjąć Kudłaczy, odmawiając jednocześnie pomocy w biurze adopcyjnym, to nie byłoby w porządku, ani trochę. A tak bardzo chciała je mieć. — No dobrze, masz wolną rękę, kochanie, wyraż zgodę. Ktokolwiek obejmie tę funkcję, będzie musiał kochać Kudłacze. Co odpowiedziałaś panu Hollowayowi?

— Że naradzę się z tobą i oddzwonię do niego. Jest teraz w budynku rządu.

— Hmm, to połącz się z nim i powiedz, że się zgadzasz. Ja wywołam Yvesa i porozmawiam z nim o sędzie dla autochtonów...

Kiedy to mówił, wstała z niskiego krzeselka i stanęła obok męża, aby go pocałować przed wyjściem. Będzie taka szczęśliwa. Miał nadzieję, że nie spotka go surowa krytyka. No cóż, nieraz go już spotykała i jakoś to przeżył.

Victor Grego przyglądał się Diamentowi, który myszkował wśród jedzenia na niskim stoliku do koktajli. Wyjął kilka słonych orzeszków ze szklanej salaterki, rozgryzł jeden, a resztę odłożył na miejsce. Spojrzał na

filiżankę z kawą i kieliszek z likierem, ale zostawił je w spokoju. Następnie sięgnął do popielniczki.

— Nie, Diamencie. *Vov*. Nie dotykaj.

— *Vov ninta*, Diamencie — powiedział Mallin, który był trochę bardziej zaawansowany w języku Kudłaczy. — Musimy uczyć się ich języka, a nie zmuszać je do uczenia się naszego.

— Powinniśmy je nauczyć naszej mowy, aby mogły się porozumieć ze wszystkimi ludźmi, nie tylko z kudłaczologami.

— Nie cierpię tego terminu, panie Grego. Ma grecki przyrostek, od *logos*. Kudłacz nie jest greckim słowem i nie powinno się tego mieszać.

— Ach, nonsens, Ernst. Nie mówimy po grecku, tylko w języku terrańskim. A wiesz, co to za język? Beładna mieszanina angielskiego, hiszpańskiego, portugalskiego i języka afrykanerów, głównie angielskiego. A wiesz, czym jest język angielski? To rezultat wysiłków rycerzy normańskich, aby mieć randkę z saksońską oberzystką w dziewiątym wieku Przed Atomem, wcale nie lepszy niż któryś z pozostałych rezultatów. Jeśli mały grecki przyrostek wpadnie w takie kłopoty, będzie musiał sam się zatroszczyć o siebie najlepiej, jak umie. A ty lepiej naucz się lubić ten termin, gdyż jest on twoim nowym tytułem. Główny kudłaczolog, piętnaście procent podwyżki.

Na twarzy Mallina pojawił się jeden z jego sztucznych uśmieszków.

— Skoro tak, to chyba mogę ci darować lingwistyczne barbarzyństwo.

Grego miał wrażenie, choć brakowało mu pewności, że Diament chce wiedzieć, dlaczego ma tego nie dotykać, czy może się skaleczyć?

— A jak wyjaśnisz, że nie wolno mu sypać popiołu na podłogę, w jego własnym języku? — spytał Grego. — Jakie słowa są odpowiednikami „podłogi” i „popiołu”? — Pochylił się do przodu i zrzucił popiół z papierosa do popielniczki. — Popielniczka — powiedział.

Diament powtórzył to najlepiej jak umiał. Następnie podszedł do miejsca, gdzie siedział Mallin. Psycholog uważał palenie za objaw

dziecięcego oralizmu, jego popielniczka była pusta.

— *Po'pjel'niczka?* — zapytał. — *Diam'ent vov ninta?*

— Już rozumiesz. Wie, że słowo popielniczka oznacza klasę przedmiotów, a nie tylko konkretny obiekt. — A ja z takim trudem próbowałem dowieść, że one nie potrafią uogólniać. Ta jest pusta, sprawdźmy, jak można wyjaśnić różnicę. Jeśli podamy mu słowo „popiół”, a potem...

Rozległ się delikatny dźwięk dzwonka. Diament odwrócił się natychmiast, żeby zobaczyć, co to jest. Dzwonek prywatnego teleekranu, a tylko kilkoro ludzi znało kombinację wywoławczą. Grego wstał i włączył monitor. Wyjrzał z niego Harry Steefer.

— Znaleźliśmy, proszę pana, dziewiąty poziom. — O jeden niżej niż ten, gdzie po raz pierwszy zgłoszono kradzież i plądrowanie. — Kudłacze były zamknięte w małym pomieszczeniu, które wygląda na ogólną toaletę albo pralnię. Na prawo za głównym korytarzem. Poza tym ktoś wstawiał i wyprowadzał z niego kuter, a ostatnio tam lądował. Było tam chyba sześcioro Kudłaczy, przez dwa albo trzy dni.

— Dobrze. Muszę to zobaczyć. Niech Diament również się przyjrzy. Proszę mi przysłać na pomost kogoś obznajomionego z topografią gmachu, w jakiejś niedużej szalupie, abyśmy się zmieścili w labiryncie budynku.

Wyłączył ekran i obrócił się do Mallina.

— Słyszeliście. A więc chodźmy we trójkę na dół i rzućmy na to okiem.

Jack Holloway zatrzymał się u wylotu długich ruchomych schodów i spojrzął w dół na ogród, teraz rozjaśniony podwójnie: przez będącego niemal w pełni Dariusza i akurat wschodzącego Kserksesa, który pełnię miał już za sobą. Po chwili spostrzegł Bena Rainsforda siedzącego na krześle ogrodowym; trzymał na kolanach wtulonych w siebie Florę i Faunę. Zrobił kilka kroków na dół w ich stronę, myśląc, że zasnęli. Raptem jeden z Kudłaczy poruszył się i iknął, a Rainsford odwrócił głowę.

— Kto tam? — rzucił.

— Jack. Spędzacie tutaj cały wieczór?

— Tak, we troje — odparł Rainsford. — Chyba już pora, by Kudłacze poszły spać.

— Ben, mieliśmy właśnie łączność z budynkiem Kompanii. Znaleźli miejsce, gdzie trzymano tamte Kudłacze, pusty pokój na jednym z nieukończonych poziomów. Oprowadzili nas za pomocą ruchomej kamery: ciemna, brudna nora. Straże Kompanii szukają materialnego dowodu na potwierdzenie wersji Diamenta. Rozesłali wszędzie listy gończe za tymi dwoma badaczami Kompanii, Herckerdem i Novaesem. Porwanie i podejrzenie o uprowadzenie w niewolę.

— Kto do ciebie dzwonił? Steefer?

— Grego. Mówi, że możemy na niego liczyć we wszystkim. On naprawdę jest poruszony całą sprawą.

Kudłacze zeskoczyły na ziemię i starały się zwrócić uwagę Jacka. Ben obrócił się na krześle i zaczął napełniać fajkę.

— Jack... — Głos miał słaby, mówił z trudem. — Rozmawiałem z maluchami, tam na trawie, nim zasnęły. Świetnie się bawiły z Diamentem w budynku Kompanii. Twierdzą, że tęskni za innymi Kudłaczami. Chcą, żeby przyszedł do nich w odwiedzin, a potem one odwiedziłyby jego.

— No cóż, Kudłacz może się czuć osamotniony, żyjąc w pojedynkę. Kudłaczek nie ościagał się z przyprowadzeniem do mnie reszty swojej rodziny.

— Ponoć poza tym jest szczęśliwy. Opowiedziały mi o wszystkich ładnych rzeczach, jakie ma, o ogrodzie, o pokoju, który urządono dla niego. Wszyscy są dla niego dobrzy, a Papcio Vic go kocha. Tak mówią o Grego: Papcio Vic, podobnie jak nazywają nas, Papcio Ben i Papcio Jack. — Zapalniczka buchnęła ogniem, ukazując nad fajką zakłopotaną twarz. — Nie rozumiem tego, Jack. Myślałem, że on nienawidzi Kudłaczy.

— Niby dlaczego? One nic nie wiedzą o koncesji Kompanii, nie odróżniają planety IV klasy od samego diabła. On nie czuje nienawiści

nawet do nas, na naszym miejscu postępowaliby tak samo. Ben, Grego chce skończyć z wojną, dlaczego ty nie możesz?

Rainsford powoli wypuścił dym; snuł się i zmieniał odcienie w podwójnym świetle księżycowym.

— Naprawdę wierzysz, że ten Kudłacz chce zostać u Grego? — zapytał.

— Diamentowi pękłoby serce, gdybyś go zabrał od Papcia Vica. Ben, a może zaproś Diamenta do siebie, niech się pobawi z twoją parką. Nie będziesz musiał widzieć się z Grego, może go przyprowadzić ta dziewczyna, którą wynajął do opieki nad Diamentem.

— Może zaproszę. Jesteś z Grego na dobrej stopie, dlaczego sam tego nie zrobisz?

— Zrobię, już jutro.

Kudłaczom nie chodziło o zabawę, po prostu pragnęły, aby je zauważono.

Podniósł Florę i dał ją Benowi, a potem wziął Faunę na ręce. — Połóżmy je spać i wejdźmy do środka. Musimy załatwić dużo spraw i potrzebujemy twojego upoważnienia.

— Tak? Mianowicie?

— Ahmed zostaje tutaj, a Grego, Harry Steefer, Ian Ferguson i kilka innych osób mają jutro konferencję w tej sprawie oraz w sprawie ogólnej ochrony Kudłaczy. Ja zakładam biuro adopcyjne, żona sędziego Pendarvisa zgodziła się tym pokierować. Potrzebne nam są przepisy prawne, a zanim pojawi się jakaś władza ustawodawcza, będziesz musiał je sam zadekretować.

— No, dobrze. Ale jest jedna rzecz, Jack. To, że Grego jest z nami w tej sprawie, nie znaczy, że pozwolę mu z powrotem zagarnąć władzę nad tą planetą, rządzić nią w takim samym stylu jak przed Decyzjami Pendarvisa. Potrzebne były Kudłacze, żeby złamać monopol Kompanii. No cóż, zamierzam dopilnować, aby pozostał on złamany.

10.

Wiedząc o roli, jaką odegrał Henry Stenson w pozbawieniu koncesji Kompanii Zaratustra, Pancho Ybarra był lekko zaskoczony jego widokiem, kiedy Ernst Mallin, którego spotkał na platformie lądowniczej, wprowadził go do siedziby Kudłacza urządzonej na nowo przez Victora Grego na tyłach kuchenki w jego apartamencie. Zastał tu ponadto niańkę, Sandrę Glenn, a nawet Grego, choć był sam środek dnia pracy, oraz rzecz jasna Diamenta.

— O, pan Henry Stenson — rzekł swobodnie — bardzo mi przyjemnie. Stenson roześmiał się.

— Nie musimy udawać dalekiej znajomości, poruczniku — powiedział. — Pan Grego doskonale zna moją, że tak się wyrażę, drugą profesję. Nie ma do mnie żalu, domaga się tylko, abym nie praktykował jej na nim.

— Pan Stenson przyniósł coś, co pana zainteresuje — oznajmił Grego, wyjmując jakieś urządzenie przypominające małą maszynkę do golenia o napędzie elektryczno-nuklearnym. — Proszę wyłączyć swój aparat słuchowy, poruczniku. Dziękuję. A teraz, Diament, zrobić mowa z Wujko Panko.

— *Cieś, Ujko Panko* — powiedział Diament bardzo czysto i wyraźnie, kiedy Grego przyłożył mu mikrofon do ust. — Ty słyszeć, Diament robić mowa jak Hadźdża?

— No pewnie, Diamencie! To wspaniale.

— Jak zrobić to działać? — spytał Diament. — Zrobić mowa do „mówić rzecz”, mówić jak Hadźdża. Nie mieć „mówić rzecz”, nie umieć mówić jak Kudłacz, Hadźdża nie słyszeć. Jak to działać?

Słuch Kudłaczy obejmował całe pasmo dźwięków słyszalnych dla człowieka, bo inaczej rasa nie miałaby szans na przetrwanie wśród niebezpieczeństw lasu. Ponadto sięgał wyżej, do około czterdziestu tysięcy

kiloherców. Żaden z pozostałych zaratustrańskich ssaków nie miał takiego słuchu. Wspierało to teorię Gerda van Riebeeka, że Kudłacze stanowią żywą skamielinę, jedyną pozostałość dużej i poza tym wymarłej rodziny zaratustrańskich quasi-naczelnych. Gerd uważał, że zdolność słyszenia ultradźwięków rozwinęły po to, aby stawić czoło niektórym zagrożeniom życia na długo przed uzyskaniem zdolności głosowego symbolizowania myśli i że stale porozumiewają się ultradźwiękami, aby nie zdradzić się przed wrogami.

— Kudłacze słyszeć Duzi mówić. Kudłacze małe, Hadźdza duże, robić dużo mowa. Hadźdza nie słyszeć Kudłacz mówić, Kudłacze mało-mało mówić. I Duzi zrobić „rzecz do uszy”, zrobić Kudłacz mówić dużo w uszy, móc słyszeć. I Hadźdza zrobić „rzecz do mówić” i Kudłacze robić dużo mówić jak Hadźdza, każdy słyszeć, mieć „rzecz do uszy”, nie mieć „rzecz do uszy”.

Nie o to mu chodziło. Diament samodzielnie dotarł już tak daleko. Pytanie, które powtórzył, brzmiało:

— Jak zrobić to działać?

Grego uśmiechnął się do Ybarry.

— Świetnie panu idzie, poruczniku. No, niech pan wali, niech pan zrobi małemu wykład o ultradźwiękach, elektronice i akustyce.

— Czy pański czołowy kudłaczolog poczynił już coś w tym zakresie?

— Nawet nie próbowałem — odpowiedział Mallin. — Pan zna ich mowę o wiele lepiej niż ja. Jakie słowa z tego języka można wykorzystać do wyjaśnienia podobnych zjawisk?

Słusznie. Każda rasa — *Homo sapiens terra* czy *Kudłacz kudłacz holloway Zaratustra* — myśli tylko w takim stopniu, w jakim pozwala jej na to rozwój głosowej symboliki, i ani trochę więcej. Mogą pojąć tylko te idee, dla których mają słowa.

— Powiedźcie mu po prostu, że to terrańska czarna magia — zaproponowała Sandra Glenn.

To mogło podzielać na takich planetach jak Loki, Thor czy Ygdrasil. Na Sheshy bądź Ullerze przydałoby się też wspomnieć o tajemniczych sposobach bogów. Kudłacz ma tyle pojęcia o magii i religii co o elektronice, nukleonice bądź o napędzie skokowym Abbota.

Pochylił się do przodu i wyciągnął rękę.

— *So-dzos 'so-aki*, Diamencie. *So-pokko* Wujko Panko.

Kudłacz podał mu przedmiot, który trzymał w obu rączkach. Podobieństwo do elektrycznej golarce nie było przypadkowe. Mechanizm był zamknięty w plastikowej obudowie. Strona, na którą w golarce wychodziło ostrze, była otwarta i Kudłacz mówił do niej. Tam, skąd wydobywał się przekształcony dźwięk, widać było okrągły, ekranowany otwór. Nawet wyłącznik przesuwany kciukiem był identyczny jak w golarce.

— Jest też oryginalny zasilacz — oznajmił Stenson. Była to mała kapsułka wielkości krótkiego naboju do pistoletu kalibru 6 mm. — Urządzenie ma sporo przerobionych części od aparatu słuchowego na ultradźwięki. Będę musiał zrobić również lepszy włącznik. Jakąś rękojeść, może podobną do kolby pistoletu, z włącznikiem uściskowym, aby Kudłacz mógł go uruchomić, biorąc do ręki, i wyłączyć, kiedy odkłada. Poza tym musi być dużo lżejszy i mniejszy. — Pokazał na kartki papieru, pokreślone diagramami, schematami i notatkami. — Kilku moich ludzi w warsztacie już nad tym pracuje. Za jakiś tydzień będziemy mieli prototyp. Fabryka Kompanii rozpocznie produkcję, gdy tylko przygotuje oprzyrządowanie.

— Dostaniemy patent — powiedział Grego. — Nazywamy to kudłaczofonem Stensona.

— Grego-Stensona, to był pański oryginalny pomysł.

— Do diabła, ja tylko panu powiedziałem, czego chcę. To pański wynalazek — dowodził Grego. — Po wyeliminowaniu usterek ruszamy z produkcją. Nie wiemy, ile będziemy musieli za to żądać. Chyba nie więcej niż dwadzieścia soli.

Flora i Fauna były zaintrygowane. Siedziały na podłodze u stóp Papcia Bena i patrzyły w górę na śmiesznych ludzi, którzy przychodzili i odchodzili z rzeczy-obrazu na ścianie i mówili z niego. Już dawno odkryły, że nikt nie może stamtąd wyjść i że same nie mogą się tam dostać. To była jedna z dziwnych rzeczy, jakie mieli Duzi, i choć nie mogły jej rozszyfrować, przynosiła im radość.

Lecz raptem, niespodzianie, na monitorze pojawił się Papcio Ben. Rozejrzały się wokół siebie przerażone, myśląc, że je zostawił, ale nie, był na miejscu, siedział spokojnie w fotelu i palił fajkę. Dotknęły go wszystkie razem, aby się upewnić, po czym wdrapały mu się na kolana i pokazały na Papcia Bena na ekranie.

Flora i Fauna nie wiedziały nic o rejestracji audiowizualnej, nie mogły pojąć, jak Papcio Ben może być w dwóch miejscach naraz. Czuły niepokój. To po prostu nie mogło być realne.

— Wszystko w porządku, maleństwa — zapewnił je. — Jestem tutaj naprawdę. Tamten to nie ja.

— Ty — zaprzeczyła Flora. — Widzieć.

— Nie — oznajmił Fauna. — Papcio Ben tutaj.

Może Pancho Ybarra albo Ruth van Riebeek umieliby to wyjaśnić; on nie potrafił.

— Oczywiście, że jestem tutaj — powiedział, tuląc jedno i drugie do siebie. — Tamten być tylko podobny, nieprawdziwy.

— Łapanie Kudłaczy w ich naturalnym środowisku w jakikolwiek sposób — mówił Papcio Ben na ekranie — będzie nielegalne. Tak jak używanie środków oszłamiających, narkotyków, gazu usypiającego, ogłuszaczy i pułapek. Będzie to uważane za porwanie. Nielegalne będzie trzymanie Kudłacza na smyczy, wiązanie czy jakiegokolwiek inne krępowanie fizyczne. Nielegalny będzie ich transport z kontynentu Beta na jakąkolwiek inną część planety bez zgody Komitetu do spraw Autochtonów, każda zgoda będzie zaopatrzona w odciski palców Kudłacza, dla którego została

wydana. Nielegalne będzie świadome dostarczanie Kudłacza komuś, kto chce go w powyższy sposób transportować. To również będzie traktowane jako porwanie i ścigane z mocy prawa.

Papcio Ben na ekranie podnosił groźnie głos. Flora i Fauna obejrzały się prędko, aby sprawdzić, czy prawdziwy Papcio Ben też się o coś gniewa. Flora powiedziała:

— Robić mowa o Kudłacz.

— Tak. Mówić, co Duzi zrobić źli Duzi, którzy skrzywdzić Kudłacze — odpowiedział jej.

— Robić zabity, jak zły Duży, który zrobić Złotowłosa zabita? — zapytał Fauna.

— Coś w tym rodzaju.

Tak wyobrażały sobie przebieg wydarzeń Kudłacze, które przebywały na sali sądowej w czasie procesu. Samobójstwo pod wpływem zaćmienia umysłu z powodu wyrzutów sumienia było trochę za trudne do wyjaśnienia Kudłaczowi, przynajmniej na razie.

Żaden Kudłacz świadomy tragedii Złotowłosej nie uważał, że spotkał ją gorszy los niż złego Dużego, który na to zasłużył.

Kapitan Ahmed Khadra, szef detektywów Sił Zbrojnych Federacji Terrańskiej, i pułkownik Ian Ferguson, komendant zmilitaryzowanych oddziałów policji kolonialnej, słuchali w biurze szeryfa kolonialnego transmisji telewizyjnej wspólnie z Maxem Fane'em, szeryfem. Gubernator Rainsford kontynuował przemówienie:

— I każda osoba chwytająca, nielegalnie transportująca lub nielegalnie przetrzymująca Kudłacza w celach handlowych będzie winna uprowadzenia w niewolę.

— Ach! — Max Fane przystawił sobie palec wskazujący do podstawy czaszki, wyprostował kciuk i cmoknął głośno. — Kara śmierci bez wyroku.

— Yves Janiver będzie prowadzić wszystkie sprawy dotyczące Kudłaczy — powiedział Ferguson. — Nie będą mu się podobać ludzie, którzy je

krzywdzą.

— Znam jego stosunek do kary śmierci — podjął Fane. — Nie uważa, że ludzi powinno się rozstrzeliwać za popełnione zbrodnie, jego zdaniem oni zasługują na kulę już za to, że należą do ludzi, którzy je popełniają. Uważa, że strzelanie do przestępców równa się odstrzeliwaniu chorych trawożerów. Posunięcie sanitarne. Ja też tak uważam.

— Jeśli Herckerd i Novaes mają choć trochę oleju w głowie, to już teraz powinni się zgłosić i oddać w ręce policji — powiedział Ferguson. — Myślicie, że nadal mają pięcioro tamtych Kudłaczy?

Khadra pokręcił przecząco głową.

— Na pewno sprzedali je w Mallorysport zaraz po wyniesieniu z budynku Kompanii. Gdyby nam się udało stwierdzić, komu...

— Mógłbym wymienić kilkanaście nazwisk — oznajmił Max Fane. — I za każdym z nich kryje się Hugo Ingermann.

— Szkoda, że nie można zawlec go na krzesło i poddać prawdometrii — martwił się Ferguson.

— No cóż, nie można. Ingermann jest adwokatem, a jedyny sposób na przesłuchanie adwokata pod prawdomierzem to złapać go nad trupem z zakrwawionym nożem w ręku. I nawet wówczas namęczysz się jak wszyscy diabli.

— Dużo ludzi chce mieć Kudłacze, wiemy o tym — ciągnął gubernator. — Wielu z nich zasługuje, aby je otrzymać. Ci ludzie dadzą im szczęście i sami będą dzięki nim szczęśliwi. Nie zamierzamy odbierać takim osobom szans na adopcję uroczych, małych istot. Powstało już biuro adopcyjne, na jego czele stanie pani Claudette Pendarvis, małżonka najwyższego sędziego. Pomieszczenia biurowe znajdują się w budynku sądów centralnych i będą otwarte od jutra rana...

— Och, mamusiu, tatusiu! — wykrzyknęła mała dziewczynka. — Słyszycie? Gubernator mówi, że ludzie mogą je mieć na własność. Dajcie

mi Kudłacza! Będę tak samo dobra dla... niego, to znaczy, dla niego albo dla niej, wszystko mi jedno.

Rodzice popatrzyli na siebie, a potem na swoją dwunastoletnią córeczkę.

— Jak myślisz, Bob?

— To wymaga dużej troski, Marjory, czeka cię mnóstwo pracy. Będziesz musiała karmić, kapać oraz...

— Och, będę! Będę robiła wszystko, abym tylko mogła go dostać! A ludziom nie wolno wyrażać się o nich *to*, tatusiu, Kudłacze też są ludźmi, takimi samymi jak my. Nie mówiłeś o mnie *to*, kiedy byłam małym dzieckiem, prawda?

— Niestety, twój tata tak mówił, moja droga. Ale niezbyt długo. I będziesz musiała ćwiczyć i uczyć się ich języka, byś mogła rozmawiać z Kudłaczem, bo Kudłacze nie znają lingua terra. Wiesz, Bob, myślę, że ja też chciałabym mieć Kudłacza w domu.

— Przyznam ci się, że ja chyba również. No dobrze, zgłośmy się do tego biura adopcyjnego jutro z samego rana...

11.

W domu Pendarvisów odbywało się przyjęcie. Jack Holloway siedział w kucki na podłodze, palił fajkę i pełnił rolę tłumacza, a sędzia i jego żona — on w niskim fotelu, ona na wyściełanym taborecie w kształcie bębna — zaznajamiali się z honorowymi gośćmi, parką Kudłaczy, którą tego wieczora przyprowadził ze sobą z kontynentu Beta Juan Jimenez. Gus Brannhard, który także przybył z budynku rządu, siedział rozparty w jednym z większych foteli i chichotał w gąszczu swej brody. Juan Jimenez i Ahmed Khadra zdjęli aparaty słuchowe i przeszli z drinkami na drugi koniec pokoju, gdzie rozpoczęli rozmowę z dwoma funkcjonariuszami George'a Lunta o wizycie Jimeneza na terenie jego starego obozowiska.

— Wrócili po naszym wyjeździe — powiedział Jimenez. — Widzieliśmy miejsce, gdzie wylądowali kutrem. Nie było wiele do oglądania, wszystko starannie wysprzątało, drugi raz. Nie zostawili nawet kawałka śmiecia.

— Ani żadnego dowodu — uzupełnił Khadra.

— To samo stwierdzili Yorimitsu i Calderon, kiedy to zobaczyli. Dochodzę do wniosku, że zaczynają patrzeć krzywym okiem na ład i porządek.

— Tak, na terenach, gdzie prowadzą dochodzenie. Dokładne wysprzątanie miejsca zbrodni ocaliło więcej przestępców niż ogół nieuczciwych adwokatów w Galaktyce. W tym wypadku to nie ma znaczenia. To Herckerd i Novaes przywieźli Kudłacze, wiemy o tym na pewno. Mamy świadka.

— Czy Kudłacza można poddać prawdometrii? — rzucił przez ramię Brannhard.—Jeśli nie, obrona zgłasza sprzeciw.

Pendarvis podniósł wzrok i obejrzał się.

— Mecenasiu Brannhard, będę musiał niestety podtrzymać sprzeciw. Myślę że sędzia Janiver, który poprowadzi rozprawę, również tak uczyni. Na pańskim miejscu sprawdziłbym to. Czy kiedykolwiek poddawano cię prawdometrii? — zapytał Kudłacza na swoich kolanach.

Kudłacz — męski przedstawiciel pary gości, starający się otworzyć zamek błyskawiczny przy marynarce gospodarza — odparł:

— Hmm? — Sędzia podrapał go za uchem, co Kudłacz lubił tak samo jak większość futerkowych istot rozumnych, pytając Jacka, ile czasu potrzeba na opanowanie ich mowy.

— Niedużo — uspokoił go. — Opanowanie całego języka, czego dokonali wojskowi na Kserksesie, zajęło mi jeden dzień; zanim wyruszyliśmy do domu, po procesie, mogłem już z nimi swobodnie rozmawiać. Jakie imiona nadacie im państwo?

— To one nie mają własnych imion, panie Holloway? — zapytała żona sędziego.

— Chyba nie. W lesie liczebność rodziny nie przekracza sześciu do ośmiu osobników, jeśli są to w ogóle rodziny. Sądzę, że oryginalne imiona ograniczają do ja i ty, ten i tamten.

— Musicie państwo podać ich imiona przy składaniu dokumentów — powiedział Brannhard.

— W obozie mówiliśmy na nie po prostu Nowożeńcy — stwierdził Khadra.

— A może Pierrot i Kolombina? — spytała pani Pendarvis.

Mąż skinął głową.

— Świetnie, moim zdaniem. — Pokazał na siebie. — *Aki Pa-psio Frederic. So Pierrot.*

— *Aki Pje'hot? Pje'hot sidźdzo Pa-psio Fe'de'ik.*

— Zgadza się na imię. Mówi, że pana lubi. Co pani robi z nimi jutro, pani Pendants? Czy macie państwo jakąś służbę?

— Nie, wszystkim zajmują się roboty, a nie powinnam ich chyba zostawiać samych z robotami. Dopóki się nie przyzwyczają.

— Proszę je podrzucić do budynku rządu, mogą się pobawić z Florą i Fauną — zaproponował Brannhard. — A ja zadzwonię do Victora Grego i zaproszę Diamenta, będą miały prawdziwe przyjęcie. Pierwsze spotkanie towarzyskie Kudłaczy w tym sezonie.

Rozległ się łagodny dźwięk dzwonka. Sędzia postawił Pierrota na podłodze i przeprosił na moment. Pierrot poszedł truchtem za nim. Po chwili obaj wrócili.

— Na ekranie jest komendant Earlie — oznajmił sędzia. — Chce rozmawiać z kapitanem Khadrą albo z panem Hollowayem.

Earlie był nowym szefem policji miejskiej w Mallorysport. Jack kiwnął głową do Khadry i kapitan wyszedł.

— Pewnie coś znaleźli w sprawie Herckerda i Novaesa — domyślił się Brannhard.

— Czy oskarży ich pan o uprowadzenie w niewolę? — zaciekawiała się pani Pendarvis. — Za to jest nieodwołalna kara śmierci.

— Łapie się istoty ludzkie, pozbawia wolności, czyni z nich własność prywatną — odpowiedział Brannhard. — Jak inaczej można to nazwać? Pozbawione wolności stworzenie domowe to też niewolnik, jeśli stanie się cudzą własnością. Nie wiem, jaką pracę mógłby wykonywać Kudłacz...

— Artysty rozrywkowego w nocnych klubach, atrakcji w barach, klauna zabawiającego widownię przed koncertem...

Wrócił Khadra. Miał na głowie beret i zapinał pas z pistoletem.

— Earlie donosi, że widziano jakiegoś Kudłacza w jednostce mieszkalnej w północnej dzielnicy — oznajmił. — Informator twierdzi, że Kudłacza trzyma rodzina na jednym z górnych pięter. Earlie wysłała tam swoich ludzi.

To mogło być któreś z pięciorga przywiezionych przez Herckerda i Novaesa. Kapitan rozumiał, co się stało. Dwóch byłych pracowników

Kompanii sprzedało Kudłacze w Mallorysport jakiemuś paserowi, który z kolei odprzedawał je pojedynczo. Ktoś w mieście naprawdę prosił się o pluton egzekucyjny. Ale zanim do tego dojdzie, Herckerd i Novaes będą już z powrotem na kontynencie Beta, łapiąc w sidła nowe ofiary. Trzeba tych ludzi poddać prawdometrii — policja zna dużo metod rozplątywania ludzkich języków — a potem iść po nitce do kłębka.

— Pójdę sprawdzić, o co chodzi — ciągnął. — Zgłoszę się, jak tylko będę mógł. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Gdybym miał już nie wrócić, dziękuję za miłe przyjęcie. Panie sędzio, pani Pendarvis...

Wyszedł w pośpiechu i przez chwilę panowała kompletna cisza. Raptem Jimenez stwierdził, że jeśli mają do czynienia z jedną z melin Herckerda i Novaesa, to Diament powinien jak najszybciej ją zobaczyć, może ją zidentyfikuje. Kto wie, czy Khadra nie pomyślał o tym samym. Pani Pendarvis miała nadzieję, że obędzie się bez strzelaniny. Policja miejska w Mallorysport była znana ze skłonności do pociągania za spust. Dyskusja toczyła się falami, Kudłacze wydawały się jedynymi biesiadnikami, których to nie interesowało.

Mniej więcej po godzinie Khadra wrócił, pas i beret zostawił na wieszaku w holu.

— No i co? — zapytał Brannhard. Jack chciał wiedzieć, czy Kudłaczowi nic się nie stało.

— To nie był Kudłacz — odparł rozgoryczony kapitan. — Tylko terrańska małpka. Żyje u tych ludzi już od paru lat, przywieźli ją z Terry. Po wprowadzeniu się do mieszkania rozpięli siatkę drucianą wzdłuż tarasu, żeby nie uciekła. Zobaczył ją ktoś z przelatującej szalupy i sądził, że to Kudłacz. Ciekawe, ile tego rodzaju informacji jeszcze dostaniemy.

Zastanawiające, że Jack jej nie dostał, kiedy zaginęła jego futrzasta rodzinka i wszędzie jej szukał.

12.

Nazajutrz ruch powietrzny dookoła budynku sądów centralnych wydawał się Jackowi Hollowayowi normalny. Kiedy dotarł na miejsce, na platformie lądowniczej nad szóstym poziomem stało sporo kutrów, ale z tego, co pamiętał, nie więcej niż w czasie procesu o Kudłacze. Dopiero gdy opuścił ruchome schody na czwartym piętrze, gdzie znajdowały się pokoje biura adopcyjnego, zaczął podejrzewać, że rozpoczęła się gorączka Kudłaczy.

Korytarz, prowadzący z głównego holu do zajętych od wczoraj pokoi, był zakorkowany. To był uprzejmy, dobrze ubrany tłum ludzi, głównie par trzymających się razem, aby nie dać się rozdzielić. Wszyscy sprawiali wrażenie szczęśliwych i przejętych, najbardziej przypominali tłum na zakupach z okazji Święta Zakończenia Roku.

Zobaczył go umundurowany zastępca szeryfa. Muskając daszek czapki, oddał byle jak honor i podszedł do Jacka.

— Komisarzu Holloway, chciałby się pan dostać do swego gabinetu? Proszę za mną, po drugiej stronie stoi kolejka czekających, która ciągnie się aż na dół.

Na pewno przyszło pięćset lub sześćset osób. Podzielić przez dwa: większość stanowią pary małżeńskie.

— Jak długo to już trwa? — spytał, widząc, że podąża za nimi kilka nowych par i pojedynczych ludzi.

— Mniej więcej od siódmej. Już wcześniej zawitało kilka małżeństw, wielkie tłumy zaczęły się zgłaszać dopiero po ósmej trzydzieści.

Grupa ludzi przy końcu zatoru spostrzegła i rozpoznała Hollowaya.

— Holloway. Jack Holloway, to ten komisarz. Panie Holloway, czy Kudłacze są już tutaj?

Zastępca szeryfa poprowadził go w głąb holu i odryglował zamek u drzwi do jakiegoś biura. Było puste, a biurka, krzesła i sprzęty osłonięto pokrowcami od kurzu. Przecięli gabinet i wyszli na tylny korytarz, gdzie drugi wiceszeryf dyskutował z grupą ludzi usiłujących wejść do środka tą drogą.

— No, a dlaczego ten pan może wejść, kim on jest? — zaprotestowała kobieta.

— Ten pan tutaj pracuje. To Jack Holloway.

— Och! Pan Holloway! Czy może pan nam powiedzieć, kiedy dostaniemy Kudłacze?

Przewodnik Jacka kazał mu szybciej maszerować przez korytarz — jakby Jack był jego aresztantem — po czym otworzył następne drzwi.

— Tutaj, komisarzu, jest gabinet pani Pendarvis. Muszę wracać, aby utrzymać porządek w tłumie przed biurem. — Dotknął brzegu czapki i odszedł pośpiesznie.

Pani Pendarvis siedziała za biurkiem zwrócona plecami do drzwi, przeglądając stos formularzy przed sobą. Obok, przy mniejszym biurku, jakaś dziewczyna odbierała je od niej i mówiła do ustnika wokografu. Za trzecim biurkiem siedziały dwie następne dziewczyny, jedna rozmawiała przez teleekran.

Pani Pendarvis zapytała:

— Kto to? — i odwróciła głowę, po czym wstała i wyciągnęła rękę. — O, pan Holloway. Dzień dobry panu. Jaka jest sytuacja na korytarzu?

— No cóż, sama pani widzi, któredy musiałem się tu dostać. Myślę, że zgłosiło się około pięciuset osób. Jak pani sobie z nimi radzi?

Pokazała na drzwi do sekretariatu. Jack odemknął je i zajrzał do środka. Przy pięciu biurkach siedziało pięć dziewcząt, wszystkie przeprowadzały wywiady z petentami. Inna dziewczyna odbierała formularze i zanosila je do biurka, gdzie były sortowane i przekazywane do głównego gabinetu.

— Przyszłam o ósmej trzydzieści — powiedziała pani Pendarvis. — Zaraz po tym, jak podrzuciłam Pierrota i Kolombinę do budynku rządu. Tłum już się kłębił, zresztą ciągle się powiększa. Ile ma pan Kudłaczy, panie Holloway?

— Nadających się do adopcji? Sam nie wiem. Oprócz moich, Gerda i Ruth van Riebeeków oraz policyjnych, dwa dni temu było ich czterdzieścioro. Wczoraj wieczorem już sto trzy.

— Mamy na razie trzysta jedenaście wniosków, jest już chyba dwadzieścia kolejnych, ale jeszcze mi ich nie przekazano. Nim skończymy, będzie pięćset albo sześćset. Jak sobie z tym poradzimy? Część ludzi chce tylko jednego Kudłacza, niektórzy proszą o dwoje, inni wezmą całą rodzinę. A nie możemy rozdzielać tych, które chcą pozostać razem. Gdyby rozdzielić Pierrota i Kolombinę, zamartwiłyby się na śmierć. A są rodziny złożone z pięciu lub sześciu osobników, które chcą zostać ze sobą, czyż nie?

— No cóż, nie na zawsze. Te grupki nie są prawdziwymi rodzinami, tylko czymś w rodzaju krótkotrwałych zespołów wzajemnej pomocy. Pięcioro lub sześcioro to optymalna liczebność grupy, która może żyć razem w lesie. Są myśliwymi i zbieraczami, jak w gospodarce dolnego paleolitu, poza tym polują na pojedyncze, drobne zwierzęta. Kiedy grupa rozrośnie się ponad miarę, rozdzielają się. Kiedy jedna para spotka inną, łączą się, aby wspólnie zapolować. Dlatego mają bardzo dobrze rozwinięty i jednolity język. Myślę, że dzięki temu w krainie Kudłaczy tak szybko rozeszły się wieści o *zatkanu*. One nawet nie łączą się w stałe pary. Pierrot i Kolombina to po prostu młodzież, pierwsza próba życia we dwoje. Uważają się nawzajem za najwspanialsze na świecie. Ale faktycznie można znaleźć grupy, które nie będą chciały się rozstać. Należy im umożliwić, by zostały zaadoptowane razem. — Zastanowił się przez chwilę. — Nie może pani wydawać Kudłaczy jak leci. Może urządzić losowanie? Każde podanie nosi numer, tak? Ciągnijcie losy.

— Niczym na loterii, no oczywiście. Niech się tym zajmie komisja loteryjna — odparła żona najwyższego sędziego.

— Dość uczciwe. Będzie pani musiała sprawdzić każde podanie, rzecz jasna. To zajmie trochę czasu, prawda?

— Tak, kieruje tym kapitan Khadra. Wypożyczył parę osób ze szkół, kilka z policyjnego oddziału dla nieletnich i kilka z biura personalnego Kompanii. W taki sam sposób kompletuję swój zespół — kilka osób z grup „nauczyciele i rodzice”, kilka ze Społecznej Opieki nad Młodzieżą. Ekipę zawodową skompletuję najszybciej, jak zdołam. Myślę, że wezmę ich ze służby socjalnej w Kompanii. Podobno za dziewięćdziesiąt dni pan Grego chce zawiesić jej działalność.

— To prawda. Obejmuje ona też szkoły i lecznice. Radzę porozmawiać z Ernstem Mallinem. Znajdzie dla pani wszystkich ludzi, jakich pani chce. On też przyłączył się już do Przyjaciół Kudłaczka.

— Hmm, jeśli już przydzielimy Kudłacze wszystkim chętnym, to co dalej? Mają lecieć do waszego obozu, by je odebrać?

— Mój Boże, nie! Mamy za dużo kłopotów, aby jeszcze pozwolić na pustoszenie obozu tłumom ludzi. — Dopiero teraz o tym pomyślał. — Musimy znaleźć jakieś miejsce tutaj, w Mallorysport, gdzie mogłoby czekać kilkaset Kudłaczy i gdzie mogliby przybywać wylosowani i zaakceptowani opiekunowie, aby wybrać te, które im się podobają. Musi to być miejsce rozległe, otoczone parkiem i ogrodzone, aby Kudłacze nie mogły się oddalać i zabłądzić. Ładne, gdzie mogłyby się wspólnie bawić.

Jack nie znał żadnego takiego miejsca i zagadnął ją o to.

— Porozmawiam z panem Urswickiem, to szef służby socjalnej w Kompanii. Będzie wiedział o wszystkim. Wie pan, panie Holloway, kiedy podejmowałam się tego zadania, nie przypuszczałam, że okaże się takie skomplikowane.

— Pani Pendarvis, powtarzam to sobie co chwila, odkąd pozwoliłem Benowi Rainsfordowi namówić się na objęcie stanowiska Komisarza do

spraw Autochtonów. Powinna pani także zająć się informacją — zasady opieki nad Kudłaczami, ich żywienie, psychologia, język. Może uda nam się znaleźć kogoś do przygotowania broszur i kaset do nauki języka. Oraz aparaty słuchowe.

Na drzwiach w ścianie pokoju widniał napis BIURO DOCHODZENIOWE. Ahmed Khadra znajdował się w pomieszczeniu w głębi i rozmawiał przez teleekran z mężczyzną w mundurze policji miejskiej.

— No więc, czy zdołał pan wyciągnąć cokolwiek od któregoś z nich? — pytał.

— Prawie nic, u diabła — odparł funkcjonariusz. — Zgarniamy ich od rana, wszystkich notowanych, jacy przebywają w mieście. A Hugo Ingermann wyciąga ich stąd w tym samym tempie, w jakim ich przywozimy. Przesłał dwóch swoich ludzi, reportera i asystenta, wyposażonych w przenośne nadajniki, i gdy tylko przywieziemy jakiegoś drania, łączą się z kimś w centralnych sądach i załatwiają mu nakaz zwolnienia — brak podstaw do podejrzeń. Większości nie zdążymy nawet przesłuchać. Mija godzina albo dwie, nim uda nam się poddać prawdometrii tych, których możemy. A wówczas okazuje się, że żaden nie ma o niczym zielonego pojęcia.

— No, a co z ich znajomymi z pracy? Mają chyba znajomych?

— Mają. Pracowników Kompanii, personel na średnim szczeblu uposażenia. Nie odmawiają współpracy, ale nic nie wiedzą.

Rozmowa ciągnęła się kilka minut, po czym zaciemnili ekrany. Khadra obrócił się na krześle i zapalił papierosa.

— Słyszałeś, Jack — powiedział. — Po prostu rozpłynęli się, a Kudłacze wraz z nimi. Dlatego nie możemy nic wyciągnąć od ich kumpli z pracy. Mogą faktycznie nie wiedzieć. Sprawdziliśmy ich pokoje; chyba ogołocili je ze wszystkiego przed zniknięciem. Nie możemy nic wyciągnąć także od

naszych informatorów w podziemiu. Nic nie wie żaden kapuś policji miejskiej.

— Przyznam ci się, Ahmedzie, że to mnie martwi. Ciekawe, co się stało z tymi Kudłaczami... — Usiadł na krawędzi biurka, wyjmując fajkę i tytoń. — Kiedy będziecie mogli zająć się sprawdzaniem ludzi, którzy złożyli wnioski o Kudłacze?

Gerd van Riebeek dolał kawy do kubka i przesunął dzbanek na drugi koniec stołu, gdzie siedział George Lunt. Powinien wracać do pracy, obaj powinni to zrobić. Zaczynały rosnać zaległości, nie było Jacka ani Pancho, a Ahmeda Khadrę oderwano na stałe od pracy w obozie.

— Osiemdziesiąt siedem — powiedział Lunt. — Nie licząc twoich, moich i Jacka.

— Kurczą się zapasy Pezetera Trzy. — Musieli zacząć go racjonować, jutro nie będą mogli wydać ani jednej porcji, a potem tylko co drugi dzień. Kudłaczom to się nie spodoba. — Jack twierdzi, że chyba wykupują go spekulanci i nie puszczają na rynek. Dostaną za niego dużo więcej, kiedy Kudłacze pojawią się w Mallorysport.

Na Zaratustrze nie było dużych zapasów Pezetera Trzy. Ludzie trzymali puszkę lub dwie w szalupie na wypadek przymusowego lądowania na pustkowiu stanowiącym dziewięćdziesiąt procent powierzchni planety, a zanim odkryły go Kudłacze, spożycie wynosiło praktycznie zero. Było go sporo na Kserksesie dla statków pogotowia, indywidualnych pakietów ratunkowych i tak dalej, ale nie wystarczy na długo. Złożyli zamówienie, miną jednak cztery miesiące, nim dostaną cokolwiek z najbliższej planety federacyjnej. A bieżące zapasy wyczerpią się o wiele wcześniej.

— Co do mnie, wolałbym, żeby ich było osiemdziesiąt siedem razy po sto — odrzekł Lunt. — Nie, wcale nie zwariowałem, mówię serio. Kudłacze z naszego obszaru nie urządzą diablích psot na terenach rolniczych. Nie słyszałem dotychczas, żeby którekolwiek dotarły aż tak daleko, poza jedną rodziną, która wprowadziła się do tej odludnej farmy i

jakoś sobie radzi. Ale poczekaj, aż wyjdą na prawdziwe tereny rolnicze i plantacje cukrowe. Wiesz, początkowo myśleliśmy z Jackiem, że naszym wielkim zadaniem jest ochrona Kudłaczy przed ludźmi. Mam teraz wrażenie, że może być także odwrotnie.

— To prawda. One nie zamierzają wyrządzać szkód. Jedyne złośliwy czyn Kudłaczy, jaki znam, to obrócenie w perzynę gabinetu Juana Jimeneza przez rodzinę Jacka po ich ucieczce z klatek, do których je Juan zamknął — i nie mam o to do nich pretensji. Nie rozumieją po prostu, czego nie wolno im robić wśród ludzi. Zapewne nie rozumieją w ogóle pojęcia własności pod nieobecność dającego się zauważyć właściciela.

— Do tego właśnie zmierzam. Nie będą rozumiały, że ktoś wysiał zbiory i je uprawia, pomyślą, że samo wyrosło. Na ogół farmerzy najpierw strzelają, a dopiero potem dyskutują w obronie swoich plonów.

— Edukacja — odparł Gerd.

— Przepis na pieczeń z indyka: najpierw należy go złapać — powiedział Lunt. — Edukujemy na razie tę gromadkę. Jak, u licha, złapać pozostałe?

— Dzięki edukacji farmerów. Co Kudłacze jedzą poza Pezeterem Trzy?

— Zatku, oczyściły z nich całą okolicę naokoło obozu. Dlatego też musimy trzymać stale jeden kuter w pogotowiu w promieniu kilku kilometrów do odpędzania harpii.

— Czy znasz jakikolwiek rodzaj upraw, których nie niszczą krewetki? Przez pewien czas prowadziłem studia nad nimi. Ja nie znam. Właśnie to mam na myśli, kiedy mówię o edukowaniu farmerów. Kudłacz czyni szkody rolnicze, ale zabija kilka krewetek dziennie, a te robią dziesięć razy więcej szkód.

— Napisz notatkę na ten temat, damy to na antenę dziś wieczorem. „Bądź dobry dla Kudłaczy, Kudłacze to najlepsi przyjaciele farmera”. Może to pomoże.

Gerd skinął głową.

— Osiemdziesiąt siedem, tyle mamy obecnie. Ile młodych?

— Poza Dzidziusiem? Czwooro. Czemu pytasz?

— Sądźmy, że mamy pięć ciężarnych. Tej liczby jest pewna tylko Lynne Andrews. Do stwierdzenia ciąży musi nasłuchiwać stetoskopem ruchów płodu. One są chyba za małe, aby widać było ów stan wyraźnie na zewnątrz. Pięć na osiemdziesiąt siedem. Jak określiłbyś taki współczynnik urodzeń, George?

George Lunt dolał sobie kawy do kubka i odruchowo na nią podmuchał. Gdzieś, być może w szkole policyjnej, kawa była wiecznie za gorąca. Po drugiej stronie jadalni grupka Kudłaczy chodziła niczym cień za robotem i przyglądała mu się, jak sprząta ze stołów.

— Do diabła, na pewno nie jest to żadna eksplozja demograficzna — odparł Lunt.

— Wymieranie, George. Nie znam normalnego wskaźnika długowieczności w lesie, sądzą jednak, że czwooro na pięćoro ginie śmiercią gwałtowną. Gdy krzywa urodzeń spadnie poniżej krzywej śmiertelności, gatunek wymiera.

— Sto dwa Kudłacze plus czwooro dzieci. Zaraz, powiedziałaś, że pięć dziewczyn jest w ciąży, tak? I przyznajesz, że to nie wszystko, skoro doktor Andrews musi używać stetoskopu do testów ciążowych?

— Byłem ciekaw, czy zwrócisz na to uwagę. To nie jest zły wskaźnik dla samic o cyklu miesięcznym, a nie corocznym sezonie kojarzenia się w pary. A co do czwórki młodych, co prawda nie znamy tempa dorastania, lecz w ciągu trzech miesięcy badań stwierdziliśmy, że Dzidzius przybrał na wadze tylko sto pięćdziesiąt gramów i urósł niecałe trzy centymetry. To daje około piętnastu lat, najwyżej dziesięć.

— A więc to nie jest wcale wskaźnik urodzin — powiedział Lunt. — To wskaźnik umieralności młodych. One po prostu nie dożywają wieku rozrodczego.

— W tym rzecz, George. To mnie właśnie niepokoi. Tak samo jak Ruth i Lynne. Jeśli nie znajdziemy przyczyn ani środków zaradczych, niedługo nie

będzie tutaj żadnych Kudłaczy.

— Zupełnie jak za dawnych czasów, Victorze — powiedział Coombes, wyciągając się w fotelu. — Nikogo oprócz nas, ludzi.

— To prawda. — Grego przyniósł karafkę i dwie szklanki. Postawił je na stole ostrożnie, aby nie zepsuć deseni kolorowych płytek ułożonych na drugim końcu. — To dzieło sztuki Kudłaczy. Jeszcze nieukończone, ale zwróć uwagę na głębokie znaczenie symboliczne.

— Ty je widzisz, ja nie. — Coombes wziął szklankę z odruchowym „dziękuję” i pociągnął łyk. — Gdzie są wszyscy?

— Diament poszedł w gości do lokalu, gdzie nie jestem mile widziany. Do budynku rządu. On, Flora i Fauna spotykają się z Pierrotem i Kolombiną, Kudłaczami pani Pendarvis. Sandra pełni rolę przyzwoitki, natomiast Ernst konferuje z panią Pendarvis o kwaterach dla kilkuset Kudłaczy, które pojawią się za jakiś tydzień w mieście, aby poddać się adopcji.

— Powiem tak: twój Kudłacz i kudłaczolodzy przyjaźnią się z właściwymi ludźmi. Słyszałeś Hugo Ingermanna dziś po południu w telewizji?

— Nie — odparł Grego. — Płacę innym, żeby wykonywali za mnie tego rodzaju pracę. Przejrzałem prawidłowe pod względem semantycznym streszczenie zaopatrzone w studium symboliczno-logiczne. O ile potrafię je zinterpretować, sprowadzało się do sugestii: a) że Ben Rainsford jest większym oszustem niż Victor Grego, b) że Victor Grego jest większym oszustem niż Ben Rainsford, oraz c) że jeden i drugi wspólnie knują ograbienie i zamianę w niewolników wszystkich mieszkańców tej planety, nie wyłączając Kudłaczy.

— Słuchałem go bardzo uważnie i nagrałem z nadzieją, że może się zapomni i powie coś, za co dałoby się go postawić przed sądem. Uniknął tego, to sprytny prawnik, wie, co stanowi obrazę, a co nie. Czasami marzy

mi się, żeby zaciągnąć drania do sądu, posadzić na krześle dla świadków i przesłuchać pod prawdomierzem, ale... — Urwał i wzruszył ramionami.

— Zauważyłem jedną rzecz. Atakuje Kompanię i Rainsforda, a jednocześnie stara się wbić klin między nas, abyśmy nie połączyli swoich sił przeciw niemu.

— Owszem. Ta propozycja portu kosmicznego. „Dlaczego nasz uczciwy i prostolinijny gubernator nic nie robi, żeby skończyć z tym haniebnym monopolem Kompanii na transport kosmiczny, trzymającym za gardło gospodarkę planety?”.

— No, dlaczego? Bo kosztowałyby to pięćdziesiąt milionów soli, a korzystające z niego statki należałoby ładować i rozładowywać na orbicie. Ale wygląda to na żywotną, realną kwestię w oczach ludzi, którzy nie myślą i nie mają czym myśleć, to znaczy większości wyborców. Wiesz, Leslie, co mnie niepokoi? Ingermann, który atakuje Rainsforda za porozumienie z Kompanią. Bije w to od dawna i Rainsford zamierza dowieść swojej niewinności. Cokolwiek zrobi gubernator, odbędzie się to naszym kosztem.

— Odnoszę podobne wrażenie — przyznał Coombes. — Wiesz, wśród licznych pozytywnych skutków Decyzji Pendarvisa mamy obecnie na Zaratustrze demokratyczny rząd. To znaczy, mamy polityków. Ingermann kontroluje wszystkie procedery kryminalne, a polityka należy do najgorszego z nich. Ingermann zabiega o polityczną dominację nad Zaratustrą.

13.

Kuter spłynął na ziemię. Siedzący przy konsolcie sierżant komandosów odetchnął z ulgą — bał się, że podczas lądowania zgniecie dwadzieścioro Kudłaczy. Pancho Ybarra otworzył właz i kiwnął na swego towarzysza w zielonym mundurze komandosów, by wysiadł pierwszy, po czym skoczył na ląd. Wyszli im naprzeciw George Lunt w swoim zmienionym trochę uniformie policyjnym oraz Gerd van Riebeek w leśnej kurtce i butach terenowych, otoczeni gromadą Kudłaczy. Powitały ich entuzjastycznie, po czym zapytały, gdzie jest Papcio Jack.

— Papcio Jack jest w Duży Dom, nie przybyć tutaj z Wujko Panko. Papcio Jack wrócić szybko, dwa razy jasno-ciemno — poinformował je Ybarra. — Papcio Jack musieć zrobić duża mowa z inni Duzi.

— Zrobić mowa o Kudłacze? — zapytał Kudłaczek. — Znaleźć Duzi dla wszystkie Kudłacze?

— Tak jest. W Duży Dom znaleźć miejsce dla Kudłacze — odparł.

— Wypytuje o to, odkąd odleciał Jack — powiedział Gerd. — Teraz wszystkie Kudłacze będą miały swoich własnych Dużych.

— No cóż, Jack właśnie pracuje nad tym — oznajmił Ybarra. — Obaj znacie kapitana Casagrę, prawda? Gerd van Riebeek. Major Lunt. Kapitan zatrzyma się u nas na parę dni, jutro wylatuje porucznik Paine z odwodami. Pięćdziesięciu ludzi i piętnaście wozów bojowych. Będą pomagać w patrolowaniu, dopóki nie zdobędziemy własnych ludzi i pojazdów.

— Cóż, miło mi to słyszeć, kapitanie! — ucieszył się Lunt. — Brakuje nam jednego i drugiego.

— Na dodatek macie wielki obszar do patrolowania — stwierdził Casagra. — Jak wspomniał porucznik Floty Ybarra, zostaną tylko kilka dni, żeby zapoznać się z sytuacją. Porucznik komandosów Paine pozostanie tak

długo, aż zwerbujecie i wyszkolicie własne siły. Pod warunkiem oczywiście, że nie dojdzie do nowych zamieszek w krainie trawożerów.

— Hmm, mam nadzieję, że nie — powiedział Lunt. — Pojazdy są równie mile widziane jak ludzie, mamy za mało własnych.

— Kompania zamierza oddać kilka do dyspozycji — powiedział Ybarra. — Ahmed Khadra, niezależnie od innych działań, rozpoczyna akcję werbunkową do SZFT.

— Czy Jack zdobył trochę Pezetera Trzy? — spytał Gerd.

Ybarra pokręcił przecząco głową.

— Nie udało mu się znaleźć ani okruszyny nawet dla ośrodka przyjęć, dla nowych Kudłaczy, które zaczną przybywać do miasta. Kompania zamierza go wytwarzać, ale to trochę potrwa. Po uruchomieniu produkcji będą zapewne przez kilka tygodni wypuszczać serie próbne, nim zdołają uzyskać właściwy produkt.

— Przepis jest bardzo prosty — zdziwił się Casagra.

— Pewne procesy nie, rozmawiałem z Victorem Grego. Jego specjaliści od syntetyków nie są usposobieni optymistycznie, choć Grego strzela do nich z bata, by zdążyli na wczoraj.

— Ależ historia! — wykrzyknął Gerd. — Victor Grego miłośnikiem Kudłaczy. Jimenez i Mallin też. Szkoda, że nie słyszeliście słów, jakie wypowiedziała moja subtelna i delikatna małżonka, kiedy się o tym dowiedziała.

— Wczorajsi wrogowie dzisiejszymi sojusznikami — roześmiał się Casagra. — Kudłacze ogołociły cały teren z *zatku*, z krewetek, i codziennie udają się na polowanie coraz głębiej w las. Kudłacze smakują harpiom jak *zatku* Kudłaczom, więc musimy im zapewnić osłonę z powietrza. Tak to wygląda, odkąd wyjechałeś, Pancho. Zastrzeliliśmy dotąd około dwudziestu harpii. Tylko dziś do południa cztery nowe sztuki, nie wiem, ile później.

— Straciliście już jakieś Kudłacze?

— Nie, za sprawą harpii nie. Wczoraj sporo omal nie uległo masakrze — dwie tutejsze rodziniki, czy kim one są, wszczęły bójkę o jakąś zabawkę i poszły w ruch tasaki. Kilka osobników odniosło rany, tu mamy jednego. — Pokazał na Kudłacza z zabandażowaną głową, wydawał się bardzo dumny. — Inny ma złamaną kończynę, doktor Andrews trzyma go w szpitalu z nogą w gipsie. Zanim przybiegłem na miejsce, interweniował Kudłaczek, Ko-ko, Mama i kilkoro z mojej paczki, przerywając bójkę. Zaatakowały je ostro, płazując tasakami, jakby przez całe życie rozpędzały zamieszki. Szkoda, że nie słyszeliście Kudłaczka, kiedy je później beształ. Przemawiał do nich niczym kapral na musztrze z rekrutami.

— Co, naprawdę, walczą między sobą? — spytał Casagra.

— To się zdarzyło po raz pierwszy. Myślę, że walczą od czasu do czasu, w lesie, za pomocą drewnianych *zalku-hodda*. Mają najprawdziwszy system fechtunku. Nic takiego w porównaniu ze standardami szermierki na Międzygwieżdnych Igrzyskach Olimpijskich, ale skuteczny. Dzięki temu w ciągu pierwszych pięciu sekund połowa nie straciła życia. — Lunt zerknął na zegarek. — No dobrze, kapitanie, zapraszam pana do kwatery Sił Ochrony Autochtonów. Proszę przyjrzeć się naszej dotychczasowej działalności i przekonać się, w jaki sposób porucznik Paine i jego zespół mogą nam pomóc.

Casagra podszedł do kutra i zamienił kilka słów z sierżantem przy konsolocie, po czym wspiał się do kabiny w towarzystwie Lunta. Ybarra kiwnął głową do Gerda i ruszyli w kierunku baraku doświadczalnego.

— Jedna z ciężarnych straciła dziecko — powiedział Gerd. — Urodziło się za wcześnie i umarło. Przechowujemy noworodka, a raczej płód, w naszej chłodni. Odpowiada mniej więcej sześciomiesięcznemu płodowi ludzkiemu. Jest zewnątrz zdeformowany i przypuszczam, że również wewnątrz. Nic jeszcze przy nim nie robiliśmy, Lynne chciała, abyś go przedtem obejrzał. Kudłacze były bardzo przygnębione, uważały, że zasługiwał na pogrzeb. Udało nam się wyjaśnić Kudłaczce i paru innym,

co chcemy zrobić, a one próbowały wyjaśnić to pozostałym. Nie mam pojęcia, ile z tego zrozumiały.

Kudłacze biegły przed nimi i wykrzykiwały:

— *Mamsia Łuf! Ciosia Lynne! Ujko Panko bizzo-do-mitto!*

Kiedy Gerd i Ybarra weszli do baraku, wszystkie podniosły taki wrzask, że Ruth, która przeprowadzała test przy jednym z roboczych stołów, musiała je uciszać.

— *Cieś, Ujko Panko* — przywitała go. Uwijała się przy pracy, trzymając coś w ręku. — Za chwilę będę gotowa. — Poczyniła kilka uwag, umieściła próbkę w statywie, wpisała flamastrem numer, opuściła pokrywę i przekręciła klucz. — Nie zajmowałam się tym od ukończenia szkoły medycznej. Lynne jest z tyłu w ambulatorium razem z grupą pielęgniarek autochtonek, które się zgłosiły na ochotnika do opieki nad ofiarami bójki. — Wyjęła papierosy z kieszeni bluzki i zapaliła, a następnie opadła na fotel. — Pancho, o co chodzi z Ernstem Mallinem? — zapytała. — Wierzysz w to?

— Tak. On jest naprawdę zainteresowany, skoro nie musi już prowadzić żadnej polityki narzuconej przez Kompanię wobec Kudłaczy. I faktycznie je lubi. Widziałem go z tym nowym, który zamieszkał u Grego, a także z Florą i Fauną Bena oraz parką pani Pendarvis.

— Nie uwierzyłabym, nawet gdybym to widziała na własne oczy. Dobrze pamiętam, co robił z Idem, Superego i naszymi dziewczętami — Kompleks i Syndrom. To cud, że cała czwórka nie zapadła na nieuleczalną chorobę psychiczną.

— A jednak nie zapadła, są równie zdrowe psychicznie, jak inne Kudłacze. Mallin żałuje swoich doświadczeń z nimi, ale nie żałuje tego, czego się od nich nauczył. Powiada, że są to jedyne istoty rozumne, jakie spotkał, których nie można doprowadzić do obłądzenia. Że gdyby ludzie mogli nauczyć się myśleć jak Kudłacze, przeróżne kliniki psychiatryczne opustoszałyby, a psychiatrzy poszli na zieloną trawkę.

— Przecież one są jak małe dzieci. Kochane, sprytne dzieciaki, ale...

— Być może za sprytne na to, żeby dorosnąć. Kto wie, czy sami nie przypominalibyśmy Kudłaczy, gdyby od urodzenia nie otaczało nas morze dorosłych infekujących nas swą chorobą umysłowością. Mam nadzieję, że my nie zarażamy tym Kudłaczy. Nawiasem mówiąc, o co poszło w tej wczorajszej bójce?

— Hmm, o jakieś zabawki w dużej chacie Kudłaczy. Przyszła grupa nowych, zobaczyły zabawki i chciały je zabrać. Były przeznaczone dla wszystkich, ale nowe o tym nie wiedziały. Wybuchła kłótnia, a potem sięgnięto po *t'sako-koppo*. Winne zajścia bardzo tego żałują i wszystkie są już w wielkiej przyjaźni.

Z drzwi ambulatorium w końcu baraku wyszła Lynne. Obok niej biegło dwoje Kudłaczy. Kilkoro z tych, które towarzyszyły im na podwórzu, zniknęło w ambulatorium. Postanowiły odwiedzić rannego przyjaciela. Przywitali się z Lynne. Gerd zapytał o pacjenta. Pacjent wracał do zdrowia i z radością leżał w łóżku.

— A dziewczyna, która straciła dziecko?

— Bawi się, jakby nic się nie stało. Pancho, to był rozdzierający serce widok. Noworodek — tak zdeformowany, że nie wiadomo, jakiej był płci — przyszedł na świat martwy. Matka popatrzyła na niego, dotknęła go ręką, a potem spojrzała na mnie i powiedziała:

— *Hadda. Szinozza.*

— Martwe. Nic nowego — odparł Gerd. — Zachowywała się tak, jakby się tego spodziewała. Sądzę, że najwyżej dziesięć procent przeżywa więcej niż kilka dni. Chcesz rzucić na to okiem, Pancho?

Nie chciał, zwłaszcza, że nie była to jego dziedzina. Z drugiej strony embriologia Kudłaczy była na razie dziedziną niczyją. Podeszli do chłodni. Gerd wyjął ciało i odwinął je. Było mniejsze niż mysz i Gerd musiał użyć lupy. Ramiona i nogi były krótkie i nierozwinięte, głowa także była zniekształcona.

— Trudno mi cokolwiek powiedzieć, poza tym, iż dobrze się stało, że przyszło na świat martwe — stwierdził. — Co zamierzasz z tym zrobić?

— Nie chcę sama przeprowadzać sekcji — odparła. — Nie czuję się na siłach. To zbyt poważna sprawa, aby coś zepsuć.

— Nie znam się na sekcjach. Leć z tym do szpitala w Mallorysport, ja bym tak zrobił. — Owinął z powrotem maleńkie ciało i włożył je do chłodni. — Im więcej lekarzy będzie nad tym pracowało, tym mniej szczegółów umknie waszej uwadze. Przecież chcesz się dowiedzieć jak najwięcej.

— Zrobię tak. Natychmiast się z nimi połączę i sprawdzę, kto i kiedy może mi pomóc.

Do baraku weszła grupka Kudłaczy, niosły martwą krewetkę. Przyłączyło się do nich kilkoro domowników i pomaszzerowały razem do izby chorych.

— Chodźmy, Pancho, przyjrzyjmy się — odezwał się Gerd. — Niosą prezent dla chorego kolegi. Musiały ją ciągnąć cztery albo pięć kilometrów.

Kiedy przyleciał kuter, w zachodnim, dolnym ogrodzie budynku rządu znajdowało się pięcioro Kudłaczy i dwoje ludzi. Dwojgiem ludzi byli kapitan Ahmed Khadra, SZFT, i Sandra Glenn, a Kudłaczami gospodyni i gospodarz mieszkania, Flora i Fauna, a także Pierrot i Kolombina Pendarvisowie oraz Diament Grego. Miały czerwono-złotą piłkę średnicy pół metra lub wzrostu jednego Kudłacza, którą pchały i goniły po trawniku. Od czasu do czasu piłka wtaczała się do miejsca, gdzie stał Khadra, wówczas on ją kopał i wracała do nich, koziółkując. Jack Holloway roześmiał się, przypominało to zabawę, jakiej sam oddawał się z Kudłaczami na murawie w swoim obozie, kiedy jeszcze rosła tam trawa i nie było żadnych obcych Kudłaczy.

— Ben, wysadź mnie na dole, dobrze? — powiedział. — Mam ochotę pobaraszkować trochę z Kudłaczami.

— Ja też — odparł Rainsford. — Will, wysadź nas, jeśli łaska.

Pilot wylądował lotem spiralnym, zatrzymując statek kilka centymetrów nad trawą, aby mogli zejść. Kudłacze zobaczyły lądujący kuter i przybiegły pędem. Jack myślał z początku, że noszą pistolety, przynajmniej na to wskazywały paski i małe kabury. Przedmioty tkwiące w kaburach miały pistoletowe kolby, ale kiedy Kudłacze je wyciągnęły, zorientował się, że są to trzycalowe czarne krążki, które przykładają sobie do ust.

— Papcio Ben, Papcio Jack! — wołały wszystkie. — Słuchać, my już mówić jak Duzi!

Jack trącił wyłącznik aparatu słuchowego. Faktycznie, słyszał ich głos.

— Papcio Vic zrobić — powiedział z dumą Diament.

— Właściwie, zrobił je Henry Stenson — powiedziała Sandra. — A przynajmniej wynalazł. Pan Grego tylko powiedział mu, czego chce. To są kudłaczofony.

— *Hiita, Pa-psio Dziaak*. — Diament podniósł aparat nad głowę. — Ik, ik. *Iiik!* — Wpadł w złość, po czym przypomniał sobie, że odsunął go od ust. — Kudłacz mowa iść tutaj w środek, ta strona. W środek robić się duża. Wychodzić ta strona, duża jak mowa Hadźdża — opowiedział, trzymając urządzenie przy ustach.

— To dobrze, Diamencie. Dobrze-dobrze — pochwalił. — Co o tym sądzisz, Ben?

Rainsford przykucnął obok swoich Kudłaczy i wyciągnął rękę.

— *So-pokko-aki*, Flora — powiedział i mała podała mu swój kudłaczofon, mówiąc jednocześnie:

— *Osfonie*, Papcio Ben, *niep'suć*.

— Nie zepsuję. — Rainsford obejrzał go z ciekawością i oddał Florze. — Dobra rzecz. Mały przełącznik na kolbie, wygląda na to, że wewnątrz jest transformator częstotliwości i mogą mówić z obu stron.

Musiało to działać w ten sposób, Kudłacze były oburęczne. Gerd miał teorię: Kudłacze nie znają anatomii, głównie dlatego, że nie rozpały ognia i nie kawałkowały drobnych zwierząt, które zabijały do jedzenia. Tylko rasy

znające umiejscowienie i znaczenie serca w czasie walki zwracają się drugą stroną ciała w kierunku wroga. Przodkowie *Homo sapiens terra*, znajdujący się na tym samym etapie rozwoju cywilizacyjnego, byli zapewne dwuręczni. Jak większość teorii Gerda, nie była ona pozbawiona sensu.

— Kto to wytwarza? — zapytał. — Stenson?

— Te egzemplarze zrobił sam, w swoim warsztacie. Chcą je produkować zakłady elektroniczne Kompanii — odparła dziewczyna i dodała: — Chwyć reklamowy.

— Proszę powiedzieć panu Grego, aby kazał swoim elektronikom wziąć się do roboty. Komitet do spraw Autochtonów potrzebuje ich bardzo dużo.

— Zostanie pani na obiedzie, panno Glenn? — spytał Rainsford.

— Dziękuję, gubernatorze, ale muszę odprowadzić Diamenta do domu.

— Ja też muszę zabrać do domu Pierrota i Kolombinę — odezwał się Khadra. — Co pani robi dziś wieczorem?

— Muszę skończyć pracę domową. Lekcje z języka Kudłaczy.

— Hmm, czy mógłbym pomóc w nauce? — spytał Khadra. — Władam tym językiem jak tubylec.

— No cóż, jeśli nie sprawi to panu kłopotu... — zaczęła.

Holloway zaśmiał się.

— Kogo pani chce nabrać, panno Glenn? Niech pani spojrzy w lustro, jeśli pani sądzi, że uczenie panią języka Kudłaczy sprawiłoby jakiś kłopot mężczyźnie w wieku Ahmeda. Gdybym był o dziesięć lat młodszy, wykorzystałbym swoje stanowisko i zostawił Ahmeda z Kudłaczami.

Zdaniem Pierrota i Kolombiny rozmowa była nudna i bez sensu. Potoczyły piłkę przed Khadrę i wydały rozkaz: — *Kop 'noc no 'ga*.

Khadra kopnął piłkę. Oderwała się od ziemi i poszybowała daleko. Kudłacze pobiegły za nią.

— Doktor Mallin twierdzi, że pan obejrzał sanatorium — zwróciła się do Hollowaya Sandra.

— Tak. To będzie dobre miejsce. Wiesz coś o tym? — zapytał Ahmeda.

— Cóż, to rozległy teren — odparł Khadra. — Obejrzałem go z powietrza, oczywiście. Wykorzystują obecnie tylko około dziesięciu procent powierzchni.

— Owszem. Zajmujemy budynek przeznaczony na oddział psychiatryczny, ma około półtora kilometra kwadratowego parku z dobrym ogrodzeniem, więc Kudłacze nie będą się oddalać i błąkać. Moglibyśmy tam umieścić pięćset lub sześćset osobników i wcale nie odczuwałyby tłoku. Upłynie trochę czasu, zanim tyle Kudłaczy zbierze się w jednym miejscu. Myślę, że za tydzień będzie ich sto albo sto pięćdziesiąt.

— Wieczorem po zamknięciu biura naliczyliśmy dokładnie osiemset siedemdziesiąt dwa wnioski — oznajmił Khadra. — Jack, kiedy wracasz do obozu?

— Pojutrze. Chcę się upewnić, czy ruszyły prace przy budowie ośrodka przyjęć, i ciągle próbuję znaleźć trochę Pezetera Trzy. Chyba cały zapas wykupiła zgraja cholernych spekulantów i przetrzymuje go, czekając na wyższą cenę.

Kudłacze wrzuciły piłkę w zarośla i miały kłopot z jej wydobyciem. Sandra Glenn oddaliła się, aby im pomóc. Ben Rainsford poszedł razem z nią.

— Wśród spekulantów są chyba również wspólnicy Hugo Ingermanna — powiedział Khadra.

— Skoro o nim mowa, jak idą poszukiwania Herckerda i Novaesa? — spytał Jack. — I pięciorga Kudłaczy?

— Jack, przysięgam ci. Zaczynam myśleć, że Herckerd, Novaes i pięcioro Kudłaczy weszło razem do przemiennika masy i energii. Ulotnili się jak kamfora.

— Nie zdążyli sprzedać Kudłaczy przed oświadczeniem telewizyjnym Bena, przedwczoraj wieczorem. Później, po otwarciu biura adopcyjnego i po tej całej przemowie na temat porywania, uprowadzania w niewolę i tak dalej, nikt by nie kupił Kudłacza z nielegalnego źródła. A zatem nie mogli

ich sprzedać, więc musieli się ich pozbyć. — Tylko w jaki sposób? Poczuję lęk. Gdyby mieli trochę oleju w głowie, zabraliby je szalupą z powrotem na Betę i wypuścili na wolność. Bał się jednak, że je zabili. Teraz wszyscy już wiedzieli, że żywe Kudłacze potrafią się skarżyć. — Myślę, że one nie żyją.

— Czy ja wiem? Osiemset siedemdziesiąt dwa wnioski i w najlepszym razie sto pięćdziesiąt Kudłaczy — powiedział Khadra. — Będzie na nie popyt, zdobyte legalnie czy nie. Jack, wiesz, co myślę? Że draniom wcale nie chodziło o sprzedanie tej piątki. Oni — Herckerd, Novaes i kto tam jeszcze z nimi był — szkolą je, aby przyprowadzały inne Kudłacze. Sądziś, że można je tego nauczyć?

— Jasne. Faktycznie same to robią w naszym obozie. Wiesz, jak rozumują? Dużi to Dobra Rzecz. Każdy Kudłacz posiadający Dużego nie musi się o nic martwić. Wszystkie Kudłacze powinny mieć Dużych. To samo opowiadał Kudłaczek mieszkańcom lasu, tam, w obozie. Ahmedzie, wydaje mi się, że trafiłeś w sedno.

— Przyszło mi do głowy także coś innego. Jeśli dranie potrafią robić interesy z kapitanem jakiejś krypty towarowej, to mogliby wywozić Kudłacze poza planetę, aby je sprzedać z olbrzymim zyskiem. Poczekaj, aż wiadomości o Kudłaczach się rozejdą. Zacznie się handel żywym towarem — na Terze, Odinie, Freyi, Marduku, Atonie, Baldurze i na innych planetach. Teraz każdemu wolno wprowadzić statek na orbitę Zaratustry, jeśli dysponuje własną kapsułą lądowniczą i nie korzysta z portu kosmicznego Kompanii. Za miesiąc wiadomość dotrze na Gimli, na najbliższą planetę, a za następne dwa przyleci stamtąd statek.

— Port kosmiczny. To może być powód, dla którego Ingermann rozwodził się o haniebnym monopolu Kompanii na port kosmiczny. Gdyby miał własny, mały porcik...

— Przemysł wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić. Gorących kamieni słonecznych. Narkotyków. Albo Kudłaczy.

Zbliżali się Rainsford i Sandra Glenn, Sandra niosła Diamenta, Pierrot i Kolombina biegły obok niej, a Flora i Fauna toczyły przed sobą piłkę. Jack chciał pomówić z Benem na ten temat. Potrzebowali nowych przepisów prawnych, aby zapobiec wywozowi Kudłaczy poza planetę. Nikt nie pomyślał wcześniej o takim niebezpieczeństwie. I koniecznie trzeba pomówić z Grego, jedyne wyjście z planety było kontrolowane przez Kompanię.

Lynne Andrews wyprostowała się, zdjęła wziernik stereoskopowy i odłożyła na bok, mrużąc oczy. Pozostałe osoby w laboratorium, czterej mężczyźni i dwie kobiety, odsuwały reflektory punktowe, lupy i kamery kołyszące się na wysięgnikach oraz odkładały instrumenty.

— Ten noworodek nie przeżyłby nawet trzydziestu sekund, nawet gdyby poród nie odbył się przedwcześnie — powiedział jeden z lekarzy. — To niczego nie wnosi do wiedzy o ich embriologii. — Specjalizował się w embriologii człowieka. — Zrobiłem sekcje ponad pięciuset usuniętych płodów i nie widziałem jeszcze żadnego w takim stanie jak ten.

— Był taki malutki — powiedziała któraś z kobiet. Położna. — Nie mogę uwierzyć, że odpowiada sześciomiesięcznemu płodowi człowieka.

— No cóż, ja mogę — odparł ktoś. — Wiem, jak wygląda młody Kudłacz, spędziłem sporo czasu z Kudłaczkiem pana Jacka Hollowaya w czasie procesu. I nie sądzę, aby zapłodnione jajeczko Kudłacza bardzo się różniło od naszego. Jedno i drugie musi podlegać stopniowemu rozwojowi. Twierdzą, że płód był rozwinięty w dwóch trzecich. A raczej niedorozwinięty.

— To właściwe słowo, doktorze. Czy domyśla się pan przyczyn, dla których ten nie rozwinął się prawidłowo?

— Niestety, doktorze.

— Kudłacze ciągną z północnej Bety, na tych obszarach przeprowadzono jedynie rekonesans z powietrza. Czy ktoś zna tamtejszy poziom radioaktywności? Widziałem fotografie dużo gorszych rzeczy niż

ów pług, spowodowanych radiacją po wybuchach nuklearnych na Terze podczas trzeciej i czwartej wojny światowej, a także po ich zakończeniu, u zarania Pierwszej Federacji.

— Tamten rejon nie był dokładnie zbadany, poddano go jednak skanowaniu. Silna radioaktywność naturalna, mogąca wywołać podobne skutki, została wykryta z Kserksesa.

— Ach, do diabła, pług mógł być poczęty na skrawku uranitu nie większym od tego stołu...

— Cóż, a może to jakiś środek chemiczny? Składnik diety ciężarnej matki? — spytała druga kobieta.

— Dzieci z Thalidomidu! — zawołał ktoś. — Pierwszy wiek, między drugą a trzecią wojną światową. Kobiety w ciąży przyjmowały doustnie środki chemiczne.

— Zgoda, a więc wezwijmy do pomocy biochemików.

— Chrisa Hoenvelda — zaproponowała inna osoba. — Nie jest jeszcze za późno, by do niego zadzwonić.

Kudłacze nie miały Pory Koktajlu, ona była dla Dużych, by mogli usiąść razem i zrobić mowa Dużych. Po prostu przed kolacją Kudłacze wchodziły gęsiego do jadalni, mniej lub bardziej zainteresowane daniami zależnie od przebiegu polowania. Po jedzeniu baraszkowały i bawiły się tak długo, aż się zmęczyły, a wtedy siadały w grupkach i leniwie szczebiotały, dopóki nie poczuły się śpiące.

W lesie było zupełnie inaczej. Kiedy słońce zaczynało układać się do snu, znajdowały bezpieczne miejsca, gdzie duże zwierzęta nie mogły się do nich dostać, przytulały się do siebie i zasypiały. Jedno pozostawało cały czas w stanie czuwania. Ale tutaj Duzi nie dopuszczali zwierząt i zabijali je rzeczami piorunami, kiedy podchodziły zbyt blisko, i było bezpiecznie. Duzi mieli rzeczy, które dawały światło nawet wtedy, gdy niebo było ciemne, a mieli też miejsca, gdzie zawsze panowała jasność niczym w dzień. A więc tutaj było bardzo przyjemnie, bo nic im nie groziło i było

mnóstwo nowych rzeczy do omówienia. To było *Hoksu-Mitto*, Cudowne Miejsce.

Dziś czuły się jeszcze szczęśliwsze, dziś powrócił Papcio Jack.

Kudłaczek wyjął fajkę — tę nową, którą Papcio przyniósł z Dużego Domu — napełnił ją tytoniem i wyjął miniaturową zapalniczkę. Wokół niego grupka Kudłaczy, które dopiero co przyszły z lasu, wpadła w przerażenie. Nie były przyzwyczajone do ognia. Kiedy pojawiał się w lesie, był zły. Ale to był dziki ogień. Dużi umieli poskramiać płomień, ale jeśli zachowywało się ostrożność, nie dotykało ich ani nie puszczało na swobodę, ogień nie był straszny.

— Idziemy w inne miejsca i jutro wszystkie mają Dużych? — zapytał któryś z Kudłaczy. — Dużi dla nas jak Papcio Jack dla was?

— Nie jutro. Nie następnego dnia. Dzień potem. — Podniósł trzy palce. — Później udać się w „rzeczach w górze” do miejsce jak to. Dużi przyjść, zrobić mowa. Wy lubić Duży, Duży lubić wy, wy iść z Duży, wy mieszkać u Duży.

— Ładne miejsce, jak to?

— Ładne. Nie jak to. Inne.

— Nie chcieć iść. Tu ładne miejsce, dużo zabawa.

— To nie iść. Papcio Jack nie zmuszać iść. Wy chcieć iść, Papcio Jack znaleźć ładny Duży dla wy, dobry dla wy.

— A jak nie dobry? A jak zły dla my?

— To Papcio Jack przyjść, Papcio Żorż, Wujko Ahmed, Papcio Gehd, Ujko Panko, zrobić duży kłopot dla Zły Duży, *bach, bach, bach!*

14.

Myra była oburzona.

— To pan Dunbar. Główny chemik w Syntetycznych Posiłkach — dodała, jakby tego nie wiedział. — Przyniósł coś i musi to panu wręczyć osobiście.

— Właśnie tak kazałem mu postąpić, Myro. Wpuść go, proszę.

Malcolm Dunbar przepchnął się przez drzwi od sekretariatu Myry z otwartym pudłem z płyty pilśniowej pod pachą. Chyba to pogłębiło irytację Myry, Dunbar pełnił kierownicze stanowisko, a tacy ludzie nie powinni sami nosić swoich paczek, to było *infra dignitatem*^[5]. Postawił pudło na krawędzi biurka.

— Proszę, panie Grego. Pierwsza partia. Właśnie ukończyliśmy testy chemiczne. Identyczny z produktem Floty i towarem importowanym przez nas.

Grego wstał i obszedł biurko dookoła. Sięgnąwszy ręką do kartonu, wyjął lekki, brązowy placek. Odłamał w rogu kawałek i skosztował. Miał identyczny, trochę zjełczały, trochę oleisty i trochę słodkawy smak, jak normalny produkt. Sprawiał wrażenie, jakby przyrzadził go według najlepszych zasad diety człowieka, który jedzenie dla przyjemności uważał za grzech. Grego nie ustępował nikomu w podziwieniu dla gatunku *Kudłacz kudłacz holloway*, ale ktokolwiek lubił to świństwo, musiał jego zdaniem postradać zmysły.

— Ma pan pewność, że jest bezpieczny?

Dunbar wpadł we wściekłość.

— Mój Boże! Czy przynosiłbym go tutaj w celu nakarmienia pańskiego Kudłacza, gdybym nie miał pewności? Po pierwsze, wyprodukowano go dokładnie według przepisu Sił Zbrojnych Federacji Terrańskiej. Masą

wypełniająca jest czysta skrobia z pszenicy, nieróżniąca się od stosowanej przez argentyński Synte-Konsum i odińskie Dietetyki. Reszta to chemicznie czyste syntetyczne składniki pokarmowe. Mamy w fabryce specjalistę, który pracował kiedyś jako chemik w Dietetykach, sprawdził wszystkie procesy i okazały się identyczne. Ponadto próbowaliśmy go na wszelkich standardowych zwierzętach laboratoryjnych: na terrańskich chomikach i thorańskich tilbrach, a potem na freyańskich kholpach i terrańskich rezusach.

— Kholpom — zaznaczył — nie smakowało zupełnie. Ale żadnemu nie zaszkodziło. Sam zjadłem kawałek tego paskudztwa i potrzebowałem paru godzin oraz butelki burbona, żeby pozbyć się jego smaku z ust — dodał męczennik nauki.

— Dobrze. Przyjmuję, że nadaje się do konsumpcji przez Kudłacze. Na szczęście cała ich populacja w Mallorysport, wszystkie pięć, przebywa teraz w moim ogrodzie. Chodźmy.

Flora i Fauna Bena Rainsforda oraz Pierrot i Kolombina pani Pendarvis bawiły się u Diamenta, w jego pokoju dla Kudłacza. Pod gołym niebem w ogrodzie było zimno i mokro — jeden z nielicznych deszczowych dni w Mallorysport. Miały na podłodze dużo trójkątnych, kolorowych płytek i układały z nich najrozmaitsze wzory. Sandra Glenn obserwowała je jednym okiem, a drugim czytała. Nagle wszystkie zerwały się na nogi i zaczęły ikać, po czym przypomniały sobie o kudłaczofonach na paskach, wydobyły je błyskawicznym ruchem i jęły krzyczeć: — *Cieś, Pa-psio Vic!* — Usiłował im wyjaśnić, że jest Papciem Vikiem tylko dla Diamenta, a dla innych jedynie Wujkiem Vikiem, ale nie chciały uznać różnicy. Papcio dla jednego Kudłacza, Papcio dla wszystkich.

— Papcio Vic dać *pezeteczi* — powiedział do nich. — Nowy *pezeteczi*, bardzo smaczny. — Odstawił pudło i wyjął kawałek ciasta. Rozłamał go i podzielił na pięć części. Kudłacze miały dobre maniery. Dwoje nowych, niedawno przybyłych gości, Pierrot i Kolombina, choć obsłużono ich

najpierw, wstrzymało się z jedzeniem, dopóki jedzenia nie otrzymali pozostali. Zabrały się do chrupania dopiero razem z tamtymi.

Ugryzły po jednym kęsie i przestały jeść.

— Niedobre — stwierdził Diament. — Nie *pezete'czy*. Chcieć *pezete'czy*.

— Złe — oświadczyła Flora, wypluwając to, co miała w ustach, resztę placka odniosła do kubelka na śmiecie. — *Pezeteczi* dobre, to nie.

— *Pezeteczi*, kiedy patrzeć, w buzia — *niepezete'czy* — powiedział Pierrot.

— Co mówią? — spytał Dunbar.

— Że to nie jest żaden Pezeter Trzy i mają mnie za durnia, skoro tak uważam.

— Niechże pan posłucha, panie Grego, to jest Pezeter Trzy. Jego skład chemiczny jest identyczny z produktem, który jedzą od początku.

— Kudłacze nie są chemikami. Wiedzą tylko, jak smakuje, a według nich, ten ma inny smak niż Pezeter Trzy.

— Moim zdaniem, identyczny... — upierał się Dunbar.

— Pan nie jest Kudłaczem — odezwała się Sandra. Przeszła na język Kudłaczy i wyjaśniła, że Papcio Vic oraz drugi Duży naprawdę sądzili, że dają im *pezeteczi*.

— Papcio Vic jest przykro — poinformował je Grego. — Papcio Vic chce dać prawdziwy *pezeteczi*.

Chwycił trefny karton i wyniósł go do kuchni, następnie podszedł do szafki i wyjął puszkę oryginalnego Pezetera. Zostało tylko dwanaście puszek, sam go będzie musiał racjonować. Odkroił sześć porcji, jedną odłożył dla Diamenta na potem, a resztę rozdał.

Dunbar nadal przekonywał Sandrę, że jego produkt jest chemicznie identyczny z Pezeterem Trzy.

— W porządku, Malcolmie, wierzę panu. Chodzi o to, że Kudłacze mają gdzieś skład chemiczny. — Spojrzał na etykietkę na puszcze. — Jeden z pańskich ludzi pracował w Dietetykach na Odinie, prawda? No cóż, ten

przysmak wyprodukowano na Terze w argentyńskim Synte-Konsumie. Z czego produkują mąkę w Dietetykach na Odinie, z jakiegoś miejscowego zboża?

— Nie, z introdukowanej pszenicy terrańskiej, Synte-Konsum zaś stosuje pszenicę z pampasów i Doliny Missisipi w Ameryce Północnej.

— Inne związki chemiczne w glebie, odmienne bakterie. Do diabła, człowieku, spójrz na tytoń. Wprowadziliśmy go na wszystkie planety, jakie udało się nam skolonizować, i każdy gatunek smakuje inaczej niż tytoń z Terry.

— Czy mamy odiński Pezeter Trzy? — zapytała Sandra.

— Mądra dziewczyna, szóstka plus z myślenia — odparł Grego. — Mamy?

— Tak. Produkt importowany przez nas pochodzi z Argentyny, a produkt Floty na Kserksesie z Odina.

— I Kudłacze nie potrafią ich odróżnić? Nie, ma się rozumieć, że nie. Jack Holloway zakupił swój Pezeter Trzy u nas i dawał go swoim Kudłaczom, a gdy trafiły na Kserksesa, Flota karmiła je swoim. Czego dodaliście do tej mikstury, miejscowej pszenicy?

— Ziarno pochodzi z Ameryki Południowej. Wysiano je i zebrano na Kontynencie Gamma.

— No dobrze, Mal, zbadamy, o co chodzi z tym paskudztwem. Przeprowadzimy prawdziwe studium, użyjemy wszelkich środków i rozłożymy je na pojedyncze molekuly. Kto jest naszym najlepszym biochemikiem?

— Hoenveld.

— Dobrze, zaprzęgnijcie go do roboty. Różnica istnieje i Kudłacze to wiedzą. Twierdzi pan, że wasz produkt odpowiada standardom rządowym?

— Spełnia ich wymogi.

— Hmm, Napier ma mnóstwo Pezetera na Kserksesie, ale nie odda go ze względu na przepisy dotyczące żelaznych zapasów. Zobaczymy, czy uda

nam się go zamienić na...

— No, musiałeś go sknocić, tak czy owak! — upierał się kierownik fabryki syntetyków. — Kudłacze jedzą oryginalny Pezeter Trzy, szaleją za nim. Skoro nie chcą wcinać twojej mikstury, to znaczy, że to nie jest Pezeter Trzy.

— Posłuchaj, Abe... Niech to diabli, ja wiem, że to Pezeter! Zapytaj stojącego tutaj Joe Vespiego, pracował w odińskich Dietetykach...

— To prawda, panie Finch, każdy element procesu jest dokładnie taki sam, jak go pamiętam z Odinu...

— Jak go zapamiętałeś! — Finch chwycił się tego z tryumfem. — Co zapamiętałeś błędnie?

— No wie pan, nic, panie Finch. Proszę spojrzeć, tu jest schemat. Skrobia, to znaczy masa wypełniająca, wchodzi tędy, do tych kotłów...

Doktor Jan Christiaan Hoenveld denerwował się, ale jako wybitny uczony nie zadawał sobie trudu, aby ukryć to przed Victorem Grego, jakimś tam biznesmenem.

— Panie Grego, czy zdaje pan sobie sprawę, ile pracy zwała się na mnie ostatnio? Doktor Andrews, doktor Dosihara i doktor Reynier żądają ode mnie, abym sprawdził, czy istnieje jakaś biochemiczna przyczyna przedwczesnych porodów i uszkodzeń płodu wśród Kudłaczy. A teraz pan każe mi to rzucić w kąt i szukać powodów, dla których jedna partia Pezetera Trzy smakuje Kudłaczowi inaczej niż druga. W mieście mamy pewnego rusznikarza, który wywiesił w swym warsztacie napis: *Doba ma zaledwie dwadzieścia cztery godziny, a ja jestem tylko jeden*. Często się zastanawiam, czy nie skopiować tego napisu w moim laboratorium. — Siedział przez chwilę i marszczył brwi do ekranu z centrum naukowego na drugim końcu miasta. — Panie Grego, czy panu, ani żadnemu z pańskich mądrali w Syntetykach nie przyszło na myśl, że różnica może tkwić w percepcji smaku u Kudłaczy?

— Przyszło mi na myśl, że Kudłacze muszą posiadać zmysł smaku, który przynosi hańbę najśłynniejszym kiperom w Galaktyce. Ale kwestionuję pogląd, że jest on bardziej precyzyjny niż pańska analiza chemiczna. Jeśli Kudłacze wyczuły smakiem różnicę między naszym Pezeterem Trzy a argentyńskim Synte-Konsumem, różnica ta powinna być wykrywalna. Nie znam nikogo lepszego od pana, doktorze, kto mógłby tego dokonać. Dlatego też proszę, aby pan to sprawdził.

Doktor Jan Christiaan Hoenveld burknął nieuprzejmie:

— A-ach! — Przełknął pochlebstwo, ale nie chciał tego okazać. — No dobrze, zrobię co będę mógł, panie Grego...

15.

Muszę być bardzo miła dla doktora Ernsta Mallina. Muszę być bardzo miła dla doktora Ernsta Mallina. Muszę być... Ruth powtarzała sobie po cichu te słowa, jakby musiała pisać nakazany tekst sto razy na tablicy umysłowej, kiedy prom zmniejszał wysokość i leciał skosem w dół ponad miastem w pobliżu ogromnej turni budynku Kompanii i mającego w oddali odosobnionego, niższego i szerszego gmachu sądów centralnych. Na przedzie wyrastały powoli tereny sanatorium, rozległe parki z niskimi, białymi zabudowaniami. Nie widziała Mallina od procesu i wręcz unikała rozmowy z nim, jeśli to było możliwe. Częściowo z powodu cierpień, jakie zadał czwórce Kudłaczy. Pancho Ybarra stwierdził, że miała także kompleks winy za to, że szpiegowała Kompanię. Bzdury! To była robota wywiadowcza, główny powód przyjęcia pracy w Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra. Nie było powodu, aby czuła się winna...

— Muszę być bardzo miła dla doktora Ernsta Mallina — powiedziała na głos. — I będę przeżywać wówczas jedno wielkie piekło.

— Ja też — odezwał się stojący obok niej małżonek. — Mallina również czeka duży wysiłek, aby być miłym dla nas. Nie może zapomnieć, że wymierzyłem z pistoletu w jego plecy tego dnia u Hollowaya, kiedy zginęła Złotowłosa. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jak mało brakowało, abym pociągnął za spust.

— Według Pancha, Mallin zmienił się na lepsze.

— Pancho spotykał się z nim wiele razy. Może mieć rację. Tak czy owak, Mallin nam pomaga, a my potrzebujemy każdej pomocy, jaką zdołamy uzyskać. Nie będzie krzywdzić Kudłaczy, zwłaszcza gdy Ahmed Khadra i pani Pendarvis mają go na oku.

Stłoczone niżej na pokładzie towarowym Kudłaczce wpadły w ekscytację. Wstawiono im monitor, na którym mogły wszystko obserwować, i zapewne wyczuwały, że prom zbliża się do lądowania. Na pewno o tym miejscu opowiadali im Papcio Jack, Papcio Gerd, Wujko Panko i Kudłaczek. To tutaj przyjdą Dużi i zabiorą je do swoich własnych, ładnych miejsc.

Miała nadzieję, że nie spotka ich gorzki zawód. Chciała, by adopcja nie skończyła się wielką klapą.

Prom spłynął na szkliste, kamienne przedpole obok budynku. Zabudowania wyglądały dość okazale. Jack wspominał, że miały służyć jako zakład psychiatryczny, ale nie były nigdy używane. Cztery kondygnacje, otoczone tarasami, i płaski dach z ogrodem pełnym roślin. Wysokie siatkowe ogrodzenie naokoło każdego piętra, Kudłaczom nie grozi wypadnięcie. Mnóstwo drzew i krzewów, spodoba im się tutaj.

Pomogli Kudłaczom wysiąść i zaprowadzili je do budynku przy pomocy kilku osób, które ich oczekiwały. Ruth i pani Pendarvis, żona najwyższego sędziego były starymi przyjaciółkami. Wysoka, ruda dziewczyna, opiekunka Kudłacza Victora Grego, Sandra Glenn. Ahmed Khadra, w nowych cywilnych ciuchach, choć z wyrzuceniem pod lewą pachą. I kilkoro innych ludzi, których widywała od czasu do czasu — z departamentu szkolnego i sekcji zdrowia publicznego Kompanii. Oraz Ernst Mallin, pompatyczny, w czarnym garniturze jak spod igły. *Muszę być bardzo miła...* Wyciągnęła do niego rękę.

— Dzień dobry, doktorze Mallin.

Może Gerd ma rację, być może czuła się winna tego, że go oszukiwała. Doszła do wniosku, że jest kontrofensywnie defensywna.

— Dzień dobry, Ruth. Pani doktor van Riebeek — poprawił się. — Czy może pani poprowadzić swoich ludzi tędy? — spytał, kiwając głową w stronę stu pięćdziesięciu Kudłaczy rozrabiających w holu, ikających w

podnieceni. Nazwał je ludźmi. On również musi się starać. — Mamy coś dla nich dla pokrzepienia. Pezeter Trzy. I trochę zabawek.

— Skąd macie Pezeter? — spytała. — Nie udało nam się zdobyć ani kawałka od ponad tygodnia.

Mallin obdarował ją jednym ze swych zagadkowych uśmiezków, których nie żałował ludziom stojącym niżej od niego.

— Otrzymaliśmy go z Kserksesa. Kompania wprowadzie uruchomiła produkcję, niestety ich produkt nie smakuje Kudłaczom. Wciąż nie znamy powodów, wypiekliliśmy go według tego samego przepisu i ściśle odpowiada specyfikacji rządowej. Panu Grego udało się nakłonić komodora Napiera do zamiany rezerw wojskowych na nasz produkt. Mamy go pięć ton. Ile potrzebujecie dla obozu Hollowaya? Dwie tony wystarczą?

Czy wystarczą dwie tony?

— Ojej, nie wiem, jak panu dziękować, doktorze Mallin! Oczywiście, że wystarczą, wydajemy naszym Kudłaczom po ćwierć puszki co drugi dzień. — *Muszę być bardzo, bardzo miła dla doktora Mallina!* — Dlaczego nie smakuje im wasz produkt? Co jest w nim nie tak?

— Nie wiemy. Pan Grego popędza wszystkich, aby znaleźli przyczynę. Wypieczono go w identyczny sposób...

Kiedy Malcom Dunbar włączył ekran, pojawił się na nim doktor Jan Christiaan Hoenveld. Nie tracił czasu na powitania czy inne zbędne ceremonie.

— Myślę, że coś mamy, panie Dunbar. W obu Pezeterach — odińskich Dietetyków i argentyńskiego Synte-Konsumu — występuje pewien składnik, którego nie ma w naszym produkcie. To nie jest żaden z syntetycznych składników pokarmowych, witaminowych czy hormonalnych, stanowiących element przepisu na żelazną porcję. Nie jest to składnik syntetyzowany powszechnie, komercyjnie bądź eksperymentalnie, w jakimkolwiek znanym laboratorium naukowym. To dość skomplikowana cząsteczka organiczna o długim łańcuchu, składa się

chyba głównie z tlenu, wodoru i węgla, ale jest też kilka atomów tytanu. Jeśli tego właśnie pierwiastka brakuje Kudłaczom w naszych produktach, to mogę stwierdzić jedynie, że mają najczulszy zmysł smaku ze wszystkich żywych istot, rozumnych czy nierozumnych, jakie znam.

— A więc dobrze, mają. Widziałem, z jakim obrzydzeniem odmówiły zjedzenia naszego Pezetera, a kiedy pan Grego dał im trochę argentyńskiego, wcinały go z największą rozkoszą. Ile tego tajemniczego składnika zawiera Pezeter?

— Mniej więcej jedną część na tysiąc — odparł Hoenveld.

— A tytanu?

— Pięć atomów na sześćdziesiąt cztery w cząsteczce.

— Bardzo ostry zmysł smaku. — Zastanawiał się przez chwilę. — Przypuszczam, że znajduje się w pszenicy, reszta to same syntetyki.

— Sądzę, że to jedyny wniosek, panie Dunbar — odparł protekcyjnym tonem Hoenveld.

— Mamy sporo metalicznego tytanu, importowanego w arkuszach przed uruchomieniem naszych hut. Jak pan sądzi, czy uda się wam zsyntetyzować tę molekułę, doktorze Hoenveld?

Hoenveld obrzucił go spojrzeniem nie tajonej pogardy.

— Naturalnie, panie Dunbar. Za półtora roku do dwóch lat. Jak rozumiem, powodem wytwarzania tego produktu na Zaratustrze jest nadrobienie chwilowych braków, które będą usunięte za około sześć miesięcy, gdy pojawi się Pezeter Trzy importowany z Marduka. Nie będę tracić czasu na badania, chyba że poleci mi to bezpośrednio i kategorycznie pan Grego.

Pod wieczór oczywiście odbyło się przyjęcie towarzyskie z trunkami. Dokądkolwiek udawali się ludzie terrańscy, sadzili tam tytoń i kawę, aby mieć ulubiony napój i papierosy na śniadanie, gdziekolwiek zaś lądowali, znajdowali tam lub wprowadzali rośliny, które mogły fermentować i dawać C_2H_5OH . Toteż codziennie około siedemnastej trzydzieści mieli Porę

Koktajlu. Autochtoni na takich planetach jak Loki, Gimli, Thor, a nawet Shesha i Uller, uważali to za jakiś religijny obrządek.

Może mieli rację, szczerze mówiąc.

Sącząc swój koktajl, Gerd van Riebeek wyłączył się na chwilę z dyskusji, do której dał się wciągnąć, aby posłuchać swojej żony, pani Claudette Pendarvis, Ernsta Mallina, Ahmeda Khadry i Sandry Glenn.

— Chcemy zatrzymać tutaj Kudłacze przez tydzień, nim pozwolimy ludziom je odbierać — mówiła żona najwyższego sędziego. — Będziesz musiała zostać z nami na dzień lub dwa, Ruth, i pomóc uczyć szkrabów wszystkiego, co ich czeka w nowych domach.

— Powinnyście edukować ludzi, którzy je adoptują — powiedziała Sandra Glenn. — Czego mogą oczekiwać od Kudłaczy, a czego nie. Proponuję kursy wieczorowe. Po pierwsze, nauka języka.

— Wiecie co, chciałbym zabrać kilkoro na spacer do innych oddziałów sanatorium, żeby odwiedziły pacjentów — odezwał się Mallin. — Tutejszym chorym byłoby miło. Mają niewiele przyjemności, jak wiecie.

To był nowy Ernst Mallin. Gerd nigdy nie przypuszczał, aby Mallin kiedykolwiek traktował przyjemność jako coś ważnego. Może nauczył się tego od Kudłacza.

Gerd popijał teraz koktajl z grupą osób z centrum naukowego i z sekcji zdrowia publicznego. Jedną z nich, lekarzkę specjalizującą się w ginekologii, ciekawiło, co dotychczas udało się stwierdzić Chrisowi Hoenveldowi.

— A cóż mógł stwierdzić? — zapytał Reynier, patolog. — Dysponuje tylko jednym okazem i zapewne niczego w nim nie znajdzie. Musiało nastąpić rozregulowanie metabolizmu u matki. Może to skutek przypadkowej radiacji, ale wówczas mielibyśmy tylko jeden izolowany przypadek, a jak wiadomo, jest to cecha gatunkowa. Wydaje mi się, że przyczyna tkwi w gatunkowych zwyczajach żywieniowych.

— Krewetki — zasugerował ktoś. — O ile wiem, jedzą je tylko Kudłacze, prawda, Gerd?

— Tak. Dopóki nie dowiedzieliśmy się o istnieniu Kudłaczy, uważaliśmy, że krewetki nie mają naturalnych wrogów. Jednak nasze obserwacje wykazują, że Kudłacze nie biorą do ust niczego, co im może zaszkodzić.

— Od czego dostaną bólu brzucha albo kaca, tego nie wezmą. Potrafią ustalić bezpośredni związek pod tym względem. Cokolwiek jednak spowodowało uszkodzenie płodu, a zgadzam się, że jest to zjawisko powszechne wśród Kudłaczy, działało na poziomie, o którym Kudłacze nie mają pojęcia. Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że przyczyną jest spożywanie krewetek.

— A więc trzeba się o tym przekonać. Wykorzystaj Chrisa Hoenvelda.

— Sam go wykorzystaj. Albo każ to zrobić Victorowi Grego. Jego Chris nie wyrzuci z laboratorium. I tak czuje się dotknięty tą całą historią z Kudłaczami.

— No wiesz, musimy przebadać więcej płodów niż tylko jeden. Mamy tutaj sto pięćdziesiąt Kudłaczy, powinniśmy coś znaleźć...

— Odizolujcie ciężarne, niech pani Pendarvis wyłączy je spod adopcji...

— ...może przyjdzie nam spędzić kilka płodów...

— ...mikrochirurgia, zapłodnione jajeczka...

Nie to mieli na myśli Ruth i Jack Holloway, sprowadzając gromadkę Kudłaczy do Mallorysport. Muszą się wszakże tego dowiedzieć, bo inaczej za kilka pokoleń Kudłaczy może już nie być. Jeśli kilkoro z nich ucierpi teraz...

No cóż, czyż biedna Złotowłosa nie musiała zginąć, aby Kudłacze zostały uznane za istoty ludzkie, którymi są?

— Tytan — powiedział Victor Grego. — Hmm, to ciekawe.

— Tylko tak to pan określa, panie Grego? — zdziwił się na ekranie Dunbar. — Bo ja twierdzę, że to niemożliwe. Sprawdziłem dokładnie. Tytan na tej planecie występuje równie rzadko, do diabła, jak wapń na Ullerze. Jest obecny, i to wszystko. Daję głowę, że większość tytanu na

Zaratustrze trafiła tutaj w formie blach w okresie między odkryciem planety a uruchomieniem naszej huty przed siedmiu laty.

Oczywiście była to gruba przesada. Metal ten występował na Zaratustrze, ale faktem jest, że nie zdołali go wydobywać na skalę przemysłową i musieli używać lekkiego stopu stalowego do wszystkiego, do czego gdzie indziej stosowano tytan. A zatem, pewna ilość tego metalu przechodzi w formie śladowej do pszenicy uprawianej na Terze i Odinie, ale nie można było marzyć o tym, aby ten sam proces zachodził na Zaratustrze.

— Wygląda na to, że utknęliśmy, Mal — odparł. — Sądysz, że Chris zdołałby zsyntetyzować tę cząsteczkę? Moglibyśmy ją dodać do pozostałych składników...

— Podobno mógłby — za sześć miesięcy do roku. Odmawia prób, chyba że otrzyma od pana bezpośrednie polecenie.

— A do tego czasu będziemy mieli tyle Pezetera Trzy, ile dusza zapagnie. No trudno, wiele Kudłaczy, łącznie z moim, będzie musiało obyć się smakiem.

Zaciemnił ekran i zapalił papierosa, po czym spojrzął na planetarium Zaratustry, które Henry Stenson zsynchronizował na nowo i które można było traktować jako zegar. Dopiero za godzinę Sandra wróci z pracy w biurze adopcyjnym, musi jeszcze odebrać Diamenta z budynku rządu. Leslie nie wpadnie tego wieczora na koktajl, przebywa na kontynencie Epsilon i omawia sprawy, o których nie chciał dyskutować za pośrednictwem teleekranu. Ben Rainsford zabrał się wreszcie do rozpisanie wyborów do Zgromadzenia Konstytucyjnego, a oni chcieliby wystawić własnych kandydatów. Zdaje się, że pan Victor Grego wypije koktajl w towarzystwie prezesa Niekoncesjonowanej Kompanii Zaratustra. Równie dobrze może zrobić to tutaj.

Tytan, myślał ze wstrętem. Niech go diabli. Jak się na niego mówi? Ach tak, erotyczny metal. Kiedy robi się ciepły, lubi łączyć się ze wszystkim.

Coś mu zaświtało w głowie, na razie ślad myśli. Zatrzymał się w pół drogi do barku i przymknął oczy. Po chwili już wiedział, rzucił się do modułu łączności, wystukując kombinację wywoławczą Malcolma Dunbara.

Minęło kilka sekund, zanim Dunbar się zgłosił, miał na sobie płaszcz i kapelusz.

— Właśnie wychodziłem, panie Grego.

— Widzę. Chodzi o Vespiego, tego faceta, który pracował w Dietetykach na Odinie. Jest jeszcze?

— No jakże, nie. Wyszedł dwadzieścia minut temu i nie wiem, gdzie go można teraz znaleźć.

— Mniejsza z tym, niech pan go złapie rano. Proszę posłuchać, kotły, których używacie do gotowania skrobi na masę wypełniającą. Z czego one są zrobione?

— Hmm, z lekkiej stali nierdzewnej, naszej produkcji. O co chodzi?

— Niech pan zapyta Vespiego, z jakiego materiału były kotły na Odinie. Proszę nie sugerować odpowiedzi, jedynie sprawdzić, czy przypadkiem nie z tytanu?

Dunbar wybałuszył oczy. On również słyszał o chemicznym erotyzmie tytanu.

— Jasne, Dietetyki z pewnością go stosowały. Tak samo jak argentyński Synte-Konsum. Zaraz, może zwrócę się do policji o pomoc w nagłej potrzebie, mogliby znaleźć Joego za pół godziny.

— Szkoda fatygi, wystarczy jutro rano. Najpierw chciałbym coś sprawdzić.

Zaciemnił ekran i wezwał Myrę Falladę. Nigdy nie opuszczała biura przed swoim szefem.

— Myro, połącz się z kimś i zdobądź dla mnie dwa kilogramy czystej mąki z pszenicy. Dopilnuj, żeby była z miejscowej skrobi. Każ ją wysłać do mojego mieszkania, na przedwczoraj.

— Na pojutrze nie wystarczy? — spytała. — Dla kogo, dla Małego Potwora? Dobrze, panie Grego.

Kiedy Sandra Glenn przyniosła Diamenta do jego pokoju, z kuchenki dochodził brzęk naczyń. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka, Diament przepychał się obok jej nóg, także chcąc zaspokoić ciekawość. Pan Grego gotował coś w starym pogiętym rondlu, którego nigdy tutaj nie widziała. Gospodarz spojrział przez ramię i powiedział:

— Cześć Sandro. *Sie masz* Diament, włączyć kudłaczofon, Papcio Vic nie mieć rzecz ucho.

— Co robić Papcio Vic? — spytał Diament.

— Ja też jestem ciekawa.

— Sandro, trzymaj za mnie kciuki. Kiedy skończę pichcić i ostygnie, sprawdzimy, czy smakuje Diamentowi. Sądzę, że znalazłem rozwiązanie problemu z Pezeterem Trzy.

— *Pezeteczi?* Ty robić *pezeteczi?* Prawdziwy? Nie jak inny? — dopytywał się Diament.

— Ty zjeść — odparł Papcio Vic. — Powiedzieć czy dobry. Papcio Vic nie wiedzieć.

— To co to jest? — zapytała.

— Hoenveld odkrył różnicę między nimi. — Wyjaśnienie było dość skomplikowane, Sandra w szkole raczej bała się chemii, niż się jej uczyła. Zrozumiała jednak istotę rzeczy: Pezeter Trzy, który Kudłaczom smakował, był gotowany w naczyniu z tytanu.

— Ten rondel to nic innego, pochodzi z obozowego zestawu kuchennego, który przywiozłem z Terry. — Po raz ostatni zamieszał białą papkę w garnku i podniósł go z piecyka, parząc się w palec i złorzecząc jak zwykle mężczyzna w kuchni. — A jak breja wystygnie...

Diament poczuł jej zapach i natychmiast chciał spróbować. Musiał jednak czekać, dopóki nie ostygnie. Wówczas przenieśli rondel o niepewnie wyglądającej rączce do pokoju Kudłacza, po czym pan Grego nałożył

trochę ciasta na talerz Diamenta. Ten sięgnął po łyżeczkę i ostrożnie skosztował. Następnie zaczął łapczywie pakować sobie do ust.

— Geniusz myśli znów nawiedził miasto — powiedziała. — Jemu to naprawdę smakuje. — Diament zjadł wszystko, co miał na talerzu. — Smakuje? — zapytała w jego języku. — Chcieć więcej?

— Daj mu wszystko, Sandro. Idę zadzwonić do doktora Jana Christiaana Hoenvelda i zaproponować mu pewien eksperyment. A potem, panno Glenn, czy zaszczyci mnie pani swoim towarzystwem i wypije ze mną drinka?

Jack Holloway roześmiał się.

— A więc o to chodzi. Skąd wiesz?

— Przed chwilą dzwonił Mallin, dowiedział się o tym od Grego — powiedział z ekranu Gerd van Riebeek. — Wyrzucają wszystkie kotły ze stali nierdzewnej i zastępują je tytanowymi. Jack, masz jakieś tytanowe naczynia?

— Nie. Wszystko jest ze stali. Mamy tytan w arkuszach, a dom, szopa i stary hangar są obite blachą tytanową. Moglibyśmy coś zrobić... — Urwał w pół zdania. — Gerd, nie musimy gotować jedzenia w tytanie. Możemy wrzucić tytan do jedzenia. Wytnij kilka pasków i wrzuc je do kotła. Podziela w ten sam sposób.

— No, niech mnie diabli — odparł van Riebeek. — Nie wpadłem na to. Na pewno nikt inny też nie wpadł.

Doktor Jan Christiaan Hoenveld był oburzony, boleśnie rozczarowany i zakłopotany — najbardziej jednak oburzony.

Przyjemnie było wykryć nieznaną związek biochemiczny, zwłaszcza jeśli znaleziono go niespodziewanie w znanym, od dawna wytwarzanym i szeroko rozpowszechnionym towarze handlowym. Rozumiał, jak to się stało. Był to uboczny skutek któregoś procesu wytwórczego. Skoro produkt okazał się bezpieczny i pożywny dla ludzi oraz innych form życia o podobnej biochemii i metabolizmie, nikomu nie przeszkadzał, dopóki

pewne zwierzątka — nie, istoty rozumne, zostało to naukowo dowiedzione — odkryły smakiem jego brak. Podobne historie zdarzają się ciągle. Czuł dumę ze swego odkrycia, zamierzał nazwać nową substancję hoenveldyną. Mógłby też wynaleźć sposób na jej zsyntetyzowanie, lecz z wykorzystaniem odpowiednich metod naukowych zajęłoby to ponad rok. Wiedział o tym i wszystkim to powtarzał.

A teraz, w ciągu jednego dnia, zdołał ją zsyntetyzować zwykły amator, kompletny laik, dyletant. I to nie w laboratorium, lecz w kuchni, wyposażonej nie w aparaturę naukową, tylko w stary, pocięty rondel!

Najgorsze, że ten nieuk, ten szarlatan, był jego chlebodawcą. Praw prezesa Kompanii Zaratustra nie można tak po prostu lekceważyć. A szczególnie nie powinien tego robić pracownik naukowy.

No trudno, Grego znalazł to, czego szukał, można przestać się tym martwić. Jest poważne zadanie do wykonania — systematyczne, długofalowe studium na temat różnic między biochemią zaratustrańską a terrańską. Różnice były drobne, ale istniały, i musiały być poznane, określone za pomocą systematycznych metod naukowych.

A oni teraz mu kazali znaleźć w ciemno rozwiązanie problemu śmiertelności młodych Kudłaczy i uszkodzeń płodu. Nie wiedzą nawet, czy ten problem faktycznie istnieje. Mieli do dyspozycji jeden, dosłownie jeden przypadek — ów sześciomiesięczny embrion, który przyniosła Andrews — a już sypali mnóstwem niepotwierdzonych teorii Gerda van Riebeeka, czysto spekulacyjnych wniosków. Kazali mu sprawdzić, czy spożywanie krewetek powoduje uszkodzenia płodu stwierdzone przez nich na podstawie jedyne go przypadku i całej masy teorii. Kto wie, czy po latach obserwacji setek przypadków nie znalazłyby potwierdzenia...

Wstał z krzesła za biurkiem w rogu pracowni i przeszedł się powoli wzdłuż stołów laboratoryjnych. Dziesięcioro mężczyzn i kobiet, ośmioro pracujących nad nowym projektem, rozpoczętym w czasie, kiedy młody van Riebeek ruszył w pogoń za swoją fatamorganą, odciągniętych od

ważnych, planowych prac badawczych. Zatrzymał się obok stołu, przy którym pracowała młoda kobieta.

— Panno Tresca, nie może pani trzymać warsztatu pracy w lepszym porządku? — zbeształ ją. — Rzeczy powinny leżeć na swoim miejscu. Nad czym pani pracuje?

— Ach, tknęło mnie pewne przeczucie, i teraz je sprawdzam, chodzi o tę hokfuzynę.

Przezucie! Na tym polegał problem z centrum naukowym, za dużo przeczuć i za mało solidnej teorii.

— No o tę historię z tytanem. Nazwę zaproponował pan Grego, składa się z pary wyrazów w języku Kudłaczy, *hoksu fusso*, cudowne jedzenie. Tak określają Pezeter Trzy.

Hokfuzyna, zaiste. A teraz wzięli się do zaśmiecania słownictwem Kudłaczy terminologii naukowej.

— No dobrze, niech pani zostawi to przeczucie — polecił. — Mamy sporo próbek materii organicznej, krwi, wydzielin, hormonów, tkanek ciężarnych samic Kudłaczy, które każą nam poddać analizie. Nie sądzę, by miało to więcej sensu niż pani przeczucie, ale żądają ponoć natychmiastowej analizy. I proszę doprowadzić do ładu ten rozgardiasz na pani stole. Ile razy mam pani powtarzać, że porządek to najważniejsza zaleta w pracy naukowej?

16.

Znajdowali się w salonie Jacka, pokój wyglądał prawie tak samo jak owego wieczora, kiedy widział go po raz pierwszy Gerd van Riebeek. Gerd, Ruth i Juan Jimenez przylecieli wówczas zobaczyć Kudłaczę i nie mieli zielonego pojęcia, że w grę wejdzie legalność koncesji Kompanii. Zagracające salon nowe wyposażenie biurowe zniknęło w ciągu dwóch tygodni, które Gerd i Ruth spędzili w Mallorysport. Zostały tylko solidne, wygodne meble, własnoręcznie wykonane przez Jacka. Na podłodze leżały skóry piekielniaka, chochlika stepowego i trawożera, a spod stojaka na broń wystawało kłębowisko pościeli.

Było ich tylko pięcioro, jak tamtego wieczora przed trzema miesiącami, a może trzema wiekami. Juan Jimenez i Ben Rainsford byli nieobecni, przebywali w Mallorysport, ale zastąpili ich Pancho Ybarra, siedzący wygodnie w jednym z głębokich foteli wypoczynkowych, i Lynne Andrews, która usadowiła się na sofie obok Ruth. Jack siedział w fotelu za swoim biurkiem, starając się powstrzymać Dzidziusia na swoich kolanach od wchodzenia mu na głowę. Na środku podłogi dorosłe Kudłaczę — wyłącznie rodzinka Jacka, to było ich miejsce i inne nie próbowały się tu wdzierać — bawiły się różnymi zabawkami sprowadzonymi z Mallorysport. Takimi, jakie lubią Kudłaczę, wymagającymi inteligencji modelami do składania według kształtów i barw.

Gerd cieszył się, że dały sobie spokój z modelem cząsteczki. Przez ostatnie dwa tygodnie obejrzał tyle modeli cząsteczkowych, że wystarczy mu do końca życia.

— I nie możemy na to poradzić nic a nic? — spytała Lynne.

— Niestety. Nikt nie może na to poradzić. Mieszkańcy Mallorysport poniechali starań. Wciąż trwa śledztwo, ale tylko po to, aby móc ułożyć

naukowo ściśle epitafium dla rasy Kudłaczy.

— Nie można odwrócić tego procesu?

— On jest nieodwracalny — odpowiedziała jej Ruth. — Problem nie leży w diecie, środowisku ani w czynniku zewnętrznym. Tylko w tym hormonie, NFMP, który wytwarzają w swoich organizmach. Hamuje prawidłowy rozwój embrionu. Nie możemy nawet skorygować tego chirurgicznie w przypadkach indywidualnych. Usunięcie gruczołów, które go wydzielają, równałoby się sterylizacji.

— No cóż, on nie zawsze działa w ten sposób — oznajmił Jack, unosząc Dzidziusia nad głowę. — Nie podziałał w przypadku tego młodzieńca.

— Działa widocznie w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Mieliśmy na razie dziesięć porodów, jeden normalny i zdrowy, pozostałe przedwczesne i defektywne: martwe płody bądź też żywe, które zmarły w ciągu kilku godzin.

— Są jednak wyjątki, obecny tutaj Dzidzius i noworodek, który przyszedł na świat w chacie Kudłaczy — powiedziała Lynne. — Czy możemy ingerować dla zwiększenia liczby owych wyjątków?

— Pracują nad tym, ale bez większego przekonania — odparł Gerd. — Samice Kudłaczy mają cykl menstruacyjny i rytm płodności, tak jak *Homo sapiens terra*, i najwyraźniej wydzielanie NFMP jest również cykliczne. Kiedy jedno jest niezgodne w fazie z drugim, mamy do czynienia z normalnym, zdolnym do życia płodem. Nie zdarza się to zbyt często i ingerować należałoby indywidualnie, wobec każdej samicy z osobna. Nie wiadomo, jak stwierdzić, czy jest to wykonalne.

— Ależ Gerd, według mnie to nie ma sensu — zaprotestował Pancho. — Wiem, „sens” to jedynie zracjonalizowana ignorancja, i nie jest to moja dziedzina, jeśli wszakże problem z hormonem jest cechą gatunkową, to musi być ona dziedziczna, a więc musi występować dziedziczna skłonność do poronień oraz przedwczesnych i defektywnych urodzeń, do śmiertelności młodych. Widzisz w tym jakiś sens?

— No cóż, na pozór nie. Nie znamy jednak wcale historii rasy Kudłaczy i bardzo słabo historię tej planety. Załóżmy, że pięćdziesiąt tysięcy lat temu żyły na niej miliony Kudłaczy, załóżmy też, że pięćdziesiąt tysięcy lat temu warunki środowiskowe były całkowicie odmienne. Hormon NFMp rozwinął się w toku ewolucji, aby zaspokoić jakąś środowiskową potrzebę warunkującą przetrwanie, nieznaną element środowiska, może składnik diety, który już zniknął, powstrzymywał hormon od szkodliwego oddziaływania na nienarodzone Kudłacze. Raptem środowisko uległo zmianie — zlodowacenie, ustąpienie lodu, zmiana poziomu morza, potrafię sobie wyobrazić kilkanaście innych czynników. Przystosowane do warunków pierwotnych nie zdążyły zaadaptować się do nowych. Zetknęliśmy się z tym na każdej planecie, jaką badaliśmy, znamy setki podobnych przypadków na samej Terze. Kudłacze wpadły po prostu w genetyczny potrzask, z którego nie mogą się wydostać, a my nie możemy im w tym pomóc.

Popatrzył na nie, na sześcioro małych istot, dobierających pracownie kolorowe klocki, układających nikomu niepotrzebną, zachwycającą „ładną rzecz”. Szczęśliwe w nieświadomości losu swojej rasy.

— Gdybyśmy wiedzieli, ile dzieci rodzi przeciętnie samica w całym swoim życiu i ile z nich jest teraz w ciąży, to sądzę, że moglibyśmy obliczyć to matematycznie. Dziesięcioro małych Kudłaczy, dziewięcioro małych Kudłaczy, ośmioro małych Kudłaczy — i w końcu ani jednego małego Kudłacza.

Kudłaczek pomyślał, że rozmawiają o nim i podniósł pytająco wzrok.

— No cóż, nie znikną wszystkie z dnia na dzień — stwierdził Jack. — Spodziewam się, że ta gromadka będzie na moim pogrzebie, że Kudłacze nie wyginą, dopóki jedno z was będzie przy życiu, a także później. Za parę milionów lat, jak sądzę, nie będzie już w ogóle żadnych ludzkich istot. Po prostu okazujemy jak najwięcej serca tym, które mamy, i dajmy im tyle

szczęścia, ile potrafimy... Tak, Dzidziusiu, możesz usiąść na głowie Papcia, jeśli chcesz.

17.

Najlepszy czas na telewizyjne przemówienia polityczne przypadał między dwudziestą a dwudziestą pierwszą, kiedy ludzie odpoczywali po obiedzie i nie zaczęli jeszcze wychodzić z domu bądź przyjmować gości. Była to trochę późna pora dla kontynentu Beta i zupełnie nierealna dla Gammy, choć na Deltę i Epsilon, leżące bardziej na zachód, można było dotrzeć dzięki nocnym powtórkom, a około osiemdziesiąt procent mieszkańców planety koncentrowało się tutaj, na kontynencie Alfa. Ostatnio Hugo Ingermann miał trudności z wejściem na antenę o tym czasie. Pora od dwudziestej do dwudziestej pierwszej, odpowiadano mu zawsze, jest już zarezerwowana. Okazywało się zwykle, że dla Rządowej Ligi Obywatelskiej — o której wszyscy wiedzieli, choć nie potrafili tego udowodnić, że jest manipulowana przez Leslie Coombesa i Victora Grego — albo dla Bena Rainsforda, szukającego wykrętów dla swego rządu, czy też na wykłady o pielęgnacji i żywieniu Kudłaczy. Tym razem jednak ktoś najwyraźniej pokpił sprawę. Tym razem udało mu się dostać termin dwudziesta zero zero—dwudziesta pierwsza zero zero. Z przetwornika akustycznego dobiegł głos spikera stacji telewizyjnej.

— ...teraz ważna wiadomość dla wszystkich mieszkańców kolonii, na mocy Decyzji Pendarvisa, korzystając po raz pierwszy z uprawnień demokratycznego samorządu. Głos, który państwo za chwilę usłyszycie, należy do czcigodnego Hugona Ingermanna, organizatora i przywódcy Partii Planetarnej Pomyślności. Mecenasi Ingermann...

Zapaliła się zielona lampka i zajaśniał monitor kontrolny. Mecenas podniósł rękę na powitanie.

— *Moi... przyjaciele!* — rozpoczął.

Frederica Pendarvisa ogarniał narastający gniew. Atak nie był bynajmniej skierowany przeciw organizacyjnej abstrakcji, Biuru Adopcyjnemu dla Autochtonów, tylko przeciw jego żonie, Claudette. On zaś brał to do siebie, a przecież sędzia nie powinien niczego brać do siebie. A jakże, patrzył w tym momencie na pulchnego mężczyznę o dobrotliwej twarzy na ekranie, na jego fałszywe niebieskie oczy, i zastanawiał się, kogo wysłać do niego jako sekundanta. Pojedynkowanie się nie było zabronione na Zaratustrze, podobnie jak na większości nowych planet, ale sędziowie się nie pojedynkowali.

Najgorsze, myślał, że kiedy następnym razem przyjdzie mu orzekać przeciw Ingermannowi w sądzie, Ingermann nie zapomni stworzyć wrażenia — za pomocą jakiejś insynuacji, której nie będzie można uznać za jawne lekceważenie — że jest to skutek osobistej zemsty.

— Mamy do czynienia z haniebnym procederem — oznajmił Ingermann. — Cuchnie w nim od protekcji, fałszu, tendencyjności klasowej. Wpłynęło łącznie tysiąc dwieście wniosków. Ponad dwieście z miejsca odrzucono, często na podstawie absolutnie błahych i obraźliwych zarzutów...

— Niestabilność umysłowa bądź emocjonalna, niezdolność do utrzymania lub zapewnienia opieki Kudłaczowi, brak odpowiedzialności, zły charakter, nieodpowiednie warunki mieszkaniowe — powiedziała Claudette, która też zaczęła się już irytować.

Pierrot i Kolombina, które bawiły się na podłodze długą wstęgą Möbiusa wykonaną przez kogoś z paska, podniosły szybko wzrok, ale doszedłszy do wniosku, że Mamcia gniewa się tylko na tego człowieka na ekranie, wróciły do poszukiwań drugiej strony wstęgi.

— Spośród tysiąca wnioskodawców — ciągnął Ingermann — zaspokojono zaledwie trzystu czterdziestu pięciu, choć od założenia biura adopcyjnego sprowadzono do miasta pięćset sześćdziesięcioro sześcioro Kudłaczy. Sto siedemdziesiąt osób otrzymało po jednym. Sto pięćdziesiąt

dwie — po dwoje. A osiemnaście szczególnie uprzywilejowanych osób dostało łącznie aż osiemdziesiąt cztery Kudłacze.

Niemal wszystkie trafiły do społecznych bądź politycznych prominentów, ludzi bardzo bogatych. Możecie machnąć na nie ręką, biedak nie ma żadnych szans. Spójrzcie, kto otrzymał Kudłacze według nowego prawa, jeśli dekrety wydane siłą oręza gubernatora zasługują na to miano. Pierwsze dokumenty adopcyjne wystawiono — wiecie komu? — Victorowi Grego, prezesowi Niekoncesjonowanej już Kompanii Zaratustra. Następnym dwoje trafiło do Claudette Pendarvis, małżonki najwyższego sędziego. Kim jest ta pani poza tym? Szefem biura adopcyjnego, ma się rozumieć. Spójrzcie na pozostałe nazwiska! Dziewięćdziesiąt procent z nich to grube ryby Kompanii Zaratustra. — Podniósł dłonie, jakby chciał powstrzymać falę słusznego oburzenia. — Nie będę twierdził, a nawet zakładał, że faktycznie mamy do czynienia z korupcją bądź aferą łapówkową...

— No, lepiej uważaj, do diabła! Bo nie wytoczę ci procesu, po prostu cię zastrzelę — warknął Pendarvis.

— Ja nie — powiedziała spokojnie jego żona. — Tylko mu odpowiem. Pod prawdometrią, której to Hugo Ingermann nie ośmieli się poddać.

— Claudette! — Sędzia był wstrząśnięty. — Zrobiłabyś to?! Przed kamerami telewizyjnymi?

— Przed kamerami. Nie możesz ignorować tego rodzaju rzeczy. W przeciwnym wypadku potwierdzasz jedynie domysły. Na potwarz istnieje tylko jedna odpowiedź — dowód prawdy.

— A kto za to wszystko zapłaci? — pytał z ekranu Ingermann. — Rząd? Kiedy komodor Napier pod groźbą bagnetów sprezentował nam swój rząd oraz tego gubernatora, na koncie kolonii w Banku Mallorysport znajdowało się dokładnie pół miliona soli. Od tego czasu gubernator Rainsford pożyczył około pół miliarda soli z Kartelu Bankowego. W jaki sposób Bennett Rainsford zamierza je spłacić? Odbierając je tobie, mnie i nam

wszystkim, jak tylko zwoła Legislaturę Kolonii, aby przypieczętowała jego żądania. A czy wiecie, na co on wydaje wasze miliony? Na projekt zwiększenia wskaźnika urodzeń Kudłaczy, tak że będą się coraz liczniej mnożyć, jego przyjaciele wezmą je sobie do domu, a rachunek przyślą wam do zapłacenia...

— Bezczelny kłamca, do diabła! — zawołał Victor Grego. — Poza drobnymi pracami, jakie Ruth Ortheris i jej mąż oraz Pancho Ybarra i Lynne Andrews wykonują u Hollowaya, koszty badań nad śmiertelnością noworodków ponosi Kompania i będę musiał wytłumaczyć się z tego przed akcjonariuszami.

— A może wykorzystać to dla reklamy? — spytał Coombes.

— Ty jesteś ekspertem od polityki, co o tym sądzisz?

— Czemu nie? Myślę, że to by nam pomogło, a także Rainsfordowi. Ale nie róbmy tego osobiście. Najlepiej, jak szepnę słówko Gusowi Brannhardowi i nakłonię go, żeby doradził Hollowayowi zrobić przeciek do mediów.

— Agencje wyślą ludzi do pani Pendarvis po oświadczenie. Ona zna fakty. Niech ona to powie.

— On robić mowa o Kudłacze? — zapytał Diament, który wpatrywał się w Ingermanna jak zafascynowany.

— Tak. On nie lubić Kudłacze. Zły Duży, *tosz-ki Hadżdża*. Papcio Vic go nie lubić.

— Ani Wujko Leslie — dodał Coombes.

Ahmed Khadra z uczuciem pogardy dmuchnął dymem w twarz na ekranie. Hugo Ingermann mówił dalej:

— Skoro więc kilku polityków i szefów Kompanii dostaje wszystkie Kudłacze, to dlaczego mają za to zapłacić szarzy obywatele planety, a nie oni? Niech płacą za dokumenty adopcyjne, powiedzmy pięćset do tysiąca soli. Stać na taki wydatek każdego, kto dotychczas wziął Kudłacza. Nie

pokryje się tą drogą wszystkich kosztów Komitetu do spraw Autochtonów, ale byłoby to już coś...

A więc o to chodzi. Legalną drogę otrzymywania Kudłaczy uczynić kosztowną. Czarny rynek nie może konkurować z bezpłatną adopcją, ale pozwólmy biuru adopcyjnemu liczyć pięćset soli za każdego...

— Do tego zmierzasz, ty Khoogrysynu? Do stworzenia konkurencyjnego rynku.

18.

— Dowiedział się pan tego od kogoś z mojego laboratorium? — poskarżył się doktor Jan Christiaan Hoenveld. — Od Charlotty Treski, prawda?

Rozmawiał ze swego prywatnego kącika w rogu pracowni biochemicznej. Przez szybę za plecami Hoenvelda Juan Jimenez widział ludzi zajętych pracą przy stołach, a wśród nich, jak sądził, swoją informatorkę. Przez chwilę nie zwracał uwagi na ton i manieri starego naukowca.

— Zgadza się, doktorze Hoenveld. Poznałem pannę Trescę na koktajlu wczoraj wieczorem. Ona i jacyś ludzie z centrum naukowego omawiali różne fazy badań nad Kudłaczami. Wspomniała o odkryciu hokfuzyny, czy czegoś bardzo do niej podobnego, w przewodach pokarmowych krewetek. To było tydzień temu, natychmiast zgłosiła panu swe odkrycie i sądziła, że poinformował mnie pan o nim. Otóż, chciałbym wiedzieć, dlaczego pan tego nie zrobił?

— Ponieważ nie było tego warte — rzucił oschle Hoenveld. — Po pierwsze, nie miała prawa w ogóle zajmować się krewetkami, ani hokfuzyną — omal nie wypluł tego słowa z pogardą. — Powinna szukać hormonu NFMP w kupie jelit i flaków, które zwałacie do mojego laboratorium z całej planety. Po drugie, to była tylko śladowa ilość tytanu, którym prawdopodobnie sama zanieczyściła próbkę. To nieuleczalnie beztroski i niechlujny pracownik. A wreszcie... — Hoenveld zaczął się wściekać. — Jestem ciekaw, kto dał panu prawo wypytywać moich pracowników laboratoryjnych za moimi plecami...

— Jest pan ciekaw? Otóż to nie są pańscy pracownicy, doktorze Hoenveld, to pracownicy Kompanii Zaratustra, tak samo jak pan. Czy ja. A laboratorium biochemiczne nie jest pańskim prywatnym folwarkiem.

Wchodzi ono w skład centrum naukowego, którego szefem jestem ja, i z którego to miejsca różnica między panem a Charlottą Trescą jest widoczna gołym okiem. Czy wyrażam się jasno, doktorze?

Hoenveld patrzył na Jimeneza, jakby mu pistolet wybuchł w rękę. W istocie Jimenez sam się trochę sobie dziwił. Miesiąc temu nie śmiałby rozmawiać z kimkolwiek takim tonem, a już najmniej z człowiekiem o tyle lat starszym od siebie jak Hoenveld, z człowiekiem o jego reputacji.

Ale jako szef wydziału musi dbać, żeby praca szła bez zakłóceń, wydział zaś może mieć tylko jednego szefa.

— Dobrze wiem o pańskim niedawnym i nagłym awansie, doktorze Jimenez — odpowiedział kwaśno Hoenveld. — Ponad głowami kilkunastu starszych od siebie osób.

— Łącznie z panem. No cóż, właśnie zademonstrował pan powód, dla którego pana pominięto. Wracając do sprawy, żądam pracy i wyników, a jeśli pan jej nie potrafi albo nie chce wykonać, z łatwością mogę awansować kogoś na pańskie miejsce.

— A cóż ja innego robię, pańskim zdaniem? Każdy strażnik leśny i myśliwy z listy płac Kompanii strzela we wszystko, co się rusza, od piekielniaka i dzikiego trawożera do myszy polnych, a potem zasypuje przewodami pokarmowymi i rodnymi moje laboratorium — przepraszam, chciałem powiedzieć, stanowiące własność Niekoncesjonowanej Kompanii Zaratustra.

— Czy znalazł pan wśród nich ślad hormonu NFMp?

— Nie. Nie posiadają gruczołów do jego wydzielania, mam na to świadectwo specjalistów od anatomii porównawczej ssaków.

— No to proszę przestać szukać, natychmiast odwołam zbieranie próbek. Żądam przeprowadzenia analizy krewetek i chcę wiedzieć, co w nich znalazła panna Tresca, czy to jest faktycznie hokfuzyna albo substancja do niej podobna, czy tylko śladowe ilości tytanu. Poza tym chcę wiedzieć, jak się dostaje do organizmu krewetki i gdzie się koncentruje.

Sugerowałbym — poprawka, polecam — aby wyznaczyć do tej pracy pannę Trescę, i żeby meldowała o wynikach bezpośrednio mnie.

— Ernst, co myślisz o Chrisie Hoenveldzie? — spytał Victor Grego.

Mallin zmarszczył brwi, przyjmując swój standardowy wyraz twarzy *dobrze się zastanów i wszystko przemyśl*.

— Doktor Hoenveld to wybitny uczony. Ma encyklopedyczną wiedzę o przedmiocie, nieomylną pamięć i niewyczerpaną ochotę do pracy.

— To wszystko?

— Tyle nie wystarczy?

— Nie. Komputer ma to wszystko, i to w większym stopniu, a nie potrafiłby dokonać prawdziwego odkrycia naukowego przez sto milionów lat. Komputerowi brakuje wyobraźni, tak samo jak Hoenveldowi.

— Cóż, ma jej bardzo mało, przyznaję. Dlaczego pytasz o niego?

— Juan Jimenez ma z nim kłopoty.

— Wierzę — odparł Mallin. — Hoenveld posiada jedną cechę, której nie ma komputer. To egoista. Jimenez skarży się na niego?

— Do diabła, nie, Juan kieruje centrum naukowym, nie wołając na pomoc Wielkiego Brata. Wiem to z nasłuchu w damskiej toalecie i kąciку z kawą, gdzie mam wspaniałe wtyczki. Juan utarł mu nosa, świetnie sobie radzi.

— No, a co z hormonem NFMP?

— Nie możemy nigdzie go znaleźć, na podprzestrzeń. Kudłacze wytwarzają go po prostu we własnych organizmach i doprawdy nie wiadomo dlaczego. Wydaje się, że ma to coś wspólnego z układem trawiennym. Stamtąd dostaje się do obiegu krwi, a wraz z nią do gruczołów płciowych u obu płci. Trzydzieści sześć urodzeń, jak dotąd, trzy żywe.

Z ogrodu za oknem dolatywała wesoła paplanina głosów Kudłaczy. Do rozmów pomiędzy sobą korzystały z kudłaczofonów, chciały mówić tak samo jak Hadźdza. Biedne, małe niedobitki rasy skazanej na zagładę.

Ta diabelska akcja zaczyna się rozwijać ponad miarę, myślał Jack Holloway. Miesiąc temu przebywali tu tylko Gerd i Ruth, Lynne Andrews i Pancho Ybarra oraz ludzie, których przyprowadził George Lunt po przeniesieniu się z policji. Urządzali sobie koktajle przed kolacją, jedli przy wspólnym stole, a potem odbywali wieczorki dyskusyjne i każdy wiedział, co robi drugi. I było tylko czterdzieści albo pięćdziesiąt Kudłaczy, poza jego rodziną, George'a oraz Gerda i Ruth van Riebeeków.

Teraz Gerd miał trzech asystentów, a Ruth rzuciła pracę nad psychologią Kudłaczy i pomagała Jackowi we wszystkim, co robił i czego nie był zupełnie pewien. Nie był już zupełnie pewien niczego, co robili inni. Pancho praktycznie krążył tam i z powrotem między obozem a Mallorysport, Ernst Mallin zaś przylatywał co najmniej raz na tydzień. Śmieszne, zawsze uważał Mallina za sztywnego, kanciastego drania, a teraz spostrzegł, że go lubi. Nawet Victor Grego zjawił się pewnego weekendu i przypadł wszystkim do gustu.

Lynne też miała kilku asystentów oraz szpital i klinikę, mieli również szkołę dla Kudłaczy, gdzie uczono je lingua terra i używania kudłaczofonów, a także dziwnych zwyczajów Hadźdza. Kierowała nią, albo tak się jej zdawało, pewna stara kwoka, którą Ruth porwała ze szkolnictwa w Mallorysport. Prawdę mówiąc, rządy w szkole sprawowali Kudłaczek, Ko-ko, Kopciuszek oraz Bonnie i Clyde.

A Jack Holloway i George Lunt nie mogli już pokrzykiwać na siebie wzajemnie, bo ich położone na przeciwległych końcach długiego baraku gabinety były oddzielone i odseparowane biurem długości czterdziestu metrów, wypełnionym stołami, maszynami biurowymi, robotami wykonującymi pracę urzędniczą oraz pracującymi razem z nimi ludźmi. Holloway dorobił się już asystentki, która miała również własną sekretarkę, a przynajmniej stenografistkę.

Do gabinetu wszedł Gerd van Riebeek, rzucając kapelusz na szczyt regału z mikroksiążkami i odpinając pistolet.

— Cześć, Jack. Co nowego? — zapytał.

Gerda i Ruth nie było przez ponad tydzień, przebywali na północy. Musiało być wesoło, tylko ich dwoje oraz Kompleks, Superego, Al Capone i Jane Panikara. Biwakowali na promie Gerda i wizytowali posterunki, które Lunt rozmieścił wzdłuż skraju rozległych lasów.

— Sam chciałem cię o to zapytać. Gdzie Ruth?

— Zostanie jeszcze przez tydzień na plantacji Kirtlanda, razem z Superego i Kompleks, jest tam od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu Kudłaczy. Pomaga ludziom Kirtlanda radzić sobie z nimi, ucząc je nie niszczyć pędów trzciny cukrowej. Kirtland poniósł duże straty w zasiewach poczynione przez *zatku*. Co słyhać w Mallorysport?

— No cóż, nigdzie śladu NFMP, ale chyba znaleźli coś ciekawego, jeśli chodzi o krewetki.

— Znowu ten sam temat? — Gerd słyszał już o rzekomej hokfuzynie. — Doszli już, co to jest?

— To nie hokfuzyna, ale dość złożona sól tytanowa. Krewetki przyswajają tytan, przede wszystkim w mchu, grzybach i tego rodzaju pożywieniu. Tytan występuje w ilości około dziesięciu atomów na tonę pokarmu. Tyle że gromadzi się w organizmie, najwyraźniej w tym ich jelicie środkowym. Mam obszerną i długą notatkę na temat roli, jaką spełnia tam tytan. Kudłacze zapewne przetwarzają sól tytanową w układzie trawiennym na inny związek. Jakąkolwiek rolę on spełnia, hokfuzyna robi to chyba o wiele lepiej. Wciąż nad tym pracują.

— Kudłacze zawsze jadły krewetki, ale dopiero od wyklucia się najnowszego pokolenia pseudoskorupiaków, tej wiosny, mają ich tyle, ile zapragną. Ciekawe, czym się żywiły przedtem, w górach na północy?

— Cóż, znamy wszystko, czym się żywiły, łącznie z *zatku* i pokarmami otrzymywanymi od nas. Zwierzętami na tyle drobnymi, że dawały się zabić pałką, a także owocami, ptasimi jajami, tymi małymi żółtymi jaszczurkami, pędrakami.

— Co robią komandosi Paine’a w górach na północy, poza szukaniem nie istniejących łowców Kudłaczy?

— Chyba nic poza tym. Latają na patrole, robią zdjęcia, mapy. Ponoć na północ od Działu Wodnego żyje masa Kudłaczy, które nie zaczęły jeszcze schodzić na południe, może nigdy nie słyszały o obfitości *zatku*.

— Udam się w góry, Jack. Chcę je zobaczyć, sprawdzić, czym się żywią.

— Nie spiesz się, odłóż to na tydzień, chcę się zabrać razem z tobą. Mam jeszcze do wyjaśnienia całe mnóstwo spraw i jutro muszę lecieć do Mallorysport. Casagra mówi nieustannie o odwołaniu Paine’a oraz jego ludzi i pojazdów. Wiesz, w jakim położeniu znajdziemy się wówczas.

Gerd skinął głową.

— Przyjdzie nam podwoić siły SZFT. Tylko tyle może uczynić George, jeśli chce utrzymać posterunki na skraju wielkich lasów i inspekcję z powietrza w krainie rolniczej bez konieczności patrolowania również na północy.

— Nie wiem, jak zdołalibyśmy opłacić i wyposażyć strażników, gdyby nawet udało nam się ich zwerbować. Korzystamy już z przyszłorocznego budżetu. To następna sprawa, o której będę musiał porozmawiać z Benem. Musi nam dać więcej pieniędzy.

— Niech to diabli, nie mam dla niego pieniędzy!

Ben Rainsford powiedział to głośno i cierpko, następnie umilkł, dmuchając ze złością dymem z fajki, który kłębił się i czerwieniał w łunie zachodzącego słońca. Musi się pilnować. Ktoś usłyszy, że mówi sam do siebie, po budynku rozejdą się plotki i nazajutrz całe Mallorysport będzie opowiadało, że gubernator Rainsford zwariował. A jeśli nawet, nikogo to nie zaskoczy.

Troje Kudłaczy, Flora, Fauna oraz ich przyjaciel Diament zerknęły w górę. Miały w rękach mnóstwo deseczek ogrodniczych i budowały sobie małą altankę. Zorientowawszy się, że nie kieruje tych słów do nich, powróciły do pracy. Słońce poszło już spać i niebo powoli gasło. Chciały

skończyć przed zapadnięciem ciemności. Kudłacze, podobnie jak gubernatorzy kolonii, były pogodzone z faktem, że niekiedy brakuje im czasu.

Czas płynął dla Rainsforda bardzo szybko. Minęła już więcej niż połowa z dziewięćdziesięciu dni otrzymanych od Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra na przejęcie wszystkich służb publicznych, których nie musiała ona dalej utrzymywać, i nic dotąd nie zrobił. Wybory elektorów do Zgromadzenia Konstytucyjnego odbędą się dopiero za miesiąc. Nie miał pojęcia, ile czasu wybrani delegaci, kimkolwiek będą, poświęcą na wyklócanie się o konstytucję, ani jak prędko po uchwaleniu podatków na konto rządu zaczną wpływać pieniądze.

Szkoda, że nie udało mu się pożyczyć tego pół miliarda soli od Kartelu Bankowego, o których głądził Hugo Ingermann. Później Ingermann był zmuszony zejść do kwoty bliższej aktualnemu zadłużeniu w wysokości pięćdziesięciu milionów oraz wycofać się z kilku przesadnych zarzutów wobec biura adopcyjnego. Wydawało się jednak, że opinia publiczna nadal wierzy w jego pierwotne oświadczenia, lekceważąc późniejsze asekuranckie i dwuznaczne wykręty. Pięćdziesiąt milionów także wydawało się kupą pieniędzy — jak długo nie musiało się z nich utrzymywać rządu ogólnoplanetarnego w sytuacji, kiedy koszty rosły o wiele szybciej, niż oczekiwano.

Na przykład Komitet do spraw Autochtonów. On i Jack bali się, że Siłom Ochrony Autochtonów nie wystarczy stu pięćdziesięciu ludzi, dochodzili do wniosku, że nawet trzy razy więcej byłoby za mało. Przypuszczali kiedyś, że Gerd i Ruth van Riebeek oraz Lynne Andrews i wypożyczony z Floty Pancho Ybarra zdołają przeprowadzić całość prac naukowo-badawczych, teraz zaś prowadzono je także w szpitalu miejskim w Mallorysport i w centrum naukowym na rachunek Kompanii, która oczekiwała rekompensaty. A biuro adopcyjne kosztowało już tyle, ile sięgały pierwotne szacunki dla całego Komitetu.

Przynajmniej mógł coś uczynić dla Jacka. Alex Napier zgodził się, aby ochrona autochtonów i pilnowanie ich na planetach IV kategorii stanowiło normalny obowiązek sił zbrojnych, i nie tylko nie odwołał Jackowi pięćdziesięciu żołnierzy, ale jeszcze powiększył ich liczbę o dalszych dwudziestu.

Raptem Kudłacze przestały się zajmować budowaniem i odwróciły głowy. Diament wyjął kudłaczofon.

— Papcio Vic! — zawołał z radością. — Przyjść, zobaczyć, co my robić. — Flora i Fauna także wykrzykiwały pozdrowienia.

Wstał i ujrzał za sobą niskiego, krępego mężczyznę znanego mu dobrze z aktualności telewizyjnych, a którego dotąd udawało mu się uniknąć. Victor Grego przywitał się z Kudłaczami, a potem rzekł:

— Dobry wieczór, gubernatorze. Przepraszam, że przeszkadzam, lecz Sandra Glenn umówiła się na kolację z potańcówką i obiecałem jej, że sam odbiorę Diamenta.

— Dobry wieczór, panie Grego. — Jakoś nie odczuwał wobec tego człowieka wrogości, której się spodziewał. — Czy mógłby pan trochę zaczekać? Mają ważny projekt — o, tutaj — i chcą go ukończyć przy dziennym świetle.

— Ach tak, rozumiem. — Grego przemówił do Kudłaczy w ich języku i słuchał, kiedy wyjaśniały mu, co robią. — Oczywiście, nie będziemy przeszkadzać.

Kudłacze wróciły do budowy altanki. Rainsford i Grego usadowili się w ogródkowych fotelach, Grego zapalił papierosa. Rainsford patrzył na prezesa Kompanii Zaratustra przyglądającego się Kudłaczom. To nie mógł być Victor Grego, słowa „Victor Grego” stanowiły symbol podłego łajdactwa i bezwzględного egoizmu, a jego gość był miłym, uprzejmym dżentelmenem, kochającym Kudłacze i troszczącym się o swoich pracowników.

— Panna Glenn poszła na tańce z kapitanem Ahmedem Khadrą — powiedział Grego, aby zagaić rozmowę. — To już piąty raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Obawiam się, że wkrótce utracę świetną opiekunkę do Kudłacza wskutek małżeństwa.

— Ja też mam wrażenie, że myślą o sobie poważnie. Jeśli tak, Sandra dostanie dobrego męża. Znam Ahmeda od pewnego czasu, służył na posterunku w pobliżu mojego obozu, na Becie. Szkoda — dodał — że drepcze w miejscu ze śledztwem w sprawie Herckerda i Novaesa. To nie znaczy, że się nie stara.

— Szef mojej straży, Harry Steefer, też drepcze w miejscu z taką samą szybkością — odparł Grego. — Jest gotów zaprzestać poszukiwań, a kiedy Harry Steefer rezygnuje z czegoś, to znaczy, że sprawa jest beznadziejna.

— Czy pańskim zdaniem hipoteza, że ktoś je uczy chwycić swoich ziomeków, może być uzasadniona?

Grego pokręcił przecząco głową.

— Zna pan Kudłacze przynajmniej tak dobrze jak ja, gubernatorze. To już trwa prawie dwa miesiące. Czegokolwiek można wyuczyć Kudłacza, da się to załatwić dużo szybciej niż w dwa miesiące — powiedział. — I nie rozumiem, dlaczego ktoś próbowałby łapać żyjące na swobodzie Kudłacze wbrew surowym przepisom, które pan wydał. Przestępcy podejmują ryzyko tylko w proporcji do zysku, a niemal każdy mieszkaniec Zaratustry może dostać Kudłacza za darmo.

To była prawda. Poza tym nic nie świadczyło o powstaniu czarnego rynku handlującego Kudłaczami, a patrole Jacka nad północnym rejonem kontynentu Beta nie znalazły żadnych dowodów na to, że ktokolwiek je tam łapie.

— Ahmed sądził przez jakiś czas, że chcą Kudłacze eksportować. Łapać je i szmuglować poza Zaratustrę w celu odsprzedaży.

— Wspominał o tym Harry'emu Steeferowi. Również Jack Holloway wypytywał mnie o to, chciał wiedzieć, jak można temu zaradzić.

Odpowiedziałem, że nie da się załadować Kudłaczy na statek Dariusz— Zaratustra w terminalu kosmicznym w Mallorysport. Jak długo zdołamy utrzymać nasz skandaliczny i haniebny monopol na transport kosmiczny, tak długo może pan być spokojny, że ani jeden malec nie opuści Zaratustry.

— Myśli pan, że Ingermann naprawdę maczał w tym palce? — spytał z nadzieją, przypomniawszy sobie autora cytatu.

— Jeśli istnieje czarny rynek handlujący Kudłaczami, to kryje się za nim Ingermann — odparł Grego, jakby stwierdzał prawo naturalne. — Za sześć albo osiem miesięcy zainfekuje tę planetę, wysłuchałem mnóstwo opinii o tym soi-disant^[6] czcigodnym Hugonie Ingermannie i ani jedna nie była pozytywna.

— Ahmed Khadra uważa, że jego ataki na monopol kosmiczny KZ mogą wynikać z chęci znalezienia sposobu na ominięcie waszego nadzoru na tutejszym terminalu i platformie przeładunkowej na Dariuszu. Chodzi mu, rzecz jasna, o rządowy port kosmiczny, ten zaś można by równie ściśle kontrolować...

Grego wahał się przez chwilę, po czym rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał. Pochylił się w stronę Rainsforda.

— Gubernatorze, wie pan przecież doskonale, że w obecnej sytuacji nie możecie zbudować tutaj drugiego portu kosmicznego — stwierdził. — Ingermann również o tym wie. Stawia tę sprawę jedynie po to, aby postawić pana w trudnej sytuacji, a jednocześnie zaatakować Kompanię. Nie oczekuje od pańskiego rządu wzniesienia tu jakichkolwiek urządzeń portowych. Wcale na to nie liczy, on woli je sam postawić.

— A skąd, u diabła, weźmie fundusze?

— Weźmie. Jeśli się nie mylę, właśnie je bierze albo zaraz to zrobi, jak tylko pewien statek wyląduje na Marduku. Mnóstwo przedsiębiorstw żeglugowych chciałoby stanąć na Zaratustrze do współzawodnictwa z Liniami Kosmicznymi *Terra Baldur Marduk*, a kilka poważnych domów eksportowych marzy o tym, by stawić czoło Kompanii w dziedzinie handlu.

W ciągu sześciu miesięcy ktoś się postara zbudować tutaj port kosmiczny. Jeśli uda mu się znaleźć teren. Boję się, że wskutek mojego straszego błędu sprzed ośmiu lat, teren jest do wzięcia.

— Gdzie?

— Tu, na kontynencie Alfa, niecałe dwieście kilometrów od miejsca, w którym siedzimy. Wspaniała lokalizacja na port kosmiczny. Nie było pana wówczas na Zaratustrze, prawda, gubernatorze?

— Zgadza się. Przyleciałem, aż wstyd przyznać, tym samym statkiem co Ingermann, sześć i pół roku temu.

— No cóż, zjawił się pan, i on też, kiedy było już po wszystkim, choć na krótko przed rozpoczęciem boomu imigracyjnego. Kompania nie interesowała się wtedy lokalnym biznesem, pozaplanetarnym handlem mięsem trawożerów. Powstało dużo niezależnych firm, rzemiosło, produkcja żywności i tym podobne interesy, którymi nie chcieliśmy zawracać sobie głowy. Sprzedaliśmy ziemię na północ od miasta w pojedynczych kawałkach o powierzchni dwóch i czterech kilometrów kwadratowych, w sumie około pięciu tysięcy. Potem ustał napływ imigrantów, a wielu z nich przeniosło się gdzie indziej. Po prostu nie mogli znaleźć pracy. Większość firm zbankrutowała. Część fabryk, które były ukończone, funkcjonowała przez jakiś czas, dużą część porzucono w budowie. Trochę ziemi przejęły banki, niemało trafiło w ręce spekulantów, od czasu procesu o Kudłacze Ingermann zdążył uzyskać prawa do dużej części tych obszarów. Nikt inny nie wydaje pieniędzy na nieruchomości od zakończenia procesu, wszyscy liczą na to, że darmo otrzymają całą ziemię, jakiej potrzebują.

— No dobrze, zarobi na niej trochę forsy, ale będą ją kontrolować ludzie, którzy przybędą tutaj z kapitałem, nieprawdaż?

— Oczywiście, tylko że to byłby uczciwy interes, więc Ingermann nie jest tym zainteresowany. On liczy na podwojenie lub potrojenie liczby mieszkańców Zaratustry w okresie najbliższych pięciu lat. Przy

osiemdziesięciu procentach ziemi stanowiących własność publiczną, może ich się zjawić nawet więcej. Większość będą stanowili przyszli wyborcy, Ingermann chce uzyskać kontrolę nad opinią publiczną.

A jeśli dopnie tego... Moja pozycja jest niezagrożona, myślał Rainsford, gubernatorzy kolonii są mianowani i konieczna była aż interwencja wojskowa, aby zdjąć poprzednika i osadzić mnie na urzędzie. Lecz gubernator kolonii musi władać za pośrednictwem i zgodą Legislatury. Myśl o Legislaturze kontrolowanej przez Hugo Ingermanna przyprawiała go o dreszcze. Tak samo, wiedział o tym, jak Victora Grego.

Trzeba wszakże uważać. Grego chciał przywrócić Kompanii dawną, dominującą pozycję, jaką zajmowała na planecie w czasach przed Kudłaczami, a on wciąż usilnie się temu przeciwstawiał.

Było już prawie ciemno. Kudłacze dokonały ostatnich poprawek w ażurowej konstrukcji i rozpychając się przybiegły do nich z żądaniem, aby Papiro Ben i Papiro Vic poszli ją zobaczyć. Poszli, obejrzeni i wyrazili uznanie. Grego wziął na ręce Diamenta, Flora i Fauna poprosiły, aby Ben usadowił się w fotelu i podstawił im kolana do siedzenia.

— Właśnie o to martwię się ostatnio — rzekł, kiedy powrócił na fotel i Kudłacze zaczęły po nim pełzać. — Na wielu starszych planetach występuje przeludnienie, również na Terze słychać powszechne narzekania na ciasnotę. Trzeba się liczyć z wielką falą imigracji w przyszłym roku. Obyśmy zdążyli ustabilizować sytuację, zanim nadciągnie...

Grego milczał jakiś czas.

— Jeśli niepokoi się pan o lecznictwo, opiekę i służby publiczne — odezwał się wreszcie — to proszę o tym na chwilę zapomnieć. Wiem, zapowiedziałem, że za dziewięćdziesiąt dni Kompania przestanie się tym zajmować, ale to miało miejsce zaraz po Decyzjach Pendarvisa i nikt nie wiedział, jak się rozwinie sytuacja. Możemy dalej to prowadzić, co najmniej przez rok.

— Za rok rząd nie będzie miał więcej pieniędzy niż obecnie — odparł Ben. — Zażądacie zapłaty.

— Ma się rozumieć, ale nie będziemy się domagać od Federacji ani złota, ani weksli. Skrypty podatkowe, obligacje, nadania ziemi...

Nadania ziemi, no tak. Prawo nakazywało rządowi kolonialnemu udostępnienie ziemi obywatelom Federacji, ale nie wymagało rozdawania jej za darmo. To może być jeden ze sposobów finansowania rządu.

I jeden ze sposobów wpędzenia rządu w długi przez Kompanię Zaratustra, która chciała wyrównać sobie straty poniesione w następstwie procesu o Kudłacze.

— A może nakłoni pan Gusa Brannharda, aby omówił to z Leslie Coombesem? — zaproponował Grego. — Chyba że ufa pan Gusowi, iż nie wsadzi nóg pańskiego rządu w żaden potrzask, prawda?

— No, ma się rozumieć, panie Grego. Chciałbym panu bardzo za to podziękować. Przejęcie służb publicznych spędzało mi sen z powiek bardziej niż wszystko inne.

A jednak wcale nie odczuwał ani ulgi, ani wdzięczności. Był zakłopotany i zły, bardziej na siebie niż na Victora Grego.

19.

Gerd van Riebeek przykucnął na krawędzi niskiej skały, kręcąc powoli gałką małego ekranu przed sobą. Widok ulegał zmianie, tym razem patrzył przez obiektyw kamery umieszczonej dwadzieścia metrów niżej i pięćset metrów na lewo. Żadnego ruchu prócz kołyszącej się na wietrze gałęzi, która rozpylała postrzępione liście na pierwszym planie obrazu. Jedynymi dźwiękami dochodzącymi z przetwornika akustycznego było delikatne brzęczenie owadów oraz *tyng-tong, tyng-tong* najpewniej żądnego miłości ptaka banjo. Nagle wśród zeschniętych liści poza polem widzenia coś się zaczęło szamotać. Wzmocnił trochę poziom dźwięku.

— Jak myślisz, co to może być?

Obok niego Jack Holloway uniósł się na jedno kolano i wziął do ręki lornetkę.

— Nic nie widać. Próbuje dalej.

Gerd znowu przekręcił gałkę. Ten obiektyw z kolei był umieszczony bliżej gruntu; ukazywał perspektywę drzew oświetlonych kolumnadą promieni słonecznych wśród pni. Naraz usłyszał szelest i kroki, a w słuchawce ultradźwiękowej głos Kudłaczy.

— Tędy. Niedaleko. Znajdź *hatta-zosa*.

Jack spojrzał w dół na otwarte zbocze pod skałą.

— Jeśli to są te głuptaki, to stąd widać sześć osobników — powiedział. — Na pewno gdzieś jest jeszcze tuzin, których nie widać. — Patrzył i słuchał. — Oto i one, nadchodzą.

Kudłacze przestały rozmawiać i zachowując się bardzo cicho, wyszły raptem na otwartą przestrzeń, ośmioro, w jednym rzędzie. Ich broń była dłuższa i cięższa niż pałki do zabijania krewetek Kudłaczy z regionów południowych, miała kształt maczugi, a nie łopatkki, i była zaostzona na

obu końcach. W drugiej ręce trzymały kamienie. Przystanęły, po czym troje cofnęło się w zarośla. Pozostała piątka rozciągnęła się w tyralierę, czekały. Gerd zgasił monitor i przyczołgał się obok Jacka nad krawędź urwiska.

Głuptaków było siedem. Przypominające gryzonie stworzenia o ciemnoszarym futrze, długości trzy czwarte metra, wysokości piętnastu centymetrów, pracowicie rozrywały korę i korzenie młodych drzew. Nic dziwnego, że okoliczne drzewa były takie cienkie, dziwiło tylko, że w okolicy zamieszkaney przez te zwierzęta rosły w ogóle jakieś drzewa. Podniósł kamerę i wycelował ją w głuptaki, filmując kilka ujęć.

— Jeszcze ktoś liczy tutaj na obiad — powiedział Jack, omiatając szklami niebo. — Harpia, kilka kilometrów stąd. Och, i jeszcze jedna. Zostaniemy jakiś czas, nasi przyjaciele mogą potrzebować pomocy.

Pięcioro Kudłaczy na skraju zarośli stało i czekało. Głuptaki nie słyszały ich, cały czas darły i przeżuwały korę oraz kopały ziemię przy korzeniach. Raptem, zatoczywszy krąg, pozostała trójka Kudłaczy znienacka rzuciła się ku nim, zamierzając się pałkami i miotając kamieniami. Kiedy któryś kamień trafił głuptaka i ogłuszył go, jeden z Kudłaczy natychmiast skoczył na niego, rozbijając mu pałką czaszkę. Dwa inne dopadły kolejnej ofiary, powaliły na ziemię i wykończyły pałkami. Napadnięte stworzenia zerwały się do ucieczki, wpadając na tyralierę Kudłaczy czekających po drugiej stronie. Dwa padły od kamieni i zostały dobite pałkami. Reszta wymknęła się. Ósemka Kudłaczy stanęła kołem, wydawało się, że debatowały nad ewentualnym pościgiem, ale zrezygnowały. Miały cztery głuptaki, po połowie na głowę. Będzie to dla nich dobry posiłek.

Przyciągnęły zwierzynę w jedno miejsce i przystąpiły do rozdzierania ciał za pomocą zębów i palców, pomagając sobie wzajemnie rozcinać je na kawałki, obdzierać ze skóry i wyjmować mięso. Do łamania kości używały kamieni. Gerd nie wyłączył kamery, sfilmował całą ucztę.

— Nasza gromadka lepiej zachowuje się przy stole — stwierdził.

— Nasza gromadka dysponuje nożami, które dla nich robimy — odparł Jack. — Poza tym, najczęściej jedzą *zatku*, wyłamują im dolne szczęki i sporządzają z nich widelce. Ale te wyprzedzają nasze pod pewnym względem. Kudłacze żyjące na południe od Działu Wodnego nie polują w grupie.

Dwa punkciki na niebie stawały się coraz większe i bliższe, pojawił się trzeci.

— Musimy coś z tym zrobić — zaproponował, sięgając po strzelbę.

— Tak. — Jack odłożył lornetkę i odbezpieczył karabin. — Niech jedzą jak najdłużej. Za chwilę czeka je ogromna niespodzianka.

Kudłacze wydawały się świadome obecności harpii. Może zaalarmowała je jakaś ultradźwiękowa wibracja skrzydeł, Jack nie miał co do tego pewności nawet przy użyciu aparatu słuchowego. W lesie panował duży hałas w paśmie ultradźwiękowym, a on nie nauczył się dotychczas rozróżniać tych dźwięków. Kudłacze zaczęły jeść coraz szybciej. W końcu jeden pokazał ręką i krzyknął: — *Gotza bizzo!* — *Gotza* było następną miejscową nazwą zoologiczną, którą poznał, aczkolwiek Kudłacze w obozie Hollowaya na ogół mówiły już *hapje*. Biesiadnicy chwycili broń i całe mięso, jakie zdołali unieść, po czym wpadli do lasu.

Pierwszy z wielkich stworów przypominających pterodaktyle unosił się prawie nad głowami obserwatorów, następny leciał w odległości kilkuset metrów, trzeci tuż za nim. Jack usiadł prosto, przełożył rękę za pas karabinu, przycisnął kolbę do policzka i oparł łokcie o kolana. Najbliższa harpia zrobiła brzydkiego fikołka w powietrzu i runęła na ziemię. Druga szybko wykonała przechył, próbując nabrać wysokości, i wtedy trafił ją Gerd. Karabin Jacka zagrzemiał ponownie, trzecia harpia spadła na ziemię, trzepocząc skórzastymi skrzydłami.

W dole panowała cisza, po chwili rozległ się wrzask Kudłaczy:

— Harpie martwe, co to zrobić?

— Piorun, może zabić harpie! Potem może zabić nas!

— To złe miejsce! *Bizzo, fazzu!* — *Fazzu* z grubsza oznaczało „w nogi”. Jack roześmiał się.

— Kudłaczek przyjął to o wiele spokojniej, widząc po raz pierwszy, jak strzelam do harpii — powiedział. — Do tego czasu widział już tyle rzeczy, że nic nie mogło go zdziwić. — Włożył do magazynku dwa nowe naboje. — No cóż, *bizzo, fazzu*, koniec z filmowaniem na dzisiaj.

Wykonali szalupą kilka okrążeń, zbierając rozstawione kamery, a potem wzbili się wyżej i skręcili na południe w stronę grani Działu Wodnego, pasma górskiego, które ciągnęło się niczym pozioma kreska litery H pomiędzy Masywem Zachodniego Wybrzeża a Kordylierami Wschodnimi. Najwyraźniej Kudłacze, przekraczając go, nigdy nie docierały zbyt daleko; język północnych Kudłaczy, chociaż zrozumiały, różnił się wyraźnie od tego, którym posługiwali się przybysze w obozie. Widocznie wieść o obfitości *zatku* nie dotarła tutaj w ogóle.

Rozmawiali o tym, szybując na południe dwieście metrów nad ziemią, zostawiając za sobą pogórze Działu Wodnego i zbliżając się do rzędu pionowych szczytów. Muszą założyć w tutejszych górach stały obóz, nawiązać kontakt z miejscowymi Kudłaczami, zaprzyjaźnić się z nimi, poznać je.

To znaczy, o ile budżet Komitetu Autochtonów na to pozwoli. Poruszyli również ten temat.

Potem dyskutowali, czy zostać w górach jeszcze kilka dni, czy też od razu wracać do obozu.

— Myślę, że lepiej wracajmy — powiedział Jack z pewnym żalem. — Nie ma nas już od tygodnia. Muszę sprawdzić, co się w domu dzieje.

— W razie czego wywołaliby nas przez radio.

— Wiem. Ale uważam, że powinniśmy już wracać. Przelecimy nad Działem Wodnym i rozbijemy obóz po drugiej stronie. Jutro rano ruszymy dalej.

— *Dob'ra, bizzo.* — Skierował szalupę bardziej na lewo. — Polecimy wzdłuż tej rzeki do źródła i przeskoczmy tamtędy.

Ciągnęła się szeroką doliną, zwężając i wznosząc coraz bardziej stromo, a oni szybowali nad lustrem wody. W końcu dotarli do miejsca, skąd wypływała srebrzystym, górskim potokiem z ujścia kanionu, rozcinającego główny masyw Działu. Gerd opuścił szalupę na wysokość kilkuset metrów, zwolnił i wleciał do kanionu. Początkowo był dość szeroki, z piaszczystymi plażami na obu brzegach rzeki, z drzewami zwróconymi tyłem do gór i stromego rumowiska skalnego u podnóża. Spodnia część była zbudowana z granitu, wyżej znajdował się zwietrzały piaskowiec, a kilkaset metrów nad wodą prawie nienaruszony krzemień.

— Gerd, podnieś szalupę trochę wyżej i zbliż się do tego zbocza — powiedział wreszcie Jack. Zmienił pozycję w fotelu i wziął do ręki lornetkę. — Chciałbym mu się lepiej przyjrzeć.

Gerd namyślał się chwilę. Nagle zrozumiał.

— Myślisz o tym samym co ja? — zapytał.

— Tak. O krzemieniu typowym dla kamienia słonecznego. — Jack nie wydawał się specjalnie z tego zadowolony. — Widzisz ten mały występ skalny, mniej więcej w połowie wysokości? Usiądź na nim. Zamierzam rzucić na to okiem.

Trochę szerszy od półki występ skalny był pokryty drobną ziemią, rosło na nim kilka drzewek i rzadkich zarośli. Wyżej wznosiła się stroma ściana z szarego krzemienia. Nie mieli materiałów wybuchowych, ale w zestawie narzędzi znajdował się skaner mikrofalowy i mały młot wibracyjny. Posadzili szalupę na półce i zabrali się do pracy, odłamując i skanując kawałki krzemienia. Po dwu godzinach mieli dwa kamienie słoneczne. Nic szczególnego — nieregularna kulka średnicy siedmiu bądź ośmiu milimetrów oraz mała elipsoida, niecałe dwa razy większa. Lecz kiedy Jack przytrzymał je nad gorącą fajką, rozjarzyły się blaskiem.

— Jaką mają wartość, Jack?

— Czy ja wiem. Niektórzy nabywcy działający na własną rękę mogliby dać za większy od sześciuset do ośmiuset soli. Kiedy Kompania miała jeszcze monopol, płacili czterysta pięćdziesiąt. Na Terze będzie warta dwa i pół tysiąca. Ale rozejrzyj się. Ta warstwa ma grubość stu metrów, ciągnie się do samego szczytu kanionu i prawdopodobnie piętnaście do dwudziestu kilometrów po obu stronach góry. — Wybił tytoń z fajki, przedmuchał cybuch, po czym schował ją do kieszeni. — I to wszystko należy do Kudłaczy.

Gerd parsknął śmiechem na te słowa, po czym przypomniał sobie o czymś. Tutaj, decyzją władzy wykonawczej, rozciągał się Rezerwat dla Kudłaczy. Kudłacze posiadały go na własność i wszystko, co się w nim znajdowało; a rząd i Komitet Autochtonów tylko tym administrowały. Znowu się roześmiał.

— Ależ, Jack! Kudłacze nie potrafią wydobywać kamieni słonecznych, a nawet gdyby potrafiły, nie wiedziałyby, co z nimi robić.

— Owszem. Ale to jest ich ziemia. Tutaj się urodziły i mają prawo tu mieszkać. Poza tym, sami ją im daliśmy, prawda? Należy do nich, razem z kamieniami i całą resztą.

— Ależ, Jack... — Patrzył w górę i w głąb kanionu na szary krzemień po obu stronach. Jak wspomniał Jack, ciągnie się wiele kilometrów wzdłuż zboczy. Nawet zakładając tylko jeden kamień na metr sześcienny krzemienia i ogromną pracę przy wydobyciu... — Chcesz to wszystko zostawić garstce Kudłaczy, aby miały gdzie baraszkować, gonić za głuptakami — i nie wykorzystać kryjącego się w tym bogactwa? — Przeraziła go taka perspektywa. — No jakżeż, one nawet nie wiedzą, że to jest ich rezerwat.

— Wiedzą, że tutaj jest ich dom. Gerd, podobne rzeczy wydarzyły się na innych planetach klasy IV, które skolonizowaliśmy. Wydzielamy tubylcom rezerwat, obiecujemy, że będzie na zawsze ich własnością, terrańskie słowo honoru. Potem znajdujemy coś cennego — złoto na Loki, platynę na

Thorze, wanad i wolfram na Hathorze, azotany na Ygdrassilu, uran na Gimli. Następnie spychamy tubylców do innego, jałowego rezerwatu, a w końcu nie ma dla nich miejsca nigdzie — koniec, kropka. Tutaj tak nie postąpimy, prawda?

— Co zamierzasz? Chcesz to zachować w tajemnicy? — spytał Gerd. — Jeśli tak, wyrzucę po prostu oba kamienie do rzeki i zapomnijmy o wszystkim — ustąpił. — Ale ile czasu upłynie, twoim zdaniem, zanim ktoś inny to odkryje?

— Możemy trzymać ludzi z dala od tego miejsca. Taki jest cel rezerwatu, prawda?

— Potrzebujemy wielu pracowników, aby utrzymać ludzi z dala od rezerwatu, komandosów z desantu Paine'a, strażników z sił ochrony George'a Lunta. Luntowi chyba możemy zaufać. Nie orientuję się, jeśli chodzi o Paine'a. Nikomu poniżej ich rangi nie ufałbym za grosz. Wcześniej czy później ktoś wleci do tego kanionu, zobaczy i ujawni złoże. Wiesz, co się wtedy stanie. — Zastanawiał się przez chwilę. — Dasz znać Benowi Rainsfordowi?

— Wolałbym, Gerd, abyś mnie o to nie zapytał. — Niezdarnym ruchem Jack wyciągnął z kieszeni tytoń i fajkę. — Chyba będę zmuszony. I należy oddać mu te kamienie. Stanowią własność rządu. No dobrze, *bizzo*, lecimy prosto do obozu. — Spojrzał w górę na słońce. — Masz na to trzy godziny. Jutro udaję się do Mallorysport.

— Aż boję się w to wierzyć, doktorze Jimenez — powiedział Ernst Mallin. — Byłoby wspaniale, jeśli to prawda. Jest pan absolutnie pewny?

— Wszyscy teraz jesteśmy pewni, że to właśnie ten hormon, NFMP, uniemożliwia prawidłowy rozwój embrionu — odparł z ekranu Juan Jimenez. — Jesteśmy pewni, że hokfuzyna łączy się destrukcyjnie z NFMP, nawet Chris Hoenveld zaobserwował to zjawisko w próbówce i będzie musiał w to uwierzyć, czy chce, czy nie. Wygląda na to, że hokfuzyna ma również hamujący wpływ na gruczoły wydzielające NFMP. Ale dla

całkowitej pewności będziemy musieli poczekać jeszcze cztery miesiące, dopóki nie przyjdą na świat noworodki poczęte po tym, jak Kudłacze zaczęły jeść Pezeter Trzy. Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli zaczekać, aż samice, którym zaczęliśmy podawać dawki hokfuzyny, zajdą w ciążę i wydadzą na świat potomstwo. Jeśli nie mam absolutnej pewności, to jestem o tym przeświadczony.

— Co pchnęło pańskich ludzi w tym kierunku, doktorze Jimenez?

— Przeczucie — odparł z wesołą miną naukowiec. — Przeczucie dziewczyny z laboratorium doktora Hoenvelda, Charlotty Treski. — Wesoła mina zamieniła się w tubalny śmiech. — Hoenveld wpadł we wściekłość. Że to nie solidna baza teoretyczna, tylko mnóstwo bezpodstawnych hipotez. Wie pan, jak on stawia sprawy metodologii. Musiał jednak uznać rezultaty badań dziewczyny, udało się je bowiem powtórzyć. Odrzuca wszakże całą linię rozumowania.

To oczywiste, umysł Jana Christiaana Hoenvelda mozolił się z trudem, krok po kroku, od A do B, od B do C, od C do D. niesprawiedliwe, aby ktoś mógł przeskakiwać nagle do W lub X i pędzić stamtąd do Z. Ze swej strony Ernst Mallin uznawał przeczucia, wiedział, jak dużo procesów myślowych zachodzi poniżej progu świadomości i jak często ich fragmenty na pozór irracjonalnie sięgają świadomego umysłu. Żałował tylko, że sam tak rzadko doznaje przeczuc.

— Jak ona do tego doszła? — zapytał. — A może to była czysta intuicja?

— Hmm, po prostu przyszło jej do głowy, że hokfuzyna neutralizuje hormon NFMP i zabrała się do pracy — odparł Jimenez. — Wyjaśnia to w ten sposób, że Kudłacze mają silny apetyt na mięso krewetek, wszystkie bez wyjątku. Jest to ich trwała cecha gatunkowa, zgoda?

— Tak, o ile wiem. Nie lubię nadużywać tego słowa, ale powiedziałbym, że instynktowna.

— No właśnie, wszystkie Kudłacze, przynajmniej wszystkie poznane i zbadane osobniki, mają silny apetyt na Pezeter Trzy. Gdy go raz spróbują, jedzą przy każdej okazji. To nie jest wyuczony pociąg, taki jak nasz, powiedzmy, do kawy, tytoniu i alkoholu. Człowiek musi nauczyć się je lubić. Reakcja Kudłaczy na Pezeter Trzy jest natychmiastowa i automatyczna. Zgadza się, doktorze?

— Ach, tak, widziałem kilkoro Kudłaczy kosztujących Pezeter Trzy po raz pierwszy. Można to po prostu nazwać reakcją fizyczną. — Zastanawiał się przez chwilę i dodał: — Jeśli to instynkt, który jest rezultatem doboru naturalnego.

— Właśnie. Argumentowała, że apetyt na związek zawierający tytan, obecny zarówno w krewetkach, jak i w Pezeterze Trzy, wpływał pozytywnie na przeżycie gatunku. Nie odczuwające go Kudłacze wymierały, te zaś, w których rozwinął się on w wyraźny sposób, przeżywały i przekazywały go potomstwu. A więc wzięła się do pracy — mimo gwałtownych oskarżeń Hoenvelda, że marnuje czas — i udowodniła wpływ hokfuzyny na hormon NFMp. Psycholodzy, którzy uznawali teorię cyklicznej produkcji NFMp, rozmiijającej się z cyklem menstruacyjnym i dającej okresowo żywe porody, dochodzą do wniosku, że fluktuacje NFMp nie są wcale cykliczne, lecz wiążą się ze spożywaniem hokfuzyny.

— No cóż, macie sprawę poszlakową. Wydaje się, że poszczególne elementy dokładnie do siebie pasują. Tak jak pan mówi, dopiero za rok będzie można udowodnić jednoznacznie zależności między hokfuzyną a żywymi urodzeniami, ale gdybym lubił hazard, założyłbym się o małą sumkę.

Jimenez wyszczerzył zęby.

— Już to zrobiłem, z doktorem Hoenveldem. Sądzę, że pieniądze mam już w banku.

Bennett Rainsford rozgrzał dwa kamienie słoneczne w dłoniach, następnie potoczył je na biurku niczym kości do gry. Czuł się bardzo

szczęśliwy od chwili, gdy zadzwonił do niego Victor Grego i podzielił się odkryciem centrum naukowego w sprawie hokfuzyny i hormonu NFMp. Byli na właściwej drodze, miał tego pewność, za kilka lat wszystkie dzieci Kudłaczy będą się rodzić żywe i normalne.

A potem, zaraz po lunchu, z kontynentu Beta przyleciał nagle Jack Holloway i wręczył mu te dwa kamienie.

— Nie uda się tego utrzymać w tajemnicy, Jack. Nie można utrzymać w tajemnicy żadnego odkrycia, bo może je powtórzyć inny człowiek i zrobi to, wcześniej czy później. Przypomnij sobie, jak próbowano ukryć sprawę napędu Abotta.

— To jest co innego — upierał się Jack Holloway. — To nie jest prawo naukowe, które ktoś gdzieś może odkryć. To rzecz materialna, znajdująca się w określonym miejscu, i jeśli zdołamy nie wpuścić tam ludzi...

— *Quis custodiet ipsos custodes?* — spytał Ben i uświadomił sobie nagle, że łacina to *terra incognita* dla Jacka. — Kto będzie pilnował pilnujących?

Jack pokiwał głową.

— To samo powiedział Gerd. Tego rodzaju pokusa wystawia moralność człowieka na straszliwą próbę. Wiesz, co się stanie, kiedy to wyjdzie na jaw?

— Będę pod presją, abym otworzył rezerwat dla poszukiwaczy. Ze strony Doe'ów, Roe'ów i innych kumpli Hugona Ingermanna.

Chyba zdołam przeciągać sprawę, dopóki nie zbierze się Legislatura, ale później...

— Nie miałem na myśli presji politycznej. Tylko gorączkę kamieni słonecznych. Dwadzieścia tysięcy ludzi rzuci się tam ze wszystkim, co udźwigną antygravitatory. I wystrzelają wszystko, co się rusza. Im dłużej będziemy to przeciągać, tym gorzej, gdyż za pół roku pojawią się pierwsi imigranci pozaukładowi.

Nie pomyślał o tym. A powinien, bywał na planetach pogranicza, gdzie odkryto wielkie złoża bogactw mineralnych. Żadne skarby Galaktyki nie skupiały tak ogromnej wartości w tak niewielkiej masie jak kamienie słoneczne.

— Ben, zastanawiam się nad czymś — ciągnął Jack. — Nie podoba mi się ten pomysł, ale nie mam innego. Kamienie znajdują się w małej warstwie, liczącej około stu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, na północnym zboczu Działu Wodnego. Powiedzmy, że rząd zbuduje kopalnię w granicach rezerwatu i zacznie wydobywać kamienie słoneczne. Proponuję, żebyś złożył oświadczenie, dopóki nic jeszcze nie przeciekło do opinii publicznej, że rząd odkrył złoża kamienia słonecznego w rezerwacie, że rościcie sobie pretensje do wszelkich minerałów na ziemi Kudłaczy w ich imieniu, oraz że rząd zamierza eksploatować wszystkie kopalnie. To powstrzyma gorączkę albo chociaż jej najgorsze przejawy. A Kudłacze wyniosą się z najbliższej okolicy, nie będą chciały mieszkać tam, gdzie słychać podziemne eksplozje. Dochody można przeznaczyć na ochronę, opiekę i pomoc medyczną dla Kudłaczy oraz na *tsaki, foreczki i pezete‘czy*.

— Masz pojęcie, ile będzie kosztowało uruchomienie eksploatacji, nim zaczniemy wydobywać kamienie na opłacalną skalę?

— Tak. Wydobywałem je, zanim ktokolwiek wiedział, że tutaj są. Lecz to jest coś dobrego, a mając w ręku coś dobrego, zawsze uda ci się znaleźć środki na jego sfinansowanie.

— Można będzie ocalić prawa Kudłaczy i przynieść im wielką korzyść. Ale koszty wstępne...

— Cóż, oddaj w dzierżawę prawa do kopalin komuś, kto jest w stanie to sfinansować. Rząd będzie pobierać opłaty za nadanie, Kudłacze odniosą korzyść, rezerwat pozostanie nienaruszony.

— Tylko komu? Kogo stać na dzierżawę?

Znał odpowiedź w chwili, gdy zadawał pytanie. Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra, ona mogłaby się zająć wydobyciem. No cóż, byłoby

to tylko dorywcze zajęcie w porównaniu z pracami na Bagnach Wielkiej Czarnej Wody. Gdy wydzierżawić im prawa do wszelkich minerałów na terenie rezerwatu, nikt inny już tam nie wejdzie.

Tylko że przywróci tym Kompanii miejsce, które zajmowała przed Decyzjami Pendarvisa, odda jej monopol na kamienie słoneczne, spowoduje... Nie, to było nie do pomyślenia!

Nie do pomyślenia, psiakrew? Przecież myśli o tym, prawda?

Victor Grego rozgniół niedopałek papierosa i odchylił się wygodnie w fotelu wypoczynkowym, mrużąc oczy. Z pokoju Kudłacza dochodziły stłumione głosy i częste echo wystrzałów. Diament oglądał widowisko telewizyjne. Świetnie sobie radził z ustawianiem siły dźwięku na minimalny poziom, aby nie przeszkadzać Papci Vicowi, ale z niektórych programów czerpał trochę dziwne pojęcie o życiu wśród Hadźdza. Po pierwsze, dobry Hadźdza zawsze w końcu załatwiał złego Hadźdżę.

Wrócił myślami do złych Hadźdza, zwłaszcza do czterech. Ivana Bowlby'ego, Spike'a Heenana, Raula Laporte'a i Leo Thaxtera.

Mallorysport było pełne złych Hadźdza, w niższych warstwach, ale tych czterech stanowiło sztab generalny. Bowlby odpowiadał za rozrywkę. Poza widowiskami telewizyjnymi — jedno z nich oglądał właśnie Diament — obejmowała ona walki bokserskie, nocne kluby, prostytutkę i bez wątpienia narkotyki. Może chciałby uczynić z Kudłaczy gwiazdy estrady w swych spelunkach i dzięki temu nawiązywać kontakty z bogatymi ludźmi, którzy chcieliby mieć Kudłacze i byli skłonni zapłacić wysoką cenę. Jeśli istnieje prawdziwy czarny rynek, to on musi na nim działać.

Spike Heenan rządził hazardem, gry w kości, nielegalne loterie, pokątny totalizator. Na polu zakładów sportowych drogi Spike'a i Ivana przecinały się z obopólnym zyskiem. Laporte zajmował się rozbojem, szantażem — zwykłą, staroświecką przestępczością prowincjonalną. Oraz paserstwem, rzecz jasna, i niedozwolonym skupem klejnotów, jeśli można było na tym zarobić.

Leo Thaxter był największym i najwyżej ustawionym spryciarzem z całej czwórki. L. Thaxter, Makler Finansowy i Prywatny Inwestor. Pożyczał wszystkim na słusznie legalne siedem procent, dawał również pożyczki na dużo większy procent wszelkim lichwiarzom w mieście, dającym je z kolei jeszcze drożej ludziom, którzy nie mogli pożyczyć gdzie indziej, łącznie z frajerami splukanymi do czysta przy grze w kości u Spike'a Heenana. Na inkasentów zatrudniał bandziorów Raula Laporte'a.

Zawsze, choć w sposób niemożliwy do udowodnienia, stał za nimi Hugo Ingermann, nie karany generalissimus podziemia.

Może teraz właśnie zdołają mu to udowodnić. Detektywi Leslie Coombesa ustalili, że wszyscy czterej, a zwłaszcza Thaxter, byli podstawionymi właścicielami ziemskimi, z za pleców których Ingermann kontrolował większość terenów sprzedanych nierozważnie przez Kompanię osiem lat temu, północną dzielnicę Mallorysport, obecnie usianą fabrykami i zabudowaniami handlowymi. Dość precyzyjnie ustalono, że tych czterech było owym Johnem Doem, Richardem Roem i innymi, reprezentowanymi w sądzie przez Ingermanna niedługo po Decyzjach Pendarvisa.

Teraz z pokoju Kudłacza dochodziły tony muzyki, najwyraźniej melodramat dobiegł końca. Grego otworzył oczy, zapalił następnego papierosa i zaczął przetrząsać w myślach wszystko, co wiedział o czterech najważniejszych fagasach Ingermanna. Thaxter zawitał na Zaratustrę kilka lat przed Ingermannem. Zrazu drobny kanciarz próbował utworzyć związki zawodowe, tyle że Kompania patrzyła krzywo na związki organizowane przez obcych, toteż wykazał rozsądek i zrezygnował. Potem zorganizował spółdzielnię handlową niezależnych plantatorów, z której przeszedł do lichwy. Początkowo była z nim jakaś kobieta, żona albo ktoś w tym rodzaju. Kto wie, czy wciąż nie kręci się koło niego, niech Coombes to sprawdzi. Może będzie rozmowna.

Do salonu wpadł Diament.

— Pappio Vic! Zrobić mowa z Diament, *prosz!*

Pełniący obowiązki szefa biura detektywistycznego Kompanii na zmianie od szóstej zero zero do północy, porucznik Fitz Mortlake ziewnął. Jeszcze dwadzieścia minut, a nawet mniej, jeśli Bert Eggers przyjdzie wcześniej, aby go zluzować. Przejrzał stertę skarg na biurku i położył na nich przycisk do papieru. W sąsiednim pomieszczeniu dla agentów mechaniczny dźwięk maszyn licząco-analitycznych, dalekopisów i sporadyczne wycie transmisji audiowizualnej na szybkości sześćdziesiąt zastąpiły ludzkie dźwięki — głosy, wybuchy śmiechu, przesuwanie krzeseł. Schodziła się nocna zmiana. Zastanawiał się, czy iść do domu i czytać, dopóki nie ogarnie go senność, czy też odwiedzić kilka barów i spróbować poderwać jakąś dziewczynę, kiedy Bert Eggers przecisnął się między dwoma sierżantami w drzwiach i wszedł do środka.

— Cześć Fitz, co słychać?

— Ano, cisza. Odkryliśmy miejsce, gdzie Jayser schował towar. Odzyskaliśmy całość. A Millman i Nogahara złapali tych gnojków, którzy ukradli części do silników z magazynu dziesięć. Siedzą w karczerze, nie zdążyliśmy ich przesłuchać.

— Zajmiemy się tym. To pracownicy Kompanii?

— Dwóch tak. Trzeci to jeszcze dzieciak, siedemnastolatek. Może go sobie zabrać sąd dla nieletnich. Sądzimy, że towar sprzedawali Zacnemu Frycowi.

— Uhm-uhm. Będę podejrzewał każdego, kogo nazywają Zacnym Ktosiem czy kimkolwiek innym — odparł Eggers, siadając w zwolnionym fotelu.

Mortlake zdjął kurtkę, wyjął z dolnej szuflady kaburę z pistoletem i założył ją, wciągając z powrotem kurtkę. Sięgając do biurka po zapalniczkę i woreczek z tytoniem, odkrył nagle, że nigdzie nie ma fajki. Przeszukał pulpit biurka i znalazł ją pod stosem fotografii, które przyjął moduł łączności.

— Co to za jedni? — spytał Eggers, patrząc na zdjęcia.

— Herckerd i Novaes, fałszywy alarm numer tysiąc i jeden. Dwaj leśni włóczędzy, którzy pojawili się na Epsylonie.

Eggers zrobił kwaśną minę.

— Mamy coraz więcej roboty za sprawą tych cholernych Kudłaczy — poskarżył się. — A teraz dzieciaki męczą mnie, abym załatwił im jednego. Żona też. Słuchaj no! Kudłacze to symbol pozycji społecznej. Jeśli nie masz w domu Kudłacza, równie dobrze możesz przenieść się do Junktown i zamieszkać z resztą lumpów.

— Ja nie mam Kudłacza i nie wyprowadziłem się na razie do Junktown — oznajmił Fitz Mortlake.

— Nie masz dzieci w szkole średniej — stwierdził Bert Eggers.

— Nie, dzięki Bogu! — zawołał Fitz.

— Założę się, że nie masz również kłopotów w towarzystwie pożyczkowym — odezwał się jeden z sierżantów przy wejściu.

Bert zamierzał dać stanowczą odpowiedź. Zanim otworzył usta, rozległ się inny głos:

— *Iiik!*

— O wilku mowa — powiedział ktoś.

— Tutaj trzymasz Kudłacza, Fitz? — zdziwił się Eggers. — Gdzie, do diabła...?

— Oto i on. — Sierżant pokazał ręką.

Zza fotela przy biurku wyszedł na środek pokoju rodzimy mieszkaniec planety Zaratustra. Szarpnął za spód kurtki Eggersa i ponownie iknął. Wydawało się, że jest garbaty.

— Co on nosi na plecach? — Eggers sięgnął w dół. — Co ty tam masz, właściwie?

To był mały plecak ze skórzanymi szelkami i ze ściągaczem u góry. Ledwie Eggers wykazał zainteresowanie plecakiem, Kudłacz zrzucił go z ramion, jakby ciesząc się, że pozbył się ciężaru. Mortlake podniósł plecak i

położył go na biurku, ponad pięć kilogramów, chyba tyle samo co Kudłacz. Eggers rozwiązał ściągacz i włożył rękę do środka.

— Pełno żwiru — powiedział i wyjął garść kamieni.

Żwir jarzył się nikłym światłem. Eggers wypuścił go z ręki, jak gdyby kamienie były rozpalone stosownie do swego wyglądu.

— Święty Boże!

Mortlake pierwszy raz w życiu słyszał, jak ktoś krzyczy barytonem.

— Ten żwir to kamienie słoneczne!

20.

— Ale dlaczego? — dopytywał się Diament. — Dlaczego Duzi od razu, *bach, bach!*, zrobić martwy? Niedobrze. Dlaczego nie robić przyjaciół, dawać pomoc, mieć zabawa?

— No cóż, niektórzy Duzi źli, sprawiać kłopoty. Inni Duzi walczyć, żeby skończyć kłopoty.

— Ale dlaczego Duzi być źli? Czemu nie każdy robić przyjaciół, mieć zabawa, dawać pomoc, być dobry?

Jak u licha odpowiedzieć na takie pytanie? Może o to chodziło Ernstowi Mallinowi, gdy wspominał, że Kudłacze to najzdrowsze na umyśle istoty ludzkie, jakie widział. Kto wie, czy nie zbyt rozsądne na to, aby być złe. Jak więc pozbawiony rozsądku człowiek może to wyjaśnić?

— Papcio Vic nie wiedzieć. Może Wujko Ernst, Wujko Panko wiedzieć.

Dzwonek prywatnego teleekranu rozpoczął swe przeciągłe dźwięczenie. Diament rozejrzał się dookoła, to zdarzało się dosyć rzadko. Grego wstał i zdjawszy Diamenta z kolan, postawił go na krzesło, następnie podszedł do ściany i włączył monitor. Zgłosił się kapitan Morgan Lansky z modułu komendanta Steefera. Sprawiał wrażenie, jakby mu poskramiacz planet spadł na biurko i dotąd nie eksplodował.

— Panie Grego, to skarbiec! Kudłacze są w środku, rabują kamienie!

Powstrzymał odruch, żeby go zapytać, czy się upił, czy też stracił rozum. Lansky był trzeźwy i przy zdrowych zmysłach, po prostu wpadł w przerażenie.

— Spokojnie, Morgan. Opowiedz mi o tym. Po pierwsze, co wiesz na ten temat, a potem, co o tym sądzisz.

— Tak jest. — Lansky próbował wziąć się w garść, milczał przez chwilę. — Dziesięć minut temu, w gabinecie kapitana w biurze detektywów

nadszedł czas nowej zmiany i obaj porucznicy byli obecni. Z magazynu na tyłach biura wmaszerował Kudłacz. Niósł na plecach mały tornister, w którym miał około sześciu kilogramów kamieni słonecznych. Kudłacz jest tu teraz, kamienie też. Chce pan je zobaczyć?

— Później, niech pan mówi dalej. — Po czym dodał, nim Lansky zdążył otworzyć usta: — Czy wszedł na pewno z tego magazynu?

— Tak jest. W drzwiach do pokoju agentów stało pięciu albo sześciu ludzi, nie mógł przejść tamtędy. A do magazynu mógł się przedostać tylko kanałem wentylacyjnym. Kratka nad nim była otwarta.

— To brzmi rozsądnie. Do skarbca mógł wejść także przez system wentylacyjny.

Wejście do klatki schodowej skarbca znajdowało się na tym samym poziomie co biuro detektywów. Ekran wejściowy i wyjściowy umocowane były na zawiasach, rygiel zaś działał z obu stron, aby każdy ekran wyjściowy dało się uruchomić z dowolnego miejsca. A kamienie słoneczne nie mogły pochodzić skądinąd, dopiero co wczoraj musiał zejść na dół i wpuścić tam Evinsa, by schować wszystko, co nagromadziło się w biurowym sejfie kupca.

— Dziesięć minut, co zrobiono później?

— Jest tutaj Carlos Hurtado, nie poszedł do domu. Zostaje, tak jak większość ludzi z wieczornej zmiany. Ogłosiliśmy cichy alarm dla całej straży w budynku. Odcięliśmy wszystkie kondygnacje ponad górnymi piętrami czternastego poziomu i założyliśmy blokadę dookoła piętnastego. Wezwałem komendanta, niedługo ma się zjawić. Hurtado dzwoni do oddziałów zmilitaryzowanych oraz do miejskiej policji Mallorysport po ludzi i pojazdy w celu zablokowania budynku od zewnątrz. Posłałem po doktora Mallina, po pana Konrada Evansa i po tyle aparatów słuchowych, ile się da.

— Dobra robota. Natychmiast wyślijcie po mnie kuter na górę, będę musiał otworzyć skarbiec. Niech kilku ludzi na mnie czeka. Z bronią do

ogłuszania, wewnątrz może być więcej Kudłaczy. Niech pan ściągnie administratora budynku i inżyniera od wentylacji oraz zdobędzie plany systemu napowietrzania.

— Dobrze. To wszystko, panie Grego?

— Na razie tak. Do widzenia.

Zaciemnił ekran. Diament spoglądał na niego z fotela szeroko rozwartymi oczyma.

— Papcio Vic, co się stać?

Patrzył przez chwilę na małego.

— Diament, ty pamiętać, kiedy źli Duzi przynieść ty i inne Kudłacze tutaj? — zapytał. — Ty poznać inne Kudłacze, kiedy je zobaczyć?

— Tak, *no-jas'ne*. Dobry przyjaciel, poznać znowu.

— *Dob'ra*. Zostać w fotel, Papcio Vic zaraz wrócić.

Pobiegł do kuchenki i wziął kilka puszek Pezetera Trzy.

Wróciwszy, odszukał aparat słuchowy — Diament używał swego kudłaczofonu — i schował go do kieszeni. Następnie, z Diamentem kołyszącym się mu na ramieniu, wyszedł. Kiedy znalazł się w ogrodzie, srebrnokarmazynowy kuter kompanii z literami STRAŻ wynurzył się z nad balustrady ogrodu, obrócił i spłynął na dół. Pomyślał znowu, że pojazdy ochrony winny mieć jakiś inny kolor, aby można było je odróżnić od zwykłych wozów policyjnych. Musi kiedyś porozmawiać o tym z Harrym Steeferem. Statek wylądował i pilot otworzył drzwi. Wskoczył do środka i posadził sobie na kolanach Diamenta. Pilot zameldował, że ma już pasażerów na pokładzie. Grego wziął do ręki mikrofon radiowy.

— Grego, kto mówi? — spytał.

— Hurtado. Zablokowaliśmy poziomy od czternastego do szesnastego, wewnątrz i z zewnątrz. Kapitan Lansky i porucznik Eggers spotkają się z panem przy skarbcu. Doktor Mallin już leci, panna Glenn i kapitan Khadra z SZFT także są w drodze. Może zdołają coś wyciągnąć z tego Kudłacza.

— Mruknął ze złością. — Przesłuchiwanie Kudłaczy, co jeszcze czeka policję?

— Nauczanie Kudłaczy włamywania się do sejfów, co jeszcze wymyślą przestępcy? Macie już plany systemu wentylacyjnego?

— Zaraz będą, tak samo jak inżynier od wentylacji. Myśli pan, że Kudłaczy jest więcej?

— Jeszcze czworo. A z nimi dwaj mężczyźni, Phil Novaes i Moses Herckerd.

Hurtado milczał przez chwilę, po czym zaklął.

— Do diabła, dlaczego sam na to nie wpadłem? — zapytał. — No jasne!

Wlecieli do środka z platformy lądowniczej na trzecim poziomie. Na miejscu zastali policję z dwoma wozami, wyposażoną w ręczną broń automatyczną. W kilku biurach ciągnących się wzdłuż poziomego szeregu statków trwała praca, ale nie było objawów podniecenia. Zbliżyli się do wozu policyjnego w pionowym szybie nad czternastym poziomem. Pilot statku włączył biało-czerwony migacz, chwycił mikrofon od megafonu i powiedział:

— Tędy, panie Grego, proszę nas nie opóźniać.

Pojazd usunął się z drogi.

Piętnasty poziom był domeną policji. Panowała tutaj niesamowita cisza, ale dookoła poziomych korytarzy prowadzących od pionowego szybu koncentrowało się kilkanaście pojazdów. Pilot posadził kuter przy wejściu do biur nabywców kamieni słonecznych. Czekali tam Morgan Lansky i jakiś detektyw. Grego opuścił kabinę trzymając na rękach Diamenta, a pilot podał detektywowi puszki z Pezeterem. Lansky, najwyraźniej odzyskawszy już zimną krew, uśmiechał się szeroko.

— To tłumacz, panie Grego? — spytał.

— Tak, i może zdoła dokonać identyfikacji. Myślę, że on zna te Kudłacze.

Lansky potrzebował dwóch sekund, aby to zrozumieć. Skinął głową.

— Jasne. To wszystko wyjaśnia.

Przeszli przez drzwi. Wewnątrz od razu rzuciło się w oczy, że zasady bezpieczeństwa diabli wzięli. Krata była uniesiona, choć dwaj strażnicy z bronią maszynową spacerowali uważnie obok niej. Za chwilę wpadło sześciu nowych strażników, trzymali w rękach ogłuszacze, karabinki o lufach z lejkowatym wylotem jak w starożytnych rusznicach. Drzwi w drugim końcu krótkiego holu skarbcza też były otwarte i nikt się nie przejmował sprawdzaniem tożsamości.

Nikommu nie było wolno przebywać w jego polu widzenia, kiedy otwierał skarbiec, ale Grego to również zignorował. Lansky, Eggers, mężczyzna z dwiema puszkami Pezetera i strażnicy z ogłuszaczami w rękach tłoczyli się za nim na stopniach. Wystukał szybko na klawiaturze bezsensowną formułę. Dziesięć sekund później drzwi drgnęły i odsunęły się na bok.

Wewnątrz jak zwykle paliły się lampy. Choć jaskrawe, nie mogły zaćmić wielobarwnego blasku na czarnym aksamicie stołu, przy którym Kudłacze bawiły się w skupieniu co najmniej tysiącem kamieni słonecznych. Z wentylatora nad stołem zwieszał się cień wąskiej drabinki sznurowej, w sam raz dla Kudłacza.

Zaskoczone Kudłacze podniosły wzrok. Jeden przemówił z pretensją:

— Wy nie mówić kamienie robić świecić, wy mówić tylko kamienie, jak zwykle. — Jego towarzysz przypatrzył się wchodzącym, po czym wykrzyknął: — Nie znać ci Duzi! Jak przyjść to miejsce?

Kiedy Grego korzystał z klawiatury, Lansky trzymał Diamenta za rękę. Weszli za Grego do skarbcza. Diament zobaczył dwa Kudłacze i rozgadał się przejęty faktem, że je poznaje. Grego chwycił go i posadził na stole obok tamtych.

— Wy się nie bać — powiedział. — Ja nie skrzywdzić. On przyjaciel, pokazać mu ładne rzeczy.

Rozpoznanie było wzajemne, Kudłacze uściskały Diamenta, trajkocząc pośpiesznie. Lansky podszedł do modułu łączności i wystukiwał kod

wywołania.

— Wy też uciec od źli Duzi? — spytał Diament. — Jak przyjść to miejsce?

— Duzi przyprowadzić my. Kazać iść w długa wąska dziura. Duzi powiedzieć, wziąć kamienie, jak inne miejsce.

Jakie inne miejsce, zadawał sobie pytanie Grego. Odezwał się drugi nieznamy Kudłacz:

— Cały czas Duzi kazać iść w długa wąska dziura, brać kamienie. My wziąć kamienie, Duzi dać dobrze rzeczy jeść. Nie wziąć kamienie, Duzi źli. Zrobić boli, wsadzić w ciemne miejsce, nie dać jeść, zmusić nas brać znowu.

— Kto ma Pezeter Trzy? — spytał Grego. — Proszę otworzyć puszkę i podać mi.

— *Pezete'czy!* — powtórzył za nim Diament. — *Papcio Vic dać pezete'czy, hoksu-fusso.*

Lansky miał na ekranie Hurtado, cofnął się na bok, żeby jego rozmówca mógł zobaczyć, co się dzieje w skarbcu. Hurtado rzucił przekleństwo.

— Hmm, cały budynek musimy uszczelnić przed Kudłaczami — oznajmił. — Komendant już wchodzi. — Odwrócił się. — Cześć, szefie, proszę podejść i spojrzeć na to!

Pezeter Trzy był u Eggersa. Porucznik otworzył puszkę. Grego wziął od niego placek, rozłamał na trzy części, po czym zepchnął na bok trzy miliony soli w kamieniach słonecznych i dał Kudłaczom po kawałku. Mali złodziejaskowie klejnotów wiedzieli, co to jest, i natychmiast wzięli się do jedzenia. Kazał Eggersowi mieć na nie oko i podszedł do monitora. Na ekranie Harry Steefer miotał przekleństwa jeszcze płynniej niż Hurtado. Urwał w pół słowa i przywitał się.

— Witam, panie Grego. Czy zostało gdzieś trochę kamieni prócz tych, które widać na stole?

— Nie sprawdziłem jeszcze.

Rozejrzał się wokoło. Wszystkie szuflady były wyciągnięte; najwyraźniej Kudłacze dostały się do górnych rzędów w ten sposób, że stawiały jedną szufladę na drugą i wspinały się po nich. Lansky sprawdzał dwa małe, płócienne plecaki, które znalazł w kącie.

— No i co, kapitanie?

— Proszę nie chodzić dookoła stołu — ostrzegł Lansky. — Cała podłoga jest zasypana kamieniami.

— A więc trochę ich zostało. Czy Konrad Evins już przyszedł?

— Wciąż próbujemy skontaktować się z nim — odparł Steefer. — Jest już doktor Mallin, a kapitan Khadra i panna Glenn są w drodze. Idę teraz do pokoju operacyjnego, zostawię tu kogoś.

— Może niech pan też zostawi Kudłacza w swoim gabinecie. Przyprawdzą tę dwójkę na górę i Diament pomoże je przesłuchać.

Steefer wyraził zgodę, po czym przeprosił, że musi z kimś porozmawiać. Do skarbca wrócił detektyw, który uprzednio wyszedł, przyniósł szczotkę i śmietniczkę. Przytrzymał śmietniczkę, a Lansky zmiotł na nią rozsypane kamienie. Było ich więcej, niż sądził Grego, może nawet połowa wszystkich rezerw. Wsypał je do szuflad niezależnie od rozmiarów i klasy, później można je posortować. Kudłacze zaprotestowały dopiero wtedy, gdy zaczął zbierać kamienie ze stołu, nawet Diament chciał się nimi bawić. Pocieszył je drugą puszką Pezetera Trzy i zapewnił Diamenta — który przekonał swoich przyjaciół — że dostaną od Papcia Vica inne błyskotki.

— Kapitanie, niech pan zostanie tutaj z porucznikiem Eggersem i dwoma ludźmi — polecił. — Myślę, że gdzieś są jeszcze dwa inne Kudłacze, mogą wrócić po kamienie. Proszę je złapać, jeśli zdołacie, albo ogłuszyć dźwiękiem, jeśli trzeba. Postarajcie się nie zrobić im krzywdy, lecz musicie je złapać i przyprowadzić do biura komendanta. Właśnie tam idę.

— Chryste, dlaczego to trwa tak długo? Jak myślisz, co ich zatrzymuje?

Phil Novaes pytał o to dziesięć albo piętnaście razy w ciągu ostatnich dwudziestu minut. Był okropnie zdenerwowany. Denerwował się, odkąd tutaj przyszli, i z każdą chwilą coraz bardziej tracił nerwy. Moses Herckerd zaczynał się tym martwić. Zdenerwowanie to prosta droga do katastrofy w takim miejscu jak to, do katastrofy dla jednego i dla drugiego. Z początku Phil był trochę zbyt pewny siebie, to też niedobrze.

Ukrycie szalupy na niezajętym dziewiątym poziomie było dosyć proste, schowali ją w jednym z głównych nieukończonych pomieszczeń biurowych w pobliżu miejsca, gdzie dwa miesiące temu trzymali Kudłacze. Wiedział, że ochrona Kompanii zaczęła patrolować te poziomy, gdy jeden cholerny Kudłacz uciekł im i mając cały gmach do dyspozycji, musiał trafić akurat do prywatnego apartamentu Victora Grego. Mimo to kryjówka szalupy była dość bezpieczna.

Długi zjazd, blisko trzysta metrów w gąszczu rur wodociągowych i przewodów wentylacyjnych do piętnastego poziomu, był trudny i ryzykowny. Musieli mocno się trzymać podnośnika antygrawitacyjnego i uważać na Kudłacze, które szamotały się w skrzyni. Marzył, że kiedy będzie po wszystkim, nigdy już nie będzie musiał oglądać na oczy żadnego cholernego Kudłacza. Wtedy jeszcze Phil zachowywał się rozsądnie, musiał koncentrować myśli na tym, co robi, na pilnowaniu, żeby podnośnik się nie rozhuśtał i nie odciągnął ich za daleko od klamer. Dopiero po zejściu na platformę przy wylocie kanału wentylacyjnego Philowi zaczęły puszczać nerwy.

— Spokojnie, Phil — szepnął Moses. — Mają do przejścia prawie kilometr w tych kanałach, tam i z powrotem. Muszą napełnić plecaki w skarbcu, a zawsze guzdrzą się przy tym. Nie wolno uczyć włamywaczy pośpiechu w czasie roboty.

— Nie, coś musiało się stać. Może skreśliły w złym miejscu i zabłądziły. Droga do skarbcza Kompanii jest bardziej skomplikowana niż labirynt, w którym je ćwiczyliśmy.

— Poradzą sobie. Zrobiły już po trzy wyprawy bez żadnych komplikacji, prawda? I nie gadaj tak głośno, u diabła.

O to się martwił najbardziej. Wszystkie siły policyjne Kompanii zgromadziły się wokół miejsca, gdzie czekali z Novaesem. Znajdowali się na zewnątrz właściwego pasa policji, ale otaczały ich pozostałe służby porządkowe — brygada przeciwpożarowa, ochrona przed radiacją, pierwsza pomoc medyczna, a dźwięk niósł się na niewiarygodną odległość wśród otchłani szybów, duktów i kanałów powietrznych.

— Wystarczy nam — powiedział Phil. — Załadujmy towar i uciekajmy. Moses, mamy już na pewno pięćdziesiąt milionów.

— Wycofać się i zostawić Kudłacze?

— Pal je diabli!

— Pal diabli Kudłacze, niech cię szlag! Zapomniałeś, że umieją mówić? Gnieciemy się od dwóch miesięcy pod dachem, bo ten Kudłacz, którego znalazł Grego, wydał nas policji. Musimy odzyskać wszystkie pięć i je wykończyć. Jeśli tego nie zrobimy i wpadniemy w łapy policji, to one wykończą nas.

Phil stał pochylony nad prostokątnym otworem. Podniósł wzrok na Mosesa.

— Słyszę coś. Dwa Kudłacze, rozmawiają.

Moses włączył aparat słuchowy i przyłożył głowę do wylotu obok Phila. Tak, dwa rozmawiające Kudłacze, dyskutujące o tym, jak daleką drogę mają jeszcze do pokonania.

— Jak tylko się pokażą, wpychamy je do komory na odpadki — oznajmił Phil i skinął głową w stronę klapy od zsypu, który prowadził dwieście metrów w dół do przetworników masy i energii.

Tam trafią Kudłacze, każdy z nich, kiedy wszystkie kamienie słoneczne znajdą się poza skarbcem. Nie wszystkie jednak znajdowały się poza nim. Moses wątpił, czy złapią choć połowę.

— Nie, jeszcze nie. O, już są, łap pierwszego.

Novaes chwycił Kudłacza, ledwo ten wychylił głowę z otworu. Po chwili chwycił drugiego. Miały na sobie wyładowane plecaki. Herckerd zsunął paski z ramion Kudłacza i dał go Novaesowi do potrzymania, następnie usunął ściągacze i przesypał kamienie do otwartej walizki z resztą klejnotów. Na koniec z powrotem założył plecak Kudłaczowi.

— Dobrze. Do środka. Iść po kamienie.

Kudłacz powiedział coś tonem skargi, Moses nie rozumiał, o co mu chodzi. *Fusso*, to oznaczało jedzenie albo jeść. Ważne słowo dla Kudłacza.

— Nie. Ty wziąć kamienie. Ja dać *fusso*. — Wepchnął Kudłacza do kanału wentylacyjnego. — Rozładuj swojego i niech wraca do kanału. Kudłacze są nam potrzebne tak długo, jak długo w skarbcu są kamienie.

Za biurkiem komendanta Steefera siedział umundurowany sierżant, palił jedno z jego cygar i rozmawiał z dziewczyną na ekranie. Po drugiej stronie pokoju Ernst Mallin, Ahmed Khadra i Sandra Glenn rozmawiali z Kudłaczem, który usadowił się na brzegu stołu i z zadowoleniem chrupał Pezeter Trzy. Khadra był ubrany w strój wieczorowy, natomiast Sandra miała na sobie szykowny ciuch z dużą ilością czarnej koronki. Nosila także kamień słoneczny, czego Grego wcześniej nie zauważył, na środkowym palcu lewej ręki. *Potrzebna opiekunka do Kudłacza. Zwracać się do Victora Grego.*

Postawili Diamenta i jego przyjaciół na podłodze, Grego podziękował i zwolnił ludzi, którzy mu przy nich pomagali. Gdy tylko spostrzegły na stole Kudłacza, podniosły wrzask i rzuciły się przed siebie, Kudłacz zeskoczył na podłogę i pobiegł na spotkanie z ziomkami.

— Co zdołaliście od niego wyciągnąć? — spytał Grego.

— Herckerd i Novaes, rzecz jasna — odparł ze wstrętem Khadra. — Cały czas szukałem czarnego rynku, który nie istnieje, Kudłacze były w mieście i uczyły się kraść kamienie słoneczne. Granda w stylu Fagina^[Z], na Boga!

— Herckerd, Novaes, i kto jeszcze?

— Dwaj inni mężczyźni i kobieta. Oprócz Diamenta, Herckerd i Novaes przywieźli tylko pięcioro innych Kudłaczy. Przez cały czas znajdowały się o niecały kwadrans drogi od budynku Kompanii. Ta banda nauczyła je przeciskać się przez kanały wentylacyjne, otwierać kratki przy wylotach, używać drabinek sznurowych i wyjmować kamienie z regałów. Na pewno dysponowali makietą skarbcza i systemu wentylacyjnego. Musiały ciągle ćwiczyć. Jeśli opróżniły szuflady i przyniosły kamienie, rzekomo żwir rzeczny, dostawały Pezeter Trzy. Jeśli spartoliły robotę, karano je wstrząsami elektrycznymi i zamykano w ciemnicy bez jedzenia. Wiecie co, powinno się ich za to rozstrzelać.

— Nie zasługują na pluton egzekucyjny, powinni spłonąć na stosie! — wykrzyknęła ze złością Sandra.

Słaba płeć, nie ma co!

— No dobrze, przystanę na rozstrzelanie, jeśli uda nam się ich złapać. Czy zrobiono już coś w tej sprawie?

— Niezbyt dużo — odparł z żalem Mallin. — Kudłacz ma ograniczony słownik i nie potrafi wyrazić większości swoich przeżyć. Próbujemy poznać jego trasę w systemie wentylacyjnym. Wie, w jaki sposób dostał się do skarbcza z kamieniami, ale po prostu nie potrafi tego opisać.

— Diamencie, ty pomagaj Papcio Vic zrobić rozmowa dla Wujko Ernst, Wujko Ahmed, Ciocia Sandra, pomóc inne Kudłacze zrobić rozmowa o źli Duzi, o miejsce, gdzie byli, co musieć robić, jak iść w długie wąskie dziury. — Zwrócił się do Khadry. — Widział Herckerda i Novaesa na ekranie?

— Jeszcze nie, na razie z nim rozmawiamy.

— Niech cała trójka obejrzy nagranie audiowizualne, może rozpoznają kogoś. I pilnujcie kanałów wentylacyjnych. Sprawdźcie, czy któryś z Kudłaczy potrafi powiedzieć, którędy wchodziły do skarbcza i w jakim miejscu znajduje się wylot systemu wentylacyjnego.

21.

Przemierzył korytarz i stwierdził, że w pokoju operacyjnym trwa praca, cicha i niemal leniwa. Wszyscy znali swoje obowiązki i wykonywali je mimo niewielkiego zamieszania. Za dużym stołem krzątała się grupa mężczyzn, policjantów i techników, przeglądających plany na wielkich płachtach i na monitorach światłodruku. Inni mężczyźni, policja i mechanicy, zebrali się dookoła grafosfery poziomów czternastego, piętnastego i szesnastego, rzutowanej na trójwymiarowym ekranie. Model był przezroczysty i przypominał anatomiczny. No cóż, budynek Kompanii stanowił swego rodzaju organizm. Układ oddechowy, który wszystkich interesował. Układ krążenia, rury z wodą. Układ wydalniczy, usuwanie nieczystości.

Organizm zainfekowany w tym momencie dwoma szkodliwymi mikroorganizmami, zwanymi Phil Novaes i Moses Herckerd, poszukiwanymi przez leukocyty policyjne w celu neutralizacji.

Patrzył na to przez chwilę, następnie podszedł do zespołu monitorów, pokazujących korytarze, ciągi komunikacyjne, na ogół puste, patrolowane tu i ówdzie przez policję lub pośpiesznie zmobilizowanych i uzbrojonych robotników, widok antygravitacyjnych platform lądowniczych, zajętych przez policję i śledzonych z kutrów, widok z kutra, unoszącego się na wysokości trzystu metrów nad gmachem, ukazującego kilkanaście pojazdów oddziałów policyjnych i policji miejskiej, krążących dookoła gmachu i blokujących go od zewnątrz. Pokiwał z zadowoleniem głową, nie wymkną się z budynku. Gdy tylko policja dokona eliminacji ponad pięćdziesięciu szeroko porozrzucanych miejsc, z których mogą działać, znajdą się w pułapce.

Na jednym z monitorów, ukazujących widok z kamery w drzwiach skarbcza, zauważył Morgana Lansky'ego, Berta Eggersa i dwóch detektywów w samych koszulach, zlanych potem, tłoczących się wokół podgrzewanego elektrycznie pulpitu, wpatrzonych w wąską drabinkę sznurową, która dyndała obok lampy. Na drugim monitorze, połączonym z kamerą umieszczoną w rogu sufitu w gabinecie Harry Steefera, umundurowany sierżant obserwował za biurkiem, jak Ernst Mallin i Ahmed Khadra kręcą się nerwowo przy ekranie, a Sandra Glenn klęczy na podłodze i rozmawia z Diamentem oraz z jego trzema kolegami.

Za stołem operacyjnym siedział samotny Harry Steefer, śledzący wszystko jednocześnie. Grego zbliżył się do niego i usiadł obok.

— Panie Grego. Boję się, że nie robimy wielkich postępów — oznajmił komendant. — Na razie jednak wszystko mamy zabezpieczone.

— Czy media już wiedzą?

— Chyba nie. *Wiadomości Międzyplanetarne* zażądały od miejskiej policji wyjaśnień, co taka masa statków robi dookoła budynku Kompani. Dostali cynk, że transportujemy pod eskortą cenny ładunek do portu kosmicznego. Zdaje się, że to kupili.

— Nie możemy wymawiać się tym w nieskończoność.

— Mam nadzieję, że tak długo, aż odnajdziemy tych drani.

— Skontaktował się pan już z Konradem Evinsem?

— Nie. Nie ma go w domu. O, tutaj, pokażę panu.

Steefer wystukał prywatny numer na konsoli jednego ze swych teleekranów. Kiedy monitor się rozjaśnił, wyjrzała z niego twarz nabywcy klejnotów o szerokich brwiach i wąskim podbródku.

— To jest nagranie, zarejestrowane o dwudziestej pierwszej, mówi Konrad Evins. Moja żona i ja wychodzimy, nie będzie nas w domu do północy — oznajmił głos Evinsa. Ekran zamigotał i nagranie odtworzyło się ponownie.

— Mógłbym mu nadać sygnał niebezpieczeństwa, ale nie chcę tego robić — powiedział Steefer. — Nie wiadomo, ilu ludzi poza gmachem jest w to zamieszanych, po co ich alarmować.

— Słusznie. Czterech mężczyzn i jedna kobieta, a według Kudłaczy, tylko dwaj mężczyźni przyprowadzili je tutaj, zapewne Herckerd i Novaes. To znaczy, że gdzieś na zewnątrz czekają na nich dwaj mężczyźni i jedna kobieta. Istotnie, nie potrzebujemy na razie Evinsa. Minęła już północ, możemy próbować złapać go w domu.

Evins i jego żona prawdopodobnie poszli na przedstawienie albo w gości. Żona Evinsa, Grego nie pamiętał, aby ją kiedykolwiek widział. Słyszał coś na jej temat... Odsunął tę myśl.

— Nie macie małych autowizorów, używanych wewnątrz kanałów wentylacyjnych? — spytał.

— Tak. Pan Guerrin, technik od napowietrzania, ma kilkanaście sztuk. Zaproponował ich użycie, ale sprzeciwiłem się. Chciałem najpierw sprawdzić, co pan o tym sądzi. Te roboty unoszą się na antygravitatorach, a nawet miniaturowy generator napędu Abbota wytwarza sporo ultradźwiękowego szumu. W duktach wentylacyjnych wciąż znajdują się dwa Kudłacze, nie chcemy ich wystraszyć, prawda?

— Prawda. Niech robią swoje. Jest szansa, że wyjdą ponownie w skarbcu, jeśli ich nie wystraszymy.

Grego spojrzał na monitory w drugim końcu pokoju. Khadra i Mallin zainstalowali już swój ekran, Sandra zaprowadziła przed niego Kudłacze, a Diament zdawał się wyjaśniać pozostałym, co to są teleekrany i monitory. Na ekranie skarbcza Lansky i reszta stali pochyleni nad pulpitem i uważnie nasłuchiwali. Mieli dwa aparaty słuchowe, które nosili Eggers i jeden z jego detektywów. Lansky odwrócił się, wykonując gwałtowny gest do kamery. Steefer odebrał głos w słuchawce i poradził wszystkim, aby zwracali uwagę na ekran ze skarbcza.

Przez trwającą dziesięć sekund wieczność na ekranie nic się nie działo. W chwilę później zszedł po drabince Kudłacz. Któryś z detektywów nieomal rzucił się na niego, Eggers zdołał go powstrzymać. Za moment pojawił się drugi.

Eggers ujął go obiema rękami za stopy i ściągnął z drabinki, a Kudłacz zdzielił go pięścią w twarz. Upadłszy na stół, pierwszy Kudłacz próbował z powrotem wspiąć się na górę, ale złapał go Lansky. Jeden z detektywów skoczył na pomoc Eggersowi. Szamotanina dobiegła końca i obaj więźniowie byli w rękach policji. Lansky wykrzyknął:

— Mamy jednego i drugiego! Zaraz je przyprowadzimy!

Steefer zawołał do dziewczyny przy monitorze, żeby włączyła przekaz dźwięku i kazała Lansky'emu oraz jednemu agentowi zostać na straży. Lansky potwierdził wiadomość, a Eggers i któryś z detektywów opuścili skarbiec, niosąc po jednym Kudłaczem. Na monitorze gabinetu Steefera szedł sfilmowany wywiad z Mosesem Herckerdem, kiedy ten starał się o pracę. Herckerd opowiadał o swoim wykształceniu i doświadczeniu z poprzednich zajęć. Steefer powiedział coś do sierżanta, siedzącego za jego biurkiem, sierżant przywołał gestem kapitana Khadrę.

— Dobrze — odparł kapitan, kiedy Steefer poinformował go, co się stało. — To już wszystkie. Puścimy im Herckerda, kiedy tu się zjawią, i pokażemy Novaesa. Właśnie ci dwaj przynieśli je tu dzisiejszej nocy, cała trójka naszych Kudłaczy to potwierdza.

— Wciąż tutaj są. To znaczy, że na zewnątrz zostali dwaj mężczyźni i kobieta. Zastanawia mnie...

— Chyba wiem, co to za jedni, komendancie.

To był tylko domysł, rzecz jasna, ale wszystko pasowało. Grego przypomniał sobie nagle to, co wiedział o małżonce Konrada Evinsa.

Kiedy dziesięć lat temu Leo Thaxter, obecnie makler i doradca finansowy i prywatny inwestor, pojawił się na Zaratustrze, towarzyszyła mu pewna kobieta. Nie była jego żoną, tylko siostrą, bądź kuzynką. Rose

Thaxter. W niedługi czas potem opuściła Thaxtera i poślubiła mineraloga Kompanii o nazwisku Konrad Evins, który po odkryciu kamieni słonecznych został głównym ich nabywcą w firmie.

— Jaki jest numer do Evinsa? — zapytał Grego Steefera i gdy Steefer mu go podał, powtórzył kod Ahmedowi Khadrze. — Kiedy zjawią się tamte Kudłacze, proszę zadzwonić pod ten numer. Odpowiedzi udzieli nagranie audiowizualne. Niech pan sprawdzi, czy maluchy poznają jego twarz.

Steefer obrzucił go wzrokiem bardziej rozbawionym niż zaskoczonym.

— Nie przyszło mi to na myśl, panie Grego. Chociaż wszystko pasuje, jak się zdaje.

— Przeczucie. — Jeśli ktokolwiek uznawał przeczucia, to były nimi gliny. — Przypomniałem sobie po prostu, kogo Evins wziął sobie za żonę. Rose Thaxter.

— No, jasne! — Steefer mruknął tym razem zupełnie co innego. — Ja też o tym wiem, ale nie skojarzyłem sobie. Na dodatek, wszystko się zgadza.

Przez dwie minuty mówili jednocześnie, przekonując jeden drugiego, że wszystko świetnie się zgadza, i obserwowali wydarzenia w gabinecie Steefera. Weszli Eggers i detektyw, nadal w samych koszulach, niosąc po Kudłaczu, jeniec Eggersa próbował wyciągnąć mu pistolet z kabury pod pachą.

Oczywiście, że wszystko pasowało. Któryś z członków gangu musiał posiadać dokładną znajomość rozkładu skarbcza. Prócz Evinsa mogło go dostarczyć niewiele innych osób. Planów kanałów wentylacyjnych nie traktowano jako ściśle tajne, mógł je zdobyć ktokolwiek na jego stanowisku. Musieli znaleźć kryjówkę dla Kudłaczy — wystarczająco dużą, by pomieściła kopię skarbcza i systemu napowietrzania. W dzielnicy zwanej powszechnie Hipoteką Zdrojem było mnóstwo pustych fabryk i magazynów. Tych samych, do których tytuł zdobywał Hugo Ingermann przy pomocy Thaxtera jako podstawionego kupca. Nieważne na razie, w

jaki sposób wciągnęli do spisku Herckerda i Novaesa, wystarczy ich złapać, przesłuchać i prawda wyjdzie na jaw. Dziesięć do jednego, że ogniwem spinającym i najważniejszą sprężyną była Rose Thaxter, żona Evinsa.

Kudłacze w gabinecie Steefera przeżywały zjazd rodzinny. Khadra, Mallin i Sandra starali się je zmusić do patrzenia na ekran. Grego zwrócił się do Steefera:

— Proszę wysłać kilku ludzi do mieszkania Konrada Evinsa, niech zrobią dokładną rewizję, może znajdą jakieś dowody.

— Evinsów nie będzie.

— Wiem. Siedzą w jednym z tych zabudowań w Hipotece Zdroju, ale nie wiadomo, w którym. Pogadam z Ianem Fergusonem.

Opowiedział mu pokrótce o swoich podejrzeniach. Szef oddziałów policyjnych skinął głową.

— Dość rozsądne — przyznał. — Wezwę na pomoc miejską policję, zablokujemy teren tak, że mysz się nie prześliznie, a potem zaczniemy go przetrząsać. To tylko pięć tysięcy kilometrów kwadratowych i jakieś trzysta budynków — dodał. — Chyba zwrócę się też do Casagry; zobaczymy, ilu może mi dać komandosów.

Grego podniósł wzrok na ekran z widokiem na gabinet Steefera. Khadra połączył się z domem Evinsów i słychać było nagrany głos z informacją, że gospodarzy nie ma i wrócą po północy. Kudłacze najwyraźniej poznały Evinsa. Nie ulegało również wątpliwości, że go nie lubiły.

— I niech pan zarządzi ogólny alarm i pościg za Evinsem w celu aresztowania jego, pani Evins i Leo Thaxtera. Nie sądzę, aby musiał się pan przejmować hałasem, jaki przy tym powstanie.

— A także Ivana Bowlby'ego, Raula Laporte'a i Spikera Heenana — dorzucił Ferguson. — Oraz każdego, albo wszystkich ich najemników. — Urwał na chwilę. — A także Hugona Ingermanna — dodał. — Możemy w końcu mieć podstawę do przesłuchania go jako podejrzanego. Pogadam z Gusem Brannhardem.

— Iz Leslie Coombesem, on też może się przydać.

— No dobrze, słuchajcie wszyscy! — zawołał Steefer z głośnika. — Wszystkie Kudłacze mamy na zewnątrz kanałów wentylacyjnych, czas zacząć przedstawienie! — Z tymi słowy wstał i przeszedł na drugą stronę biurka.

Na ekranie z biura komendanta pojawił się Khadra.

— Poznały tego drania Evinsa. Jest członkiem gangu. Co to za facet?

— No cóż, kiedyś był głównym nabywcą kamieni w Kompanii, ale kwadrans temu został zwolniony bez wypowiedzenia, odprawy i listów polecających — odparł Grego i zastanowił się nad czymś. — Kapitanie, czy Kudłacze mają brudne stopy?

— Co, proszę? — Khadra wybałuszył oczy, po czym skinął głową. — Tak, mają, jakiś szarobrazowy pył. I trochę kurzu na futerku.

— Mhm, to świetnie. — Grego wstał i podszedł do dużego stołu z grafosferą, przy którym Steefer rozmawiał z grupą kilkunastu ludzi. Spozrzegł Nilesa Guerrina, inżyniera w zakresie wentylacji, i odciągnął go na bok.

— Niles, czy kanały pokryte są w środku pyłem? — spytał.

— Te, co odprowadzają zużyte powietrze do regeneratorów — odparł inżynier. — Kurz z powietrza w pomieszczeniach...

— Właśnie do tego zmierzam. Chodzi o autowizory, roboty — czy mogłyby odnaleźć trasę, którą pokonywały Kudłacze albo gdzie ocierały się o ścianki kanałów?

— Tak, na pewno. Mają pełny system odbioru i nadawania w świetle widzialnym i podczerwonym oraz regulację wielkości obrazu...

— Jak szybko mogą wyruszyć ze skarbcza oraz z gabinetu komendanta w kwaterze detektywów?

— Natychmiast, ustawiliśmy tu dla nich monitory i aparaturę rozdzielczą, zrobiliśmy to na samym początku.

— Znakomicie. — Podniósł głos. — Komendancie! Kapitanie Hurtado, poruczniku Mortlake, *do-bizzo*. A teraz wypełnimy system wentylacyjny robotami.

Phil Novaes zerknął na zegarek. Ciągłe pierwsza trzydzieści, draństwo musiało stanąć, a był pewny, że go nakręcił. Uniósł dłoń, aby złapać nikłe światło z góry i spojrzał zezem na sekundnik. Wykonywał nadal swój powolny marsz dookoła tarczy. Musiało minąć tylko kilka sekund, odkąd spojrzał na niego ostatnim razem.

— Herck, do diabła, zabierajmy się stąd — powtórzył z uporem. — One już nie wyjdą. Dwa ostatnie weszły do środka godzinę temu.

— Trzydzieści pięć minut — odparł Herckerd.

— No dobrze, ale tamta trójka weszła przed ponad godziną. Coś się stało, będziemy tu czekać, dopóki piekło nie zamarznie...

— Jeszcze trochę, Phil. Czekamy na drugie pięćdziesiąt milionów soli. Poza tym musimy złapać te Kudłacze i uciszyć je na zawsze.

— Mamy już więcej niż pięćdziesiąt milionów. I doczekamy się dziurki w głowie, jeśli będziemy tu dłużej tkwić. Wiem, co się stało, Kudłacze wyszły jakąś inną dziurą; biegają tam i z powrotem na swobodzie obładowane kamieniami...

— Zamknij się, Phil. — Herckerd sięgnął do kieszeni przy koszuli i włączywszy aparat słuchowy przyłożył głowę do ujścia kanału wentylacyjnego. — Słyszę coś. — Trącił wyłącznik, posłuchał gołym uchem, następnie włączył aparat ponownie. — Wydaje ultradźwięki, tylko nie wiadomo jakie. Może to wibracja ścianek kanału. Uspokój się, Phil. Nikt nie wie, że coś się w ogóle dzieje. Grego to jedyny człowiek w budynku Kompanii, który może otworzyć skarbiec, a nie będzie go otwierać jeszcze co najmniej przez parę tygodni. Wszystkie kamienie z biura Evinsa schowano dopiero wczoraj. Miną tygodnie, nim wywęszą, że cokolwiek zaginęło.

— Przypuśćmy, że Kudłacze wyszły gdzieś indziej. Mój Boże, a jeśli wpadły w łapy policji? — To mogła być prawda, szkoda, że o tym pomyślał, a skoro już pomyślał, niechybnie musiało tak się stać. — To znaczy, że wszyscy nas szukają.

Herckerd go nie słuchał. Wyłączył aparat słuchowy i klęczał przy otworze wlotowym, ściągając papierek z gumy do żucia i dokładnie chowając opakowanie do kieszeni. Kolejna głupota, nie ma powodu, dla którego nie mieliby tutaj palić papierosów. Herckerd jeszcze raz wyłączył aparat. Hałas, jeśli to był hałas, rozlegał się coraz głośniej.

— Coś jest w środku — oznajmił Novaes. — Ściągnął okulary z czapki i wyjął latarkę na podczerwień.

— Nie rób tego — rzucił szorstko Herckerd.

Novaes zignorował ostrzeżenie i puścił wiązkę niewidocznego światła w głąb kanału. Coś sunęło przed siebie w stronę wylotu, ale nie był to Kudłacz. Metalowa bryła z bulwiastym czubkiem, płynąca powoli ku niemu.

— Autowizor! Słuchaj, Herck, wiedzą o nas. Mają w kanale robota...

— Chowaj kamienie do kufra! Natychmiast! — rozkazał Herckerd.

— Ach, coś się pochrzało!

Novaes zatrzasnął skrzynkę, wepchnął ją do kufra na podnośniku antygravitacyjnym, przytwierdził pokrywę, a potem przerzucił hak od swego pasa bezpieczeństwa na pierścienie przy dźwigu. Usłyszał metaliczny trzask za plecami; kiedy się odwrócił, Herckerd wkładał pistolet do kabury. On też przerzucił swój pas na podnośnik, a potem uwolnił dwa pręty z hakowatymi i kolczastymi końcówkami, puścił jeden i wciągnął sobie na dłoń drugi.

— Pełne wznoszenie — powiedział. — Naprzód.

Novaes grzebał się kilka chwil przy konsoli, po czym uruchomił program wznoszenia. Cały pojazd, podnośnik ze skrzynią oraz on i Herckerd oderwali się od półki, zakołysali i wpłynęli do szybu.

— Po co strzelałeś? — zapytał, odpychając się prętem niczym bosakiem.
— Wszyscy cię usłyszeli.

— Wolisz, żeby ten robot nas śledził? — odparł Herckerd. — Uważaj, uderzymy w rurociąg!

Może autowizor przeprowadzał po prostu rutynową kontrolę, może Herckerd w końcu wpadł w panikę mimo pozorów spokoju. Nie. Coś musiało pójść nie tak. Te przekłete Kudłacze wyszły pewnie w złym miejscu, ktoś je zobaczył... Trafiali na coraz większą liczbę rur i duktów, pamiętał, z jaką trudnością omijali je w drodze na dół. Musieli z Herckerdem odpychać się i podciągać prętami. Przez chwilę miał wrażenie, że ugrzęźli i już się nie uwolnią, że zaklinowali się na amen... Wtem dźwig znowu poszybował w górę, zostawiając za sobą pajęczynę rozmaitych przeszkód w głębi szybu, a białe cyfry „XV” na ścianach zamieniły się w „XIV” na znak, że opuścili poziom XV. Pozostało jeszcze tylko pięć poziomów i dwa piętra do przebycia.

Słyszał wszakże głosy rozlegające się wokoło z megafonów.

— Wozy P-18, P-19, P-20, poziom czternasty, czwarte piętro, sektor DA-231.

— Wóz 12 do tłumienia zamieszek, od trzynastego, szóste piętro...

Novaes obrzucił Herckerda wyzwiskami.

— Spokojnie, minie miesiąc, zanim coś wywęszą!

— Zamknij się. Jeszcze dwa piętra i uciekamy z szybu, w lewą stronę. Blokują go na górze.

— Pewnie, i wpadniemy prosto w ich łapy — burknął Novaes.

— Wpadniemy, jeśli się nie zatrzymamy, musimy uciekać z szybu, bo stracimy jakąkolwiek szansę na ucieczkę.

Przeholowali podnośnik dookoła głównego ciągu kanałów wodnych, ściekowych i wentylacyjnych. Odpychając się od ścian i zahaczając o uchwyty, wciągnęli podnośnik do bocznego korytarza. Przelecieli kolejne trzydzieści metrów, zanim Herckerd zdołał dopaść konsoli i zatrzymać

pojazd. Odczepił pas bezpieczeństwa i dopiero po kilku chwiejnych krokach znalazł oparcie dla nóg.

Znajdowali się w korytarzu technicznym, wystarczająco szerokim dla małej barki korytarzowej albo szalupy, korzystali z niego mechanicy, którzy chcieli dostać się do dmuchawy napowietrzającej i do pomp wodnych. Ruszyli w głąb korytarza, holując za sobą dźwig, rozglądając się na prawo i lewo w poszukiwaniu drogi ucieczki. Powinny gdzieś tu być inne pionowe szyby, ale z pewnością również zablokowane.

— Jak się wydostaniemy?

— Skąd mam wiedzieć, u diabła? — wycedził Herckerd. — Skąd mam wiedzieć, czy w ogóle uda nam się wydostać? — Przystanął i wskazał na otwarte drzwi po lewej stronie. — Klatka schodowa, pójdziemy tędy do góry.

Skręcili na schody. Gdzieś z głębi nagiego, rozjaśnionego nikłym światłem korytarza czyjś wzmocniony echem głos wykrzykiwał nie dające się rozróżnić sylaby. Korytarz musiał łączyć się z innym albo z jakimś holem. Nie mogli iść dalej tą drogą, to było pewne.

— Nie da się przeciągnąć podnośnika. — Novaes wiedział o tym, a jednak próbował, podnośnik nie mieścił się w wąskich drzwiach. — Musimy nieść walizkę.

— Wyciągnij skrzynkę z podnośnika — powiedział Herckerd. — Nie możemy jej nieść, złapią nas migiem. Do roboty.

Skrzynka, półtora metra na półtora na metr, z otworami powietrznymi u góry, była niezbędną, gdy musieli w niej transportować Kudłacze, teraz nie musieli się już o to martwić. Otworzył pokrywę i wyjął walizkę. Nie, nie mogli jej nieść i biec jednocześnie. Walizka była przymocowana do dźwigu antygravitacyjnego śrubami. Herckerd wyjął nóż kieszonkowy, otworzył śrubokręt i zaczął odkręcać klamry.

— No dobrze, gdzie idziemy...?

— Nie zrzedź, u diabła, weź się do roboty. Czy w skrzyni zostało trochę drabinki sznurowej? Jeśli tak, to przywiążemy do niej walizkę i...

Przez ramię Herckerda Novaes spostrzegł, że do korytarza z przecinającej go w odległości trzydziestu metrów sieni wpływa kuter. Zastygł na chwilę z przerażenia. Potem krzyknął: — Za tobą! — i rzucił się do otwartych drzwi. Potknąwszy się na pierwszym stopniu wąskich stalowych schodów, ruszył biegiem na górę. Z tyłu dwukrotnie wypalił pistolet, a potem puszczono serię z broni automatycznej, dwusekundowy huk, sekunda ciszy, a potem drugi huk. W końcu rozległy się krzyki.

Zgarnęli Herckerda. I kamienie na dodatek. Nagle zapomniał o jednym i drugim. Uciekać, uciekać jak najdalej, jak najszybciej.

U wylotu schodów znajdowały się następne stalowe drzwi. Boże, błagam Cię, niech będą otwarte! Rzucił się ku nim i chwycił za klamkę.

Nie były zaryglowane.

Drzwi otwały się na oścież. Przekuśtykał przez próg i zatrasnął je za sobą, ciągle słysząc na dole ludzkie głosy. Nagle skręcił i znalazł się w jasno oświetlonym korytarzu.

Niecałe pięć metrów za rogiem korytarza stał policjant. Trzymał w ręku karabinek z grubą, lejkowatą lufą, bronią do ogłuszania. Novaes skulił się i sięgnął po pistolet. Rusznicowa lufa przy biodrze policjanta uniosła się w jego kierunku. Zdążył wyciągnąć pistolet do połowy, kiedy pogasły wszystkie światła i doznał miazdżącego porażenia: trzęsąc się cały i dygocząc, Novaes stracił przytomność.

W pokoju operacyjnym panowała cisza. Kiedy umilkł głos z monitora, przez moment nie było słychać żadnych dźwięków. Następnie rozległ się cichy szmer, wszyscy odetchnęli równocześnie. Grego stwierdził, że stoi, wstrzymując oddech. Tak samo jak Harry Steefer, który ciężko sapał.

— No to już po wszystkim — powiedział. — W każdym razie, cieszę się, że wzięli Novaesa żywcem. Dopiero za dwie godziny będzie mógł

mówić. — Podniósł paczkę papierosów, wytrząsnął jednego dla siebie i poczęstował Grego.

Moses Herckerd nie powie ani słowa, dostał kilkanaście kul z broni maszynowej.

— Co robimy z kamieniami? — zapytał głos z monitora.

— Odnieście do skarbcza, posortujemy je jutro albo kiedy znajdziemy czas. — Grego odwrócił się do ekranów otwartych na centralę miejskiej policji i komendanturę policji kolonialnej. Podoficerów, którzy byli na nich wcześniej, zastąpili odpowiednio Ralph Earlie i Ian Ferguson. — Wiecie panowie, co się dzieje? — spytał.

— Widzieliśmy prawie wszystko — odparł Ferguson, a Earlie spytał: — Wiemy, że ich złapaliście i odzyskaliście kamienie, ale jak im się udało?

— Mieli dźwig antygravitacyjny i dzięki niemu unieśli się jednym z głównych szybów, a potem przedostali się do korytarza technicznego na czternastym poziomie. Złapał ich nasz kuter, Herckerd próbował stawiać opór i posiekali go na kotlet, Novaes uciekł schodami na górę i wyszedł w jakimś holu prosto na gliniarza z ogłuszaczem w ręku. Kiedy odzyska przytomność, przesłuchamy go i sprawdzimy jego opowieść przy pomocy Kudłaczy — opowiedział Grego. — Jak wam leci w Hipotece Zdroju?

— Otoczyliśmy cały rejon — odparł Ferguson. — Na piechotę mogliby uciec, ale statkiem nie zdołają. Mamy w powietrzu trzy okręty desantowe Floty wyposażone w sprzęt detekcyjny, a Casagra dysponuje setką komandosów wraz z moimi ludźmi.

— Nie będę mógł pomóc — oznajmił szef policji Mallorysport. — Wszyscy moi ludzie biorą udział w obławie i jeśli nie potrzebujecie już tej blokady wokół budynku Kompanii, to oddajcie mi ludzi, którzy brali w niej udział. Mamy Ivana Bowlby'ego, Spike'a Heenana oraz Raula Laporte'a i zgarniamy wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z nimi bądź z Leo Thaxterem. Thaxtera jeszcze nie mamy. Przypuszczam, że czeka w Hipotece Zdroju z Evinsami, aż Herckerd i Novaes przyniosą łup. Mamy

też Hugona Ingermanna, tym razem nie uda mu się wyłgać. Wyciągnęliśmy z łóżka sędziego Pendarvisa, podpisał nam nakazy sądowe na każdego z nich, racjonalne podstawy do podejrzeń i upoważnienie do prawdometrii. Zostawiamy drania na deser, zaczniemy od płotek.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że Leo Thaxter był zamieszany w kradzież kamieni ze skarbcza. Czy Bowlby, Heenan bądź Laporte mieli z tym coś wspólnego, było raczej nieistotne. Można ich będzie przesłuchać nie tylko w tej sprawie, ale i w każdej innej. Cokolwiek wyznają pod prawdomierzem, będzie można wykorzystać jako dowód przeciw nim, jako samoobwinienie czy nie.

— No cóż, pójdę sprawdzić, co wyciągnęli od Kudłaczy — oznajmił Grego. — Powinno być już tego sporo. — Rzucił okiem na ekran z gabinetu Steefera, przebywało w nim obecnie sześciu ludzi, ze zdziwieniem spostrzegł wśród nich Jacka Hollowaya. Nie mógł przylecieć tak szybko z kontynentu Beta. — Połączę się z wami później albo każę to zrobić komuś innemu.

Przeciął korytarz i dołączył do grupy, która przesłuchiwała pięcioro Kudłaczy Herckerda-Novaesa-Evinsa-Thaxtera. Był w niej Juan Jimenez oraz dwaj doktorzy, którzy pracowali z Kudłaczami w ośrodku przyjęć. A także Claudette Pendarvis. Kiedy dotarł na miejsce, wyszedł mu na spotkanie Jack Holloway. Uścisnęli sobie dłonie.

— Pomyślałem, że mogę się przydać — powiedział Jack. — Proszę posłuchać, panie Grego, nie zamierza pan chyba wnosić oskarżenia przeciw tym Kudłaczom, co?

— Wielki Boże, skądże!

— No cóż, są istotami ludzkimi i złamały prawo.

— Wobec prawa są to dziesięcioletnie dzieci — stwierdziła żona sędziego Pendarvisa. — Także moralnie nie ponoszą odpowiedzialności, zostały tego wyuczone przez człowieka.

— Tak, uczenie młodzięży złodziejstwa i pozbawienie wolności — oznajmił Ahmed Khadra. — Nieodwołalna kara śmierci przez rozstrzelanie.

— I mam nadzieję, że zastrzela również tę Evins, ona jest najgorsza z całej bandy — powiedziała Sandra Glenn. — To ona używała pałek elektrycznych, kiedy popełniły błąd.

— Panie Grego — wtrącił się doktor Mallin. — Ja tu czegoś nie rozumiem. Te kudłaczofony są na tyle proste, że każdy Kudłacz może się nimi posługiwać, wystarczy, jak ściśnie małą rękojeść i przełącznik zadziała samoczynnie. Diament umie mówić na częstotliwościach akustycznych, ale nie potrafi nauczyć korzystania z tego innych Kudłaczy. Pański aparat słuchowy nie jest włączony, prawda? Proszę więc posłuchać.

Diament użył swego kudłaczofonu, jego głos słyszało się bardzo wyraźnie. Kiedy oddał aparat innym Kudłaczom, słychać było tylko *ik*.

— Pokażcie. — Grego wziął urządzenie od Diamenta i zaniósł je do biurka. Przetrzęsnąwszy górną szufladę, znalazł mały śrubokręt i rozebrał aparat na części. Mechanizm wydawał się w porządku. Usunął miniaturowy zasilacz i wymienił go na podobny z wnętrza latarki, którą znalazł w biurku Steefera. Latarka nie chciała świecić. Wręczył kudłaczofon Mallinowi.

— Proszę go dać któremuś, ale nie Diamentowi. Niech powie parę słów.

Mallin wręczył aparat jednemu z dwójki Kudłaczy, które Lansky i Eggers złapali w skarbcu, i zadał mu pytanie. Trzymając mikrofon przy ustach, Kudłacz odpowiedział głośno i wyraźnie. Troje lub czworo ludzi powiedziało: — Co, u diabła? — lub coś w tym rodzaju.

— Diamencie, ty nie potrzebować rzecz mówić, żeby mówić jak Duży — stwierdził Grego. — Ty zawsze robić mowa jak Duży. Ty już umieć robić mowa jak Duży.

— Tak jak teraz? — spytał Diament.

— Jak on to robi? — zdziwiła się pani Pendarvis. — Ich głos jest w ogóle niesłyszalny.

— Sądzi pan, że zasilacz się zepsuł, a Diament po prostu naśladował dźwięki, do których przyzwyczaił się za pomocą czynnego kudłaczofonu? — zagadnął Mallin.

— Zgadza się. Słyszał swój głos w paśmie akustycznym i po prostu nauczył się regulować wysokość dźwięku w taki sposób, aby imitować własny przekształcony głos. Założę się, że już od tygodni mówi w ten sposób, lecz nie mieliśmy o tym pojęcia.

— Daję głowę, że sam też o tym nie wiedział — odezwał się Jack Holloway. — Panie Grego, czy sądzi pan, że Diament mógłby nauczyć tego inne Kudłacze?

— To byłoby chyba dość trudne — stwierdził Mallin. — Czy on sam wie naprawdę, jak to robi?

— Panie Grego! — wtrącił się sierżant policji, który nie spuszczał oka z teleekranu. — Komendant pyta, czy nie chciałby pan udać się do skarbcza, aby sprawdzić zawartość walizki.

— Czy ktoś już ją sprawdzał?

— Tylko kapitan Lansky, ale...

— Zamknijcie ją więc do skarbcza, nie muszę tego robić. — Pal go diabli; jutro się tym zajmę. Teraz jestem zajęty.

22.

— Myśli pan, że czterysta pięćdziesiąt za karat wystarczy? — spytał Victor Grego.

Bennett Rainsford wziął ze stołu zapalniczkę i starannie zapalił na nowo fajkę, która nie wymagała ponownego rozpalenia. Teraz, gdy poznał Victora Grego, doszedł do wniosku, że go lubi. Ale nadal trzeba było nań uważać. Grego to Niekoncesjonowana Kompania Zaratustra, a Kompania nie była z pewnością instytucją filantropijną.

— Chyba tak, według mnie — odparł Jack Holloway. — Nie płacił mi pan więcej, kiedy je zbierałem, a musiałem je wydobywać osobiście.

— To tylko czterysta pięćdziesiąt, Jack. Cena rynkowa na Terze sięga ponad tysiąca soli za karat — powiedział Ben.

— Tu nie jest Terra, Ben. Do Terry jest pięćset lat świetlnych, sześć miesięcy lotu. Myślę, że pan Grego składa nam dobrą ofertę. Musimy tylko odnieść pieniądze do banku, Kompania dokona reszty.

— A ile pańskim zdaniem przypadnie z tego Kudłaczom na miesiąc?
Grego wzruszył ramionami.

— Nie widziałem złoża. Wierzę Jackowi na słowo. Jak pan myśli, komisarzy?

— Cóż, to zależy od ilości i rodzaju użytego sprzętu. Gdyby był porównywalny z tym, jakiego sam używam, wydobędziecie w sumie około tony klejnotów.

— Możemy skruszyć i przerobić miesięcznie wiele ton krzemienia. Sądząc z opisu Jacka, będziemy pracować nad tym złożem dłużej, niż starczy nam życia. Wie pan co, gubernatorze, zamiast brać od rządu jałmużnę, Kudłacze będą niedługo spłacać jego rachunki. Na to też należy zwrócić uwagę, nie wolno przystać na odegranie roli źródła politycznej

korupcji. Już za miesiąc wybory do Zgromadzenia Konstytucyjnego. Należy dopilnować, aby wybrano odpowiednich ludzi, takich, którzy ułożą konstytucję chroniącą prawa Kudłaczy na zawsze.

Rainsford nabierał przekonania, że może liczyć na pomoc Victora Grego pod tym względem.

Leslie Coombes trzymał uniesioną szklankę, a Gus Brannhard lał do niej whisky z karafki.

— Dziękuję, już wystarczy — powiedział adwokat, kiedy pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt centymetrów sześciennych trunku pokryło kostki lodu. Sam uzupełnił drinka wodą sodową. — Hugo Ingermann — dodał cierpko — okazał się absolutnie niewinny.

— Cóż, nie jest wplątany w aferę z Kudłaczami i kradzieżą klejnotów ze skarbca Kompanii — przyznał Brannhard, napełniając własną szklankę. Kiedy Gus przyrządzał whisky z lodem i wodą sodową, on na ogół zapominał o dodaniu lodu i wody. — To chyba jedyne przestępstwo na Zaratustrze, w które nie jest zamieszany. Ale nie wyjdzie z tego bez szwanku. — Brannhard pociągnął spory łyk, jego przewód pokarmowy musiał być powleczony kolapsium, natomiast Coombesem zatrzęsło. — Kiedy przesłuchiwałem tego i owego w sprawie włamania Kudłaczy, zdobyliśmy mnóstwo dowodów, wszystkie poddane prawdometrii, na powiązanie Ingermanna z lichwą Thaxtera, agencją wynajmu kobiet lekkich obyczajów Bowlby'ego, nielegalnym totalizatorem Heenana i bandziorami Laporte'a. Ścigam go z bronią w rękę, po prostu strzelam do niego oskarżeniami i któreś musi trafić. Nawet gdyby nie udało mi się go o nic oskarżyć, będzie skreślony z listy adwokatów, to nie ulega wątpliwości. A ta jego Partia Planetarnej Pomyślności właśnie staje w ogniu, przecieka radiacją, wybucha i rozpada się dookoła na kawałki. Wszyscy nazywają ją Partią Demoralizatorów Kudłaczy i każdy, kto się o nią otarł, daje nogę najszybciej jak potrafi.

— Jeśli będziemy działać razem, uchwalimy dobrą konstytucję i wybierzemy dobrą Legislaturę. Czy raczej będziemy czekać, aż gubernator Rainsford i Victor Grego uzgodnią między sobą, czym jest owa „dobra” konstytucja i „dobra” Legislatura?

— Poczekajmy — odparł Brannhard. — Zostało tylko kilka miesięcy do najazdu grabieżców ziemi z innych planet i Ben Rainsford jest tym równie zaniepokojony jak Victor Grego. Leslie, jeśli pójdziesz do sądu i zgłosisz pretensję do całej nie zajętej ziemi, którą naniosła na mapę i zbadała Kompania, to mam instrukcje od gubernatora, aby ci nie przeszkadzać. Co o tym sądzisz?

— Że odzyskamy wszystko, cośmy stracili, przede wszystkim na dzierżawie złoża kamieni. Zaproponuję Kudłaczka na honorowego członka zarządu z tytułem Dobroczyńcy Kompanii Numer Jeden.

Kudłaczek wspiął się na kolana Papcia Jacka, pokręcił się tam chwilę i zwinął wygodnie w kłębek. Był szczęśliwy z powrotu. Miał dużo uciechy w Dużym Domu, on i Mama, Ko-ko i Kopciuszek, Syndrom, Id, Al Capone, Kuba Rozpruwacz i Jane Panikara. Poznały dużo nowych Kudłaczy, które odeszły już i mieszkają ze swymi własnymi Dużymi. Miały miejsce, gdzie się spotykały i bawiły ze sobą. A on spotkał parę kochanków, noszących już własne imiona Pierrota i Kolombiny, oraz poznał Diamenta, o którym opowiadał mu Wujko Panko, a także jego Papcia, Vica.

To właśnie dzięki Diamentowi Wujko Panko i Ciocia Lynne zabrały je wszystkie w niebo rzecz do Dużego Domu, bo Diament odkrył, jak mówić niczym Duży bez używania rzeczy do mówić, i Diament uczył je wszystkie, jak to robić. To było trudne, bardzo trudne, Diament jest bardzo bystry, że sam to odkrył, ale niebawem wszystkie stwierdziły, że też umieją to robić. Teraz zaś Mike i Mitzi, Kompleks i Superego, Bonnie i Clyde udały się do Dużego Domu z Papciem Gerdem i Mamsią Łuf i nauczą się mówić tak, żeby Duzi mogli je słyszeć. A Dzidzius uczy już się od Mamy i jutro wszystkie zaczną uczyć pozostałe — tutaj, w Hoksu-Mitto.

— Niebawem wszystkie Kudłacze nauczyć się mówić jak Duzi — powiedział. — Nie potrzebować mówić rzecz, Duży nie potrzebować ucho rzecz. Po prostu mówić, jak ja teraz.

— Zgadza się — odparł Papcio Jack. — Duzi, Kudłacze, wszyscy robić mowa razem. Być dobrzy przyjaciele.

— I Kudłacze nauczyć się, jak pomagać Duzi? Dużo rzeczy Kudłacze mogą zrobić pomagać, jeśli Duzi powiedzieć jak.

— Najlepiej pomagać Duzi, jeśli po prostu być Kudłacze — odpowiedział mu Papcio Jack.

Czym innym mogą być? Kudłacze były tym, czym były, tak jak Duzi byli Dużymi.

— A poza tym — ciągnął Papcio Jack — wszystkie Kudłacze są teraz bardzo bogate.

— Bogate? Co to? Coś dobrego?

— No cóż, większość ludzi tak uważa. Kiedy jesteś bogaty, masz pieniądze.

— To coś smacznego do jedzenia? — spytał Kudłaczek. — Jak *pezete'czy*?

Ciekawe, z jakiego powodu Papcio Jack się śmieje, pomyślał Kudłaczek. Może po prostu dlatego, że jest szczęśliwy. A może śmieje się ze mnie, bo nie wiem, co to są pieniądze?

Było jeszcze tyle rzeczy, których Kudłacze musiały się nauczyć.

PRZYPISY

[1] Völkerwanderung (niem.) - wędrówka ludów (przyp. tłum.).

[2] John Doe, Richard Roe – inaczej – nieznani z nazwisk. Amerykańskie pojęcie prawnicze.

[3] et alii (łac.) – i inni.

[4] amicus curiae (łac.) – przyjaciel sądu.

[5] infra dignitatem (łac.) - poniżej godności.

[6] soi-disant (z łac.) rzekomo.

[7] Fagin – złodziej, bohater Oliviera Twista, który uczył dzieci kraść.